Książka wyjść

Słowo Prezesa	2
Krucjata do ziemi przeklętej	6
Afganistan 2010 oczami kobiety	14
K2 – zobaczyć i ...wrócić?	20
Moje lato w Ailefroide	30
Kalimera, kalispera, kalinichta	38
Tryptyk Gierlacha z suplementem	42
Z pamiętnika żółtodzioba	48
Podsumowanie obozu zimowego 2011	52
Czekając na Pastora – gangsta rap	53
Taniec na czubkach raków	54
Podsumowanie sezonu zimowego 2010/2011	58
Klubowi skiturowcy łączcie się!	62
Topo: Urbanowa Turnia I. Nieznany klejnocik Doliny Batyżowieckiej	66
Podsumowanie sezonu letniego 2010	72
Duchy	74
Długie lato w Podlesicach czyli wspinaczkowa relacja bez ani jednej cyfry	76
Czym się pani zajmuje?	80
Studium długiego biegania po górach czyli Tor des Geants	86
Po-Słowie Po-Prezesa	94
Informacje ogólne	96

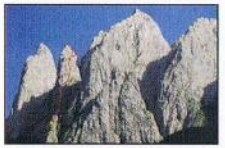

A/Zero – Biuletyn Informacyjno-Propagandowy K.W. Warszawa
Nr 1 (19)/2011
ISSN: 1641-9359
Wydawca: Klub Wysokogórski Warszawa

Redakcja: Marek Grądzki, Adam Latusek, Aleksandra Ogłoza, Magdalena Nowak, Artur Paszczak, Mariusz Wilanowski.
Skład: Klara Żerdzicka.
Kontakt z Redakcją: marysia029@o2.pl, a.paszczak@noart.pl

Do powstania numeru przyczynili się: Elżbieta Kamińska, Robert Nejman, Piotr Wolski, Tomasz Kowalski, Jan Gondowicz, Aleksandra Targońska, Marcin Księżak, Przemysław Falczyński, Robert Subdysiak, Piotr Kłosowicz, Aleksandra Stańczak, Marcin Miotk.

W „A/Zero" piszemy o sportach nie zawsze bezpiecznych dla Waszego zdrowia i życia. Zespół redakcyjny nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jakiekolwiek wypadki powstałe podczas uprawiania przez czytelników sportów propagowanych na łamach „A/Zero". Pamiętajcie, robicie to na własne ryzyko.

Redakcja „A/Zero" nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i tekstów zamieszczonych na łamach biuletynu. Kopiowanie materiałów w całości lub części tylko za pisemną zgodą redakcji „A/Zero".

strona I: fot. Marcin Miotk, Broad Peak - oboz 1.
strona IV: fot. Maciej Ostrowski, Ola Targońska wspina się drogą Remember Wadi Rum 6c na Ghos Kitchen, Kalymnos.

Słowo Prezesa

Nikt z nas nie jest tak mądry, jak my wszyscy razem

Podczas któregoś z jesiennych pokazów slajdów podszedł do mnie młody stażem członek naszego klubu i powiedział, że ma fajny pomysł na organizację pewnej klubowej imprezy i.... chciałby, aby KLUB TO ZROBIŁ. Kultura wyniesiona z domu i kilka lat praktyki w wysłuchiwaniu różnych pomysłów, spowodowały, że zachowałem twarz pokerzysty. Klub, czyli KTO? Przecież KLUB TO ROWNIEŻ TY – pomyślałem. Po chwili oddechu przeprowadziłem kolegę przez mój tok myślowy dotyczący wizji stowarzyszenia, a w szczególności stowarzyszenia górskiego. W dużym skrócie sprowadza się ono do parafrazy pewnego powiedzenia, czyli: Nie pytaj, co klub może zrobić dla Ciebie, zastanów się, co Ty możesz zrobić dla klubu.

Sytuacja opisana powyżej nie była jednak odosobniona. Zdarzyła się ona kilkukrotnie. Pomimo że zdarzenia takie nie rzutują znacząco na bieżącą działalność klubu, warto, aby szczególnie osoby, które przystępują do KW Warszawa lub zamierzają to zrobić, zdawały sobie sprawę, że działamy w stowarzyszeniu, gdzie pracujemy społecznie – po tym, jak wykonamy nasze zawodowe obowiązki.

Z drugiej strony, w ostatnim czasie mieliśmy kilka fajnych inicjatyw, gdzie pomysłodawcy sami rzucali pomysł, sami doprowadzili do jego realizacji, a klub w różnej formie im w tym pomagał. Wymienię tutaj tegoroczne inicjatywy, jak nowe zakupy grupowe przez forum czy piknik skiturowy.

Ktoś zapyta, ale po co mamy zarząd klubu? A co robi zarząd? W tak dużym stowarzyszeniu jak nasze, zarząd organizuje życie klubowe (obozy, pikniki, pokazy), dba o całą otoczkę formalno-prawną i wiele, wiele innych rzeczy, których na co dzień nie widać.

Pamiętajmy zatem, że jakość życia klubowego zależy od nas samych, każdy z nas może życie klubowe kreować, bo nikt z nas nie jest tak mądry, jak my wszyscy razem.

To chińskie przysłowie oddaje ducha pracy społecznej w DUŻYM stowarzyszeniu, jakim jest KW Warszawa.

Marcin Miotk

PS Aby lepiej skoordynować chętnych do pomocy w życiu klubowym, stworzyliśmy na naszej stronie nową zakładkę CHCĘ POMÓC, gdzie osoby dysponujące np. kilkoma godzinami wolnego w miesiącu mogą zadeklarować swoją pomoc w temacie, na którym się znają, lub w dowolnie innym. Również pomysłodawcy fajnych inicjatyw będą mogli w ten sposób znaleźć chętnych do realizacji swoich pomysłów.

SALEWA
CERRO TORRE
Nestlé

Dlaczego warto być członkiem KW Warszawa?

Jesteśmy klubem prawdziwie koleżeńskim i partnerskim, w którym znajdziesz ludzi podzielających Twoją pasję – góry i wspinaczkę. Znajdziesz kolegów i koleżanki na wspólne wyjazdy, otrzymasz pomoc w sprawach dotyczących Twoich zainteresowań. Poznasz doświadczonych wspinaczy i będziesz mógł się od nich uczyć.

W ramach naszej składki – jednej z najniższych w kraju – otrzymasz najbardziej atrakcyjny pakiet korzyści ze wszystkich polskich klubów:

- renomowany biuletyn „A/Zero" przyślemy Ci pocztą do domu,
- otrzymasz zniżki nawet do 30% w prawie trzydziestu firmach i sklepach współpracujących z klubem, a także w schroniskach,
- będziesz miał możliwość zakupu tańszego sprzętu w ramach zbiorczych zakupów klubowych,
- uzyskasz możliwość nabycia klubowych gadżetów, a niektóre z nich otrzymasz bezpłatnie,
- będziesz mógł podzielić się z innymi klubowiczami swoimi zdjęciami i artykułami publikowanymi na naszej stronie internetowej, a także prowadzić tam swój osobisty wykaz przejść,
- ...i wreszcie będziesz mógł opłacić składkę przelewem, a znaczek wyślemy Ci pocztą.
- Oferujemy dostęp do klubowej biblioteki oraz bazy przewodnikowej, dzięki czemu – gdziekolwiek się udajesz – uzyskasz potrzebne Ci informacje.
- Będziesz mógł uczestniczyć w klubowych imprezach, szczególnie w wyjazdach i obozach wspinaczkowych (letnich i zimowych), na których będziesz mógł udoskonalić lub poznać nowe dziedziny wspinaczki i jej techniki pod okiem najlepszych instruktorów.
- Posiadamy obszerną i w pełni wyposażoną (DVD, projektor multimedialny, ekran, wzmacniacz, kolumny) siedzibę klubową przy ul. Noakowskiego 10 m. 12.
- Będziesz mógł uczestniczyć bądź współorganizować pokazy slajdów i filmów w klubowej siedzibie – wystarczy, że zgłosisz chęć pokazania swoich materiałów.
- Uzyskasz możliwość tańszego korzystania z warszawskich ścian wspinaczkowych „Obozowa" oraz „Nowowiejska" (wtorek od godz. 20 tylko dla KWW i tylko za 10 zł).
- W środy i soboty będziesz mógł korzystać z klubowej bulderowni w lokalu klubowym (w godz. 16–22, opłata 5 zł za wejście). Jeżeli zaś wstąpisz do sekcji bulderowej – uzyskasz dostęp nielimitowany.
- Dzięki współpracy klubu ze szkołami wspinaczkowymi: „Alp Extreme", „W Pionie", „Planet Sports", „Warszawska Szkoła Alpinizmu", „Go Up", „Pionowy Świat" – uzyskasz w nich 10% zniżki na wszelkie szkolenia.

A jeżeli będziesz tylko chciał – uzyskasz możliwość współtworzenia naszego klubu i pracy na rzecz środowiska górskiego i wspinaczkowego, ponieważ każdy z członków KWW może realizować w ramach niego swoje własne inicjatywy.

Orzeł KW – nagroda Klubu Wysokogórskiego Warszawa za rok 2010

Po raz kolejny wśród naszych klubowiczów zostali wybrani wyróżniający się swoimi osiągnięciami członkowie, Orły KWW. **Nominowani do nagrody byli:**

GÓRY

- **Kinga Baranowska** za zdobycie Annapurny, swojego siódmego ośmiotysięcznika, bez użycia tlenu.
- **Paweł Karczmarczyk** za powtórzenie **w zespole z Maciejem Ciesielskim** drogi *Snotty's Gully* na Dawa Peak (5977m, Nepal rejon Khumbu, masyw Pharilapcha), częściowo własnym wariantem.
- **Uczestnicy wyprawy Afganistan 2010** za odwagę w eksploracji dzikich odmętów odległego kraju, zorganizowanie pierwszej od 33 lat wyprawy do Afganistanu oraz wytyczenie kilku nowych dróg na dziewiczych szczytach gór Korytarza Wachańskiego.
- **Uczestnicy wyprawy Albania 2010**: Adam Latusek, Mateusz Zabłocki, Wojciech Szeloch i Andrzej Szypowski za eksplorację mało znanych rejonów gór Prokletije oraz nowe drogi na tamtejszych turniach.
- **Marcin Kaczkan** za osiągnięcie szczytu Nanga Parbat w ramach wyprawy programu „Polski Himalaizm Zimowy".
- **Marcin Księżak** za niestrudzoną działalność w Tatrach latem i zimą, także solo.
- **Artur Paszczak** „za dojście do życiowej formy będącej wisienką na torcie wielu wspinaczkowych osiągnięć..." (cyt. z forum KWW).

SKAŁY

- **Aleksander Romanowski** za wartościowe przejścia skałkowe oraz mistrzostwo Polski w bulderingu.
- **Alek Barszczewski** za wszechstronne wspinanie na wysokim poziomie (skały VI.5, buldery 7b, DT M9, Tatry i Alpy, wykaz w bazie PZA).
- **Rafał Pawiński oraz Jan Sokołowski** za mocne przejścia w skałach.

Laureatami nagrody zostali: w kategorii **GÓRY** Kinga Baranowska, w kategorii **SKAŁY** Aleksander Romanowski.

Nagrody dla laureatów ufundowali nasi partnerzy klubowi. Kinga i Olek dostali sprzęt **Salewy** za równowartość 1500 zł, a od firmy **Yeti** otrzymali śpiwór Bolder 450 (Olek) oraz kurtkę Bonatti (Kinga). Gratulujemy!

Konkurs na Wyprawę KWW 2011

Także w tym roku postanowiliśmy zorganizować konkurs na klubową wyprawę. Warunki pozostały takie same, jak rok wcześniej: wszyscy członkowie zgłoszonych wypraw musieli należeć do KW Warszawa. Dla zwycięskich ekip przewidziano następujące nagrody: za I miejsce – 3 tysiące zł, II miejsce – 2 tysiące zł, III miejsce – 2 tysiące zł do odebrania w sprzęcie sponsora konkursu – firmy Salewa. Ponadto laureaci otrzymali także kupony rabatowe na zakup sprzętu Yeti – za pierwsze miejsce 50% rabatu na zakupy do 4 tysięcy zł, za drugie – 45% na zakupy do 3 tysięcy zł.

W konkursie nagrodzeni zostali:

I – **Dorota Kopek, Ewa Warzywoda** – Marmolada d'Ombretta, Don Quichotte, 750 m, VI+.

II – **Andrzej Kowalik** – wyprawa w Andy Centralne, południowa ściana Mercedario oraz Cerro Negro Canaletta.

III – **Wojciech Grochowski, Maciej Bryński** – Laila Peak, rejon Gondogoro w Karakorum (Pakistan).

Zwycięzcom gratulujemy, mamy nadzieję, że podzielą się z nami wrażeniami ze wspinaczek w następnych numerach. Szykujcie się na następny rok i myślcie o swoich planach wspinaczkowych!

1% Dla KW Warszawa

Zgodnie z wcześniejszymi informacjami, zarząd Klubu Wysokogórskiego Warszawa czynił starania, abyśmy stali się organizacją pożytku publicznego (OPP). Na walnym zebraniu, które odbyło się w styczniu 2010 r., przegłosowaliśmy zmiany, które, mamy nadzieję, umożliwią nam zrealizowanie tych planów w ciągu najbliższych lat.

Fundacja Wspierania Alpinizmu Polskiego im. Jerzego Kukuczki
1% dla KW Warszawa
Szczegółowa instrukcja na www.kw.warszawa.pl

Dzięki uprzejmości Fundacji Wspierania Alpinizmu Polskiego im. Jerzego Kukuczki możemy po raz kolejny zbierać 1% na Klub Wysokogórski Warszawa. Jak to zrobić?W zeznaniu podatkowym za rok 2011 przekazujemy 1% na Fundację Wspierania Alpinizmu Polskiego im. Jerzego Kukuczki (KRS 0000084062) oraz **KONIECZNIE** wskazujemy jako cel wpłaty: **KLUB WYSOKOGÓRSKI WARSZAWA.**

Zebrane fundusze zostaną przeznaczone na cele statutowe naszego klubu. Ostatnie lata pokazały, że rozwijamy się dynamicznie. Zarząd ma wiele ciekawych pomysłów na ożywianie życia klubowego z pożytkiem dla wszystkich członków, także tych spoza Warszawy. Wasz 1% pomoże te pomysły wcielić w życie!

Liczymy również, że informacje o 1% dla KWW przekażecie Waszym kolegom, sympatykom, rodzinom, znajomym. Dołożymy wszelkich starań, aby Wasz 1% został dobrze zagospodarowany.

W imieniu zarządu Klubu Wysokogórskiego Warszawa.

Marcin Miotk

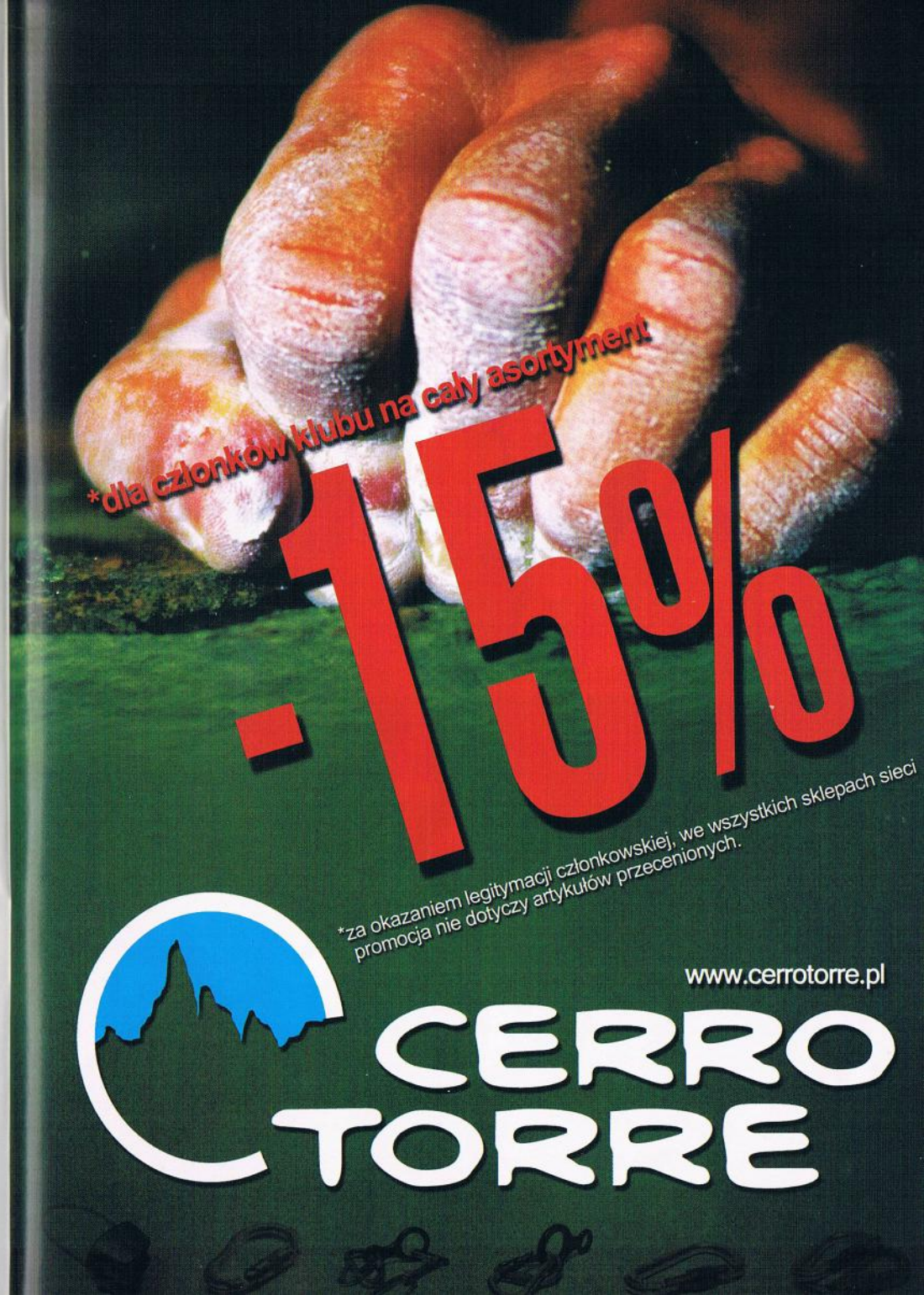

Krucjata do ziemi przeklętej

Tekst: **Adam Latusek**
Zdjęcia: **Mateusz Balcerzak**

Czasami nie da się przewidzieć konsekwencji podjętych czynów. Spotkaliśmy się z Matim na Dworcu Zachodnim w Warszawie. Nas było dwóch, worów siedem.

– Panowie! To nie jest firma przewozowa. Tu się nie robi przeprowadzek! – wypalił kierowca pekaesu, którym mieliśmy dojechać do Nysy. Mateusz odparł równie szybko.

– Ale my na wakacje jedziemy!

...where no man has gone before

Mati oczywiście kłamał. Nie jechaliśmy na wakacje, lecz z misją daną nam przez boga tj. Polski Związek Alpinizmu, a kierowca pekaesu nie był pierwszym niewiernym, który tego nie rozumiał.

Nasz cel – Prokletije – to po serbsku „góry przeklęte", a my jechaliśmy tam, by się wspinać... o zgrozo.

Nie pamiętam jak znaleźliśmy się w Gusinje w Czarnogórze, ale wszystko dzięki Wojtkowemu autu, w którym kontynuowaliśmy podróż z Nysy, oraz Toniemu Rebelowi, który podśpiewywał z radia, czyniąc tę podróż inną. Owe Gusinje miało stać się naszym punktem restauracji sił i wiary na najbliższe trzy i pół tygodnia. Był tam meczet, były kawiarnie, pizzeria i tyle samochodów na amerykańskich blachach, by przypomnieć nam, że pojęcie „amerykański sen" nie ogranicza się do Stanów.

Przebudzenie

Miało ono miejsce dwa dni później w dolinie Ropojana na pograniczu Albanii i Czarnogóry, gdzie założyliśmy obóz. Okalające nas ściany wisiały nad nami niczym miecz Damoklesa gotowy ściąć nam głowy, które miały potem toczyć się po piargach. Tak ja to widziałem, ale Mati jak zwykle spytał wprost: „To gdzie napieramy?". Ten pozbawiony szacunku do własnego instynktu samozachowawczego młokos nasilił tylko słyszane przeze mnie zewsząd „Chodź! Chodź!", dochodzące z każdej ściany i filara. Z kolei mój instynkt samozachowawczy przypomniał mi, że tu, w górach przeklętych, nie

Dolina Ropojana.

Andrzej Szypowski prowadzi nową drogę na Bridashe.

ma zasięgu telefonów i służb ratowniczych, wody jest jak na lekarstwo, a my mieliśmy w planach nowe drogi. Nie dziwcie się więc, że chcąc wyeliminować liczbę niewiadomych do minimum, podjąłem decyzję o zmianie statutu wyjazdu z „wyprawa alpinistyczna" na „obóz wędrowny". Wszystko to oczywiście ku uciesze Wojtasa, który z miłą chęcią zapoznał się z topografią naszej doliny, poznając skrupulatnie strategie planowanych przeze mnie potencjalnych wycofów, kibli i zjazdów. Ponieważ poznanie często rodzi pogardę, mogę powiedzieć, że zbliżyliśmy się do siebie. Po kilku dniach niesłychanie nudnej i uwłaczającej dla wspinacza turystyki i jednym dniu restowym we wspomnianym Gusinje uznaliśmy, że to już czas najwyższy.

Ognia!

Było około godziny pierwszej po południu, kiedy kończyliśmy piąty wyciąg drogi nazwanej później Wanta pipanta. Pierwsze cztery były dość nieprzyjemne – kruszyzna przetykana trawami. Poruszanie się po trawach w butach wspinaczkowych przypomina trochę wspinaczkę lodową w łyżwach. Człowiek wygina się w literę „J", ręce trzymają, a nogi zmieniają się w sanki. Wyżej nie było już traw, ale wciąż było na tyle krucho, że niektóre chwyty należało obciążać kierunkowo, zwykle w dół na wypór lub w bok. W zasadzie można było je wyjąć równie łatwo jak wyjmuje się książki na półce. Lito i przyjemnie zrobiło się dopiero pod koniec czwartego z dziewięciu wyciągów.

Pierwsze strzały usłyszeliśmy na piątym wyciągu – oszczędzę Wam nędznego suspensu. W Moku mają piwo z sokiem, w Chamonix lodowce, a tu atrakcją są strzelaniny do byle czego. Wszystko byłoby fajnie, gdyby nie... jak to mówią jankesi, it's all fun and games until someone loses an eye. Huki niosły się echem po całej dolinie. Ze stanowiska próbowaliśmy dojrzeć miejsce, z którego tak strzelano, gdy nagle usłyszeliśmy coś, co nas strwożyło. Był to przeraźliwy krzyk kobiety, tak przejmujący, że odebrał nam mowę. Popatrzyliśmy na siebie i po naszych minach widać było, że

„Tak, jest pięknie. Wracamy?" Mateusz i Wojtek na szczycie nienazwanej turni.

nikt z nas czegoś takiego jeszcze nie słyszał. Pewnie dlatego, że żaden z nas nie walczył nigdy na wojnie. Krzyk ciągnął się jeszcze przez chwilę po czym, zdawało się, zdławiony bólem ustał. Zapanowała wtedy taka cisza, że słyszałem jak mi włosy rosną. Wszystkiego, ale nie tego się spodziewałem w trakcie prowadzenia nowej drogi w dziewiczej ścianie. Pamiętam, że powiedziałem coś w rodzaju: „W niczym im nie pomożemy", celowo używając określenia „im", by zasugerować, że to „oni", a nie „ona" potrzebowali pomocy. Chyba wszyscy chcieliśmy w to wierzyć i uwierzyliśmy... Był 14 sierpnia 2010, a słońce było jeszcze wysoko. Na szczycie tej nienazwanej i prawdopodobnie wcześniej niezdobytej wybitnej turni przypominającej naszego Mnicha pierwszy stanął Mati. Zakomunikował to w sposób, jakiego nie wypada przytaczać. Wystarczy powiedzieć, że chciał on zrobić Babilonowi to, co urząd skarbowy robi nam co miesiąc.

Charli. Halifax. Uniform. Juliet

Z końcem dnia komunikacja zaczęła szwankować. Ile można pić wodę z roztapianego w ustach śniegu? Ile można odchłamiać linę? Ile można schodzić? Odpowiedzi na te pytania były równie nieprecyzyjne, co irytujące. Gdy zeszliśmy do podstawy dolinki, skąd zaczynał się nasz podejściowy żleb, było już zupełnie ciemno.

„Kolegi dzium" nowa droga VII-. 49 godzin akcji górskiej bez mp3.

– Idziemy prosto na dół? – spytałem. Do tej pory unikaliśmy zatrawionego i porośniętego młodą buczyną terenu żlebu, który teraz z racji najkrótszej drogi do obozu wydawał się najlepszym rozwiązaniem powrotu.

10 minut później wiedziałem już, że było to najgorsze zejście, jakim szedłem. Trawa wysoka i niewiarygodnie śliska, a każdy nasz ruch w niej wzbudzał rój owadów, które pchały nam się do ust, oczu i uszu tak namolnie, że aby wziąć oddech, trzeba było wyłączać czołówkę, do której leciały, i rzecz jasna zatrzymać się. Gdy tak stałem w kompletnym mroku, czułem na sobie dwa spojrzenia, równie silne jak pragnienie, które odczuwałem. Podobno Polański miał kiedyś powiedzieć „Mam rację nawet wtedy, gdy się mylę". Zdaje się, że to właśnie Wojtas mi wypomniał, gdy skierowałem nas do tego żlebu. Nagle zaczęliśmy kłócić się o „dół" w sensie kierunku i nie pamiętam, który z nas twierdził, że są dwa. Nie było to wtedy istotne, gdyż musiałem zachować spokój. Jeśli w tej bandzie to ja miałbym być Robinem w kapturze, on byłby Małym Johnem. Złe wibracje się nasiliły, lecz gdy tylko zrozumieliśmy, że ich przyczyną były owady, a konkretnie jeden, ustały. Mushkaja Shkardat. Powinniście wiedzieć, że góry te są zwane przeklętymi właśnie przez jad, jaki sączy się z ust każdego przezeń ugryzionego. Pół człowiek, pół meszka. Około godziny pierwszej w nocy wróciliśmy do obozu. Wypiliśmy po litrze izotoniku na głowę, a dodam, że piliśmy szybko... i co? Poszliśmy popływać w pobliskim jeziorze. Na nasze twarze powróciły szczere uśmiechy, bo pojawiła się niekryta radość z pierwszej własnej drogi.

Świeża krew

Do wsi Vusanje, gdzie zostawiliśmy samochód, mieliśmy jakieś 9 km, a stamtąd jeszcze 6 do Gusinje. Tego dnia wyszliśmy na spotkanie z Andrzejem i Mateuszem, którzy przyjechali wraz z jedzeniem, kolejną spitownicą, zapasem taśm, mailonów i, co najważniejsze, świeżą krwią. Pamiętam, że byłem wykończony. Od dwóch tygodni panował upał, jakiego nie znały nawet zegary z obrazów Salvadora Dali. Tamtego dnia, podobnie jak 90 procent męskiej populacji miasta, uprawialiśmy tzw. clubbing, co godzinę zmieniając knajpę: Karanfil, Orbita, pizzeria, Karnafil, mała kawiarenka internetowa, gdzie dzieciaki tną w counterstrike, i znowu Karanfil. Gadając o płytach Credence Clearwater Revival, zobaczyliśmy nissana micrę, który wtoczył się na główną ulicę miasta. W środku siedziało dwóch znanych nam już amatorów dni restowych, którzy z nosami przyklejonymi do szyby rozglądali się po dzikiej i nieznanej okolicy. Przyjechali! Ekipa w końcu była w komplecie.

Liczy się styl

Minęło kilka dni. Księżyc właśnie świtał, więc rozwinęliśmy płachtę biwakową. Byliśmy już po kolacji, a u naszych stóp rysowała się ściana Maja Vukoces – kolejny cel. Był to nasz planowany biwak pod ścianą, mój i Wojtasa. Kostka, którą nadwyrężyłem na podejściu, leżała teraz w menażce pełnej wiecznie zalegającego śniegu zebranego u podstawy ściany. Jest coś niepokojącego w oczekiwaniu. Czas dziwnie zwolnił, gdy księżyc wznosił się nad granią niczym wielki żółty lampion. Na przeciwstoku dostrzegliśmy czołówki Matiego i Andrzeja wracających z rozpoznawczego wyjścia pod Bridashe. Czas mijał. O godzinie 18 następnego dnia byliśmy już na szczycie Maja Vukoces. Nową drogę nazwaliśmy „Dele soundsystem" („dele" to po albańsku owce). Wszystko poszło zgodnie z planem, dokładnie tak jak to wyobrażałem sobie pół roku wcześniej, gdy wpatrywałem się w zdjęcie tej ściany. Tam były kilometry rynien! Na zdjęciu wyglądały jak szare pionowe prążki na gładkiej ścianie. Niezwykle przyjazna formacja. Owe rynny tworzyły się równolegle do siebie, dając długie na kilkadziesiąt metrów ściski, a za nimi kolejne i kolejne. Asekurowanie się w nich nie było łatwe, ani też zbyt konieczne, tarcie jest tam świetne, a tych ścisków po prostu nie dało się puścić. Do tego wszędzie lito, łatwo (maks. VI), nawet okap nazwany przez nas „gacie" – ze względu na kształt – nie był kruchy. Cała ściana jest jakby ulana z wapienia. W trakcie

„Dele soundsystem" na żywo i z liną. Wstęp wolny. ☞

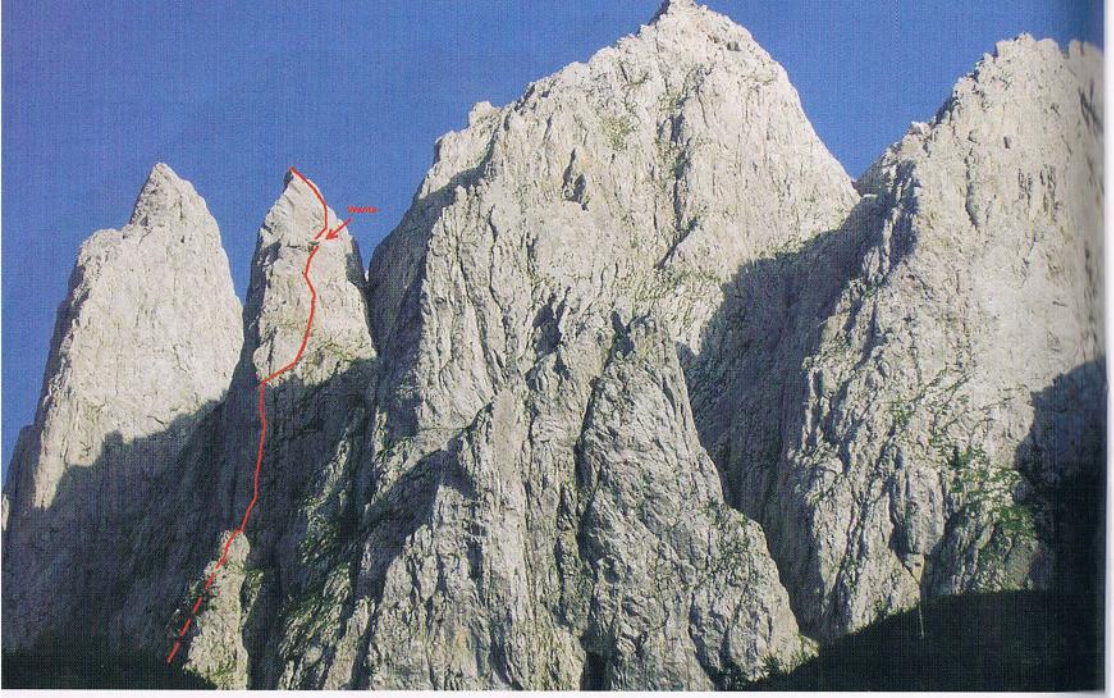

„Wanta pipanta" nowa drga VI+, mistrz zakładu poleca.

tego dnia usunąłem z niej może ze dwa kamienie wielkości pięści. Na „Wancie pipanta" było tego ze dwie taczki i ze trzy duże „telewizory". Wiedzieliśmy, że ta droga otworzyła ścianę i to w dobrym stylu. Naprawdę cieszyłem się z tego przejścia – dziesięć wyciągów naprawdę fajnego wspinania. Dlaczego styl ma takie znaczenie? Mniejsza o OS, wspinanie w stylu First Ascent jest naprawdę wyjątkowe. Pozbawia wspinacza bardzo ważnego czynnika stojącego na przeszkodzie poczuciu ostatecznej wolności – odniesienia. Jesteś pierwszy w ścianie i to ty wykonujesz jako pierwszy wszystkie ruchy. To ty je wyceniasz. Przestajesz doszukiwać się kruksów, a jak już jakiś znajdziesz nie zastanawiasz się ilu wcześniej w tym miejscu poleciało i jak musieli być silni ci, którzy go przeszli. To trochę tak jak wtedy, gdy podchodzisz do kompletnie obcej dziewczyny, by z nią zagadać z tą różnicą, że nie przyglądają ci się starsi koledzy. Szał.

Jeden Bóg

Po tym jak nasze jezioro wyschło przenieśliśmy obóz na polankę koło pasterzy gdzie było małe źródło. Poranne posiłki z nimi, ich rakija, seritowarzystwobyłykolejnymważnymatutem. Sherif Mustafa Lekaj miał dwóch synów: Okisa i Lirima oraz stado owiec. My mieliśmy natomiast wszystko to, czego pragnąłby dla swoich synów: dobrze płatną pracę, brak obowiązku wizowego oraz Unię Europejską.

Spytał mnie czy jestem katolikiem. Pokiwałem głową, że tak, choć ręką chciałem pokazać, że trochę. On na to, że jest muzułmaninem, po czym wskazał palcem najpierw mnie, siebie, a następnie niebo, po czym złożył ręce w modlitwie. Spojrzał na mnie raz jeszcze, pokazując ów jeden uniesiony palec wskazujący. To co miał na myśli, sprawiło, że zacząłem zastanawiać się, czy ten facet będzie nas teraz prowadzić przez 40 lat po pustyni Negew. Z uśmiechem przyznałem mu rację. Uścisnęliśmy sobie dłonie i wtedy dolał mi rakiji. Spytał o naszych kompanów, Andrzeja i Matiego: „Ku kolegi dzium?" (gdzie spali koledzy?). Wyciągnąłem duże zdjęcie Bridashe i pokazałem miejsce w środku ściany. Złapał się za głowę i zawołał synów. Nie mogli wyjść z podziwu. Pytał, czy mają namiot. Wyko-

nałem ruch pokazujący, że założyli kaptury i przykucnąłem. Westchnęli znacząco. Czas płynął i właśnie mijało grubo ponad 30 godzin, odkąd widzieliśmy się z Matim i Andrzejem. Ponadto od jakiegoś czasu nie mogliśmy nawiązać łączności przez radio. Zrobiła się godzina 17 i trzeba było działać. Nie było nam wcale do śmiechu. Pod ścianę było około półtorej godziny drogi, doszliśmy w pół. Stanąłem pod tą 500-metrową iglicą, wyciągnąłem gwizdek ratunkowy, który każdy z nas miał, i gwizdnąłem trzy razy. Cisza.

Przed oczyma miałem tatę Matiego, który w dzień wyjazdu podał mi dłoń mówiąc: „Powodzenia i bądźcie ostrożni". Na domiar złego telefon satelitarny odmówił nam posłuszeństwa już drugiego dnia pobytu.

Nagle odezwał się sygnał wywoławczy radia. Mieli się dobrze. Nie unosząc się oraz grzecznie niczym dżentelmeni wyjaśniliśmy sobie przyczyny chwilowego braku łączności spowodowanego ukształtowaniem terenu i spokojnie udaliśmy się do miejsca wskazanego przez zespół w ścianie, w którym to mieliśmy go oczekiwać. Faktem jest, że trochę bluzgaliśmy, ale nie pamiętam kiedy ostatnio się tak cieszyłem. Zapadł zmrok. Przez kolejną godzinę wpatrywaliśmy się w małe czołówki iskrzące się w ścianie coraz niżej i bliżej nas. Mati nucił temat muzyczny z filmu „Indiana Jones" na tyle głośno, że było go słychać na dole, a my śmialiśmy się i nuciliśmy to samo.

Jak dojechali już na dół, zaczęli opowiadać o zapychu i biciu spita, o parchatym kominie, o tym, że w nocy na kiblu kilka metrów od nich słychać było świerszcza, o gwiazdach i kompletnej kruszyznie na szczycie. Byli wyraźnie odwodnieni, bo średnio co 10 słów wypijali objętość sporego kubka. Gdy doszliśmy do obozu, zaczęliśmy świętować. Rozpaliliśmy ognisko, wyciągnęliśmy rakije i pamiętam, że wskoczyłem Andrzejowi na plecy, a ten ledwo ustał na nogach. Chyba nawet śpiewaliśmy.

Jak już wspomniałem, czasami nie da się przewidzieć konsekwencji podjętych czynów. Kierowca pekaesu, którym prawie miesiąc wcześniej jechaliśmy do Nysy, prawdopodobnie był wtedy gdzieś w trasie...

****

W trakcie blisko miesięcznego pobytu w dolinie Ropojana w Prokletijach w Albanii Północnej ekipa wyprawy „Albania 2010" w składzie: Mateusz Balcerzak, Adam Latusek, Wojtek Szeloch, Andrzej Szypowski i Mateusz Zabłocki poprowadziła trzy nowe drogi oraz dokonała najprawdopodobniej pierwszych wejść na dwa dziewicze szczyty. Wszystkie drogi zostały pokonane w stylu OS, klasycznie i bez użycia spitów, które wykorzystywano jedynie przy zjazdach.

Członkowie wyprawy chcieliby podziękować sponsorom, Klubowi Wysokogórskiemu Warszawa oraz jego członkom, bez których nie byłoby o czym pisać. Ponadto chcielibyśmy podziękować Markowi Grądzkiemu, Wiesławowi Madejczykowi, Arturowi Paszczakowi, Kamilowi Weinbergowi, Alkowi Barszczewskiemu, Wojtkowi Malawskiemu, Wojtkowi Muszyńskiemu, Pawłowi Olkowi oraz Ciapie. Moc jest z Wami.

Adam i Wojtek na baldzikach, czyli nie samym wspinaniem człowiek żyje.

Afganistan 2010
oczami kobiety

Tekst: **Elżbieta Kamińska**

Moja przygoda z górami Afganistanu rozpoczęła się mniej więcej w styczniu 2010 roku. Wtedy podjęłam decyzję wzięcia udziału w wyprawie. O tyle odważną i desperacką, że wiązała się ona z rezygnacją z pracy. Sprawa urlopu była dość oczywista, nie miałam co się łudzić, że dostanę aż tyle tygodni wolnego. Nęcąca była dla mnie również wizja pokonania trasy samochodem – około 18 tysięcy kilometrów. Nigdy aż tak daleko nie zapuszczałam się drogą lądową, pachniało mi to ekscytującą przygodą i nie zawiodłam się...

Elwoodem do Afganistanu

W pierwszych dniach lipca, po wielu zarwanych nocach poświęconych przygotowaniom (wtedy nawet nie przeczuwałam, że nieprzespane noce będą moją codziennością do końca wyprawy), ruszyła karawana samochodowa. Przydzielono mi miejsce w Toyocie Landcruiser HJ61, pieszczotliwie nazwanej Elwood, ten sam przydomek nosił jej kierowca – Dariusz Czapko. On i samochód to jedność, nawet usposobienie mieli podobne.

Droga przez Ukrainę i Rosję minęła dość szybko. Im dalej na wschód, tym większy rogal na mojej buźce, w nozdrzach coraz mocniej czuć było azjatyckie stepy. Kazachstan przywitał nas upałami, które dochodziły do 52 stopni! Zawsze wydawało mi się, iż człowiek w takich temperaturach już kona, a tu gdyby nie to, że troszkę parzyło nas powietrze, parzyła kierownica, parzyły drzwi i wszystko co czarne w samochodzie, byłoby całkiem znośnie.

Wspomniałam, że do końca wyprawy prześladował mnie permanentny brak snu. Otóż, aby wyrównać tempo z drugim samochodem, Nissanem Terrano, którym dowodził Mirmil (Mirosław Łabuz), musieliśmy jechać również nocą. Nie byłam jedynym żeńskim elementem zespołu Elwooda, do niej należała także... przyczepka, której zdecydowanie więcej uwagi poświęcano niż mnie. Delikatna i kapryśna jak kobieta, ale jednocześnie niebywale silna, przetrwała wszystkie niewygody i przeszkody. Wróciła z nami do Polski prawie bez szwanku.

Myślę, że dla wszystkich uczestników, którzy wybrali drogę lądową, ten etap był zupełnie osobnym rozdziałem wyprawy. Ciśnienie związane z tym, aby być na czas w Duszanbe, gdzie mieli na nas czekać pozostali uczestnicy, wywoływało napięcia – wiele skrajnych emocji często niewspółmiernych do sytuacji. Trudy drogi i ograniczona możliwość dbania o higienę osobistą też robiły swoje.

W tamtym czasie nie odczuwałam tak mocno dominacji męskiego pierwiastka. Dopiero gdy ekipa się połączyła i pomimo tego, że w grupie pojawiła się jeszcze jedna kobieta, sympatyczna lekarka – Justyna Leszczuk, to moje instynkty samoobronne znacznie się wyostrzyły. Z Justyną właściwie miałam niewielki kontakt – wytyczyłyśmy sobie różne cele podczas wyprawy.

Ziemia Afgańska

Przejścia na granicach dostarczały nam wiele niezapomnianych wrażeń. Największe wzbudziło to na tadżycko-afgańskiej. Chociaż starałam się dostosować do kanonów ubioru

Afgańscy wyprawowicze. Fot. M. Ostrowski.

W drodze do Sarhad-e Broghil, podziwianie Baba-Tangi 6516 m. Fot. D. Czapko.

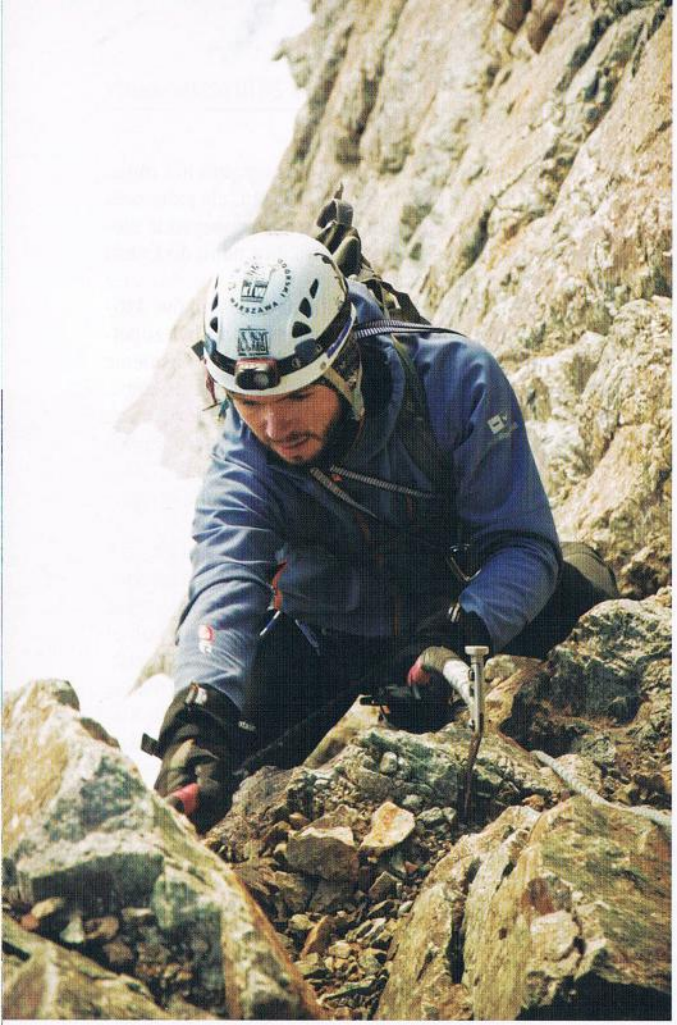

Trudne wspinanie mikstowe w wykonaniu Tomka Klimczaka. Fot. M. Ostrowski.

panujących w tym kraju, poczułam się bardzo nieswojo. Pogranicznicy raz po raz łypali oczami, śmiali się i coś tam do siebie szeptali. Zatrzymaliśmy się na jeden dzień w przygranicznym mieście Iszkaszim, aby załatwić pozwolenia na przebywanie w Korytarzu Wachańskim. Nasz przyjazd wzbudził niezłą sensację, natychmiast wokół nas zgromadził się tłum mężczyzn. Prawdopodobnie chcieli się dowiedzieć, po co przyjechaliśmy, co ze sobą przywozimy i... ile na nas zarobią. Po pewnym czasie atmosfera zrobiła się gęsta, postanowiliśmy szybko zniknąć z ulicy i zaszyć się w hotelu zaproponowanym przez Sacjego – agenta lokalnej organizacji turystycznej.

Po otrzymaniu pozwoleń ruszyliśmy w dalszą drogę. Ostatni odcinek trasy kończył się w Sarhad-e Broghil około 200 km od Iszkaszim. Pokonaliśmy go w dwa dni, ale to był prawdziwy offroad! Często zmuszeni byliśmy szukać drogi, nie zawsze była oczywista, badaliśmy brody, którymi można bezpiecznie przekroczyć rzeki. Samochody tamtędy jeżdżą dość rzadko.

Karawana

Po przyjeździe do Sarhad-e Broghil natychmiast przystąpiliśmy do formowania karawany. Naturalnie nie obyło się bez intensywnych negocjacji. Pakunków do zabrania było sporo, grubo ponad tonę. Ostatecznie wypożyczyliśmy dziewięć koni i osła, wszystkie z opiekunami. Właściciel nie powierzy swojego majątku nieznanym przybyszom. Zdecydowaliśmy się dodatkowo zakupić trzy konie, ogiera i dwie klacze, z których jedna niestety była kulawa, nie zauważyliśmy tego przy zakupie. Nazwaliśmy ją Kulasem, bo jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że to klacz, Wachowie wcisnęli nam kit, że to ogier, tylko wykastrowany! Klacze okazały się dość niefortunnym zakupem, przysporzyły nam sporo kłopotów. W górach wysokich nie hoduje się klaczy, są słabsze i źle znoszą surowy pamirski klimat. Kirgizi kupują od Wachów tylko ogiery. Wystarczy sobie wyobrazić, co się działo po przybyciu klaczy do „krainy wyposzczonych ogierów"!

Do osady Ucz-Dżilga doszliśmy po pięciu dniach walki z wysokością, wartkimi brodami, problemami żołądkowymi, i raz po raz spadającymi z koni jukami. W ramach ciekawostki dodam, że do koni woła się tam „ciu, ciu" zamiast „wio".

Karawana. Fot. E. Kamińska. ☞

Po założeniu bazy

Bazę w dolinie rzeki Ucz-Dżilga założyliśmy 21 lipca. Zachciało nam się mięsa – baraninki. Już w Polsce zadeklarowałam, że jeśli zajdzie taka potrzeba, to pojadę konno do wioski po mięso. Pierwsze dwa dni w obozie miałby być poświęcone odpoczynkowi i rekonesansowi, zwłaszcza że zbliżało się załamanie pogody. To był idealny czas, by wdrożyć plan z mięsem. Razem ze mną do wioski udał się Jakub Gajda, który znał język tubylców. Za owieczkę i baranka zapłaciliśmy słono, a z tego dostało się nam ok. 4 kg utytłanego w trawie mięsa. Przez następne dwa dni czyściliśmy je w rzece i ćwiartowali na maleńkie kawałki, żeby chociaż trochę podpiec. W naszych założeniach w cenę miało być wliczone przygotowanie mięsa, niestety chyba się dobrze nie zrozumieliśmy z Kirgizami, oni po prostu chcieli na nas dobrze zarobić. Nawet za wypożyczenie garnka zażądano opłaty. Garnek wreszcie się znalazł, ale co z opałem? Zbudowaliśmy kuchnię polową z kamieni, i na wzór tubylców chcieliśmy rozpalić wysuszone placki jaków i kóz, ale zupełnie nam to nie szło. Dzień wcześniej padał deszcz i zawilgotniały. Po trzech godzinach walki trud został uwieńczony słabym płomieniem, niestety nie dawały spodziewanej temperatury. Mięso podzieliliśmy na dwie części, każda smażyła się przynajmniej osiem godzin. Drugą porcję w połowie zjadły psy, gdyż smażyło się nocą, a nas w końcu zmógł sen. Czwartego dnia po wyjściu z bazy byliśmy wreszcie gotowi na powrót i znów niespodzianka – spłoszono nam konie! Właściwie to byliśmy przyzwyczajeni do tej specyficznej kirgiskiej gościnności, w pozostałe noce też je spuszczano. Niemniej tym razem spuszczono i spłoszono je tak, że dopiero późnym popołudniem udało się je złapać. Około 16 skończyliśmy kulbaczenie i już chcieliśmy ruszyć w drogę, kiedy od strony gór zamajaczyły nam dwie kolorowe plamki. Wytężyłam wzrok, postacie przypominały ufoludki z kreskówek. Wyglądały dość groteskowo

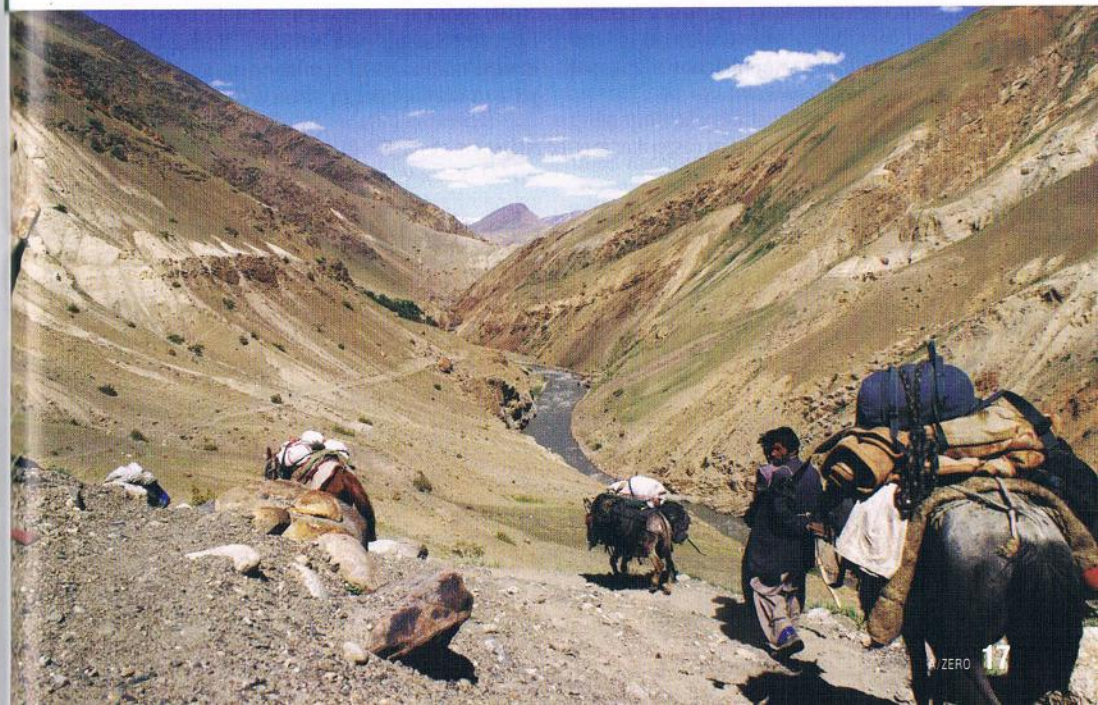

na tle pejzażu kirgiskiej prerii. Kiedy się zbliżyli, rozpoznaliśmy w nich Petra (Piotrka Kłosowicza) i Precla (Tomka Rojka)! Wyszli na kilkugodzinne wspinanie, które przerodziło się w prawie dwudniową wyczerpującą akcję górską, z dwoma batonami w ramach prowiantu. W tej samej chwili, z doliny od strony obozu, nadjechał konno Klimas (Tomek Klimczak). W obozie zaczęto się troskać o naszą czwórkę, o chłopaków, którzy wyszli na szybką akcję, i o „ekipę mięsną", która o dwa dni przedłużyła misję. Od Klimasa dowiedziałam się o kolejnych sukcesach wyprawy i że mój zespół właśnie wyruszył do wysuniętego obozu, a wcześnie rano zamierza atakować szczyt. Tak oto umknęła mi pierwsza szansa zdobycia dziewiczego wierzchołka.

Następnego dnia wyruszyłam do obozu wysuniętego. Późnym popołudniem doczekałam się powrotu szczęśliwej brygady: Szpilberga (Rafała Sieradzkiego), Karpia (Michała Karbowskiego) i Gonza (Sławka Korytkowskiego), zmęczonych, ale przepełnionych radością. Do obozu wysuniętego ruszył z nimi także Mirmil. Nasz dzielny kierowca postanowił zdobyć swoją górę. Z jego relacji wynika, że do celu zabrakło mu zaledwie kilkudziesięciu metrów. W miejscu, w którym zdecydował się na odwrót, pozostawił ślad swej obecności, zakopał w śniegu paczkę herbatników!

Podjęłam w sumie trzy próby zdobycia dziewiczych szczytów, żadna nie została uwieńczona sukcesem. Dwa razy wycofywałam się niemal spod wierzchołka. W moim odczuciu jednak nie poniosłam porażki. Szczyt to tylko wisienka na torcie. Naturalnie można i nawet trzeba analizować przyczyny niepowodzenia, te obiektywne i subiektywne, może ich być wiele: zła pogoda, zbyt późne wyjście, zbyt głęboki śnieg, zmęczenie, nieporozumienia w zespole itd. Ale to wszystko dla mnie nie jest najważniejsze, staram się pamiętać, że ja jestem jedna, a gór jest wiele... To walka nas hartuje, góry nie zawsze pozwalają się zdobyć, dobrze, że chociaż wypuszczają.

Na dwa tygodnie działalności górskiej, połowę z tego zabrała nam niepogoda. Mimo to każdy z uczestników miał szanse na zrealizowanie swoich celów. Nie wszystkim się udało, ale wszyscy zapracowali na wspólny sukces, którym w ostatecznym bilansie pozostaje osiem zdobytych dziewiczych szczytów i poprowadzonych kilka nowych dróg.

Kilka refleksji

W górach wysokich uwielbiam ciszę i chrzęst śniegu pod butami... Lubię to poczucie maluczkości i zmagania się sił – mojej z tą wielką potęgą natury. Przecież już na

Kirgiska osada Ucz-Dzilga, ostatnia na naszej drodze przed założeniem obozu. Fot. E. Kamińska.

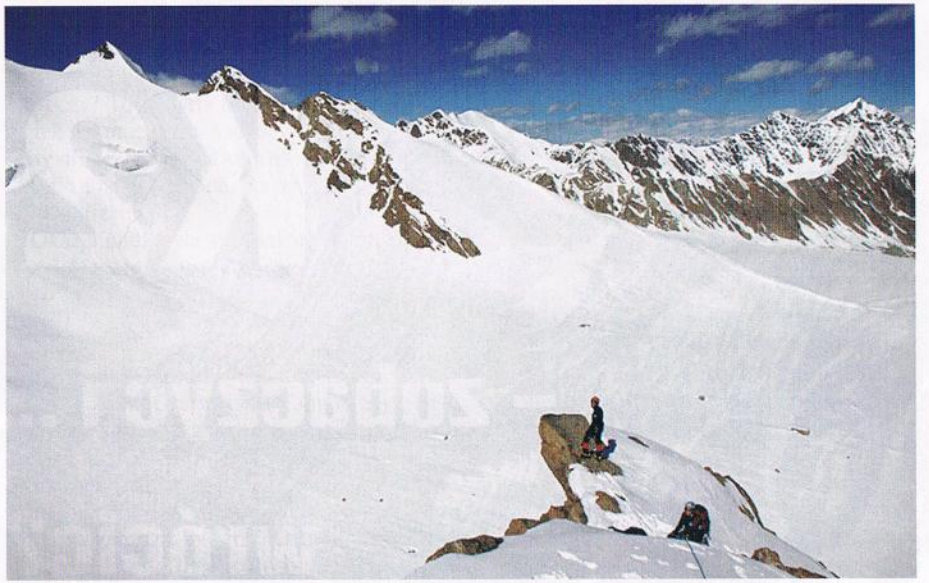

Bartek w czasie wspinaczki na Kotale Tasznob - przełęcz ok. 5350 m n.p.m. Fot. M. Ostrowski.

starcie nie mam szans, jestem zupełnie bezbronna wobec jej kaprysów, a mimo to podejmuję wyzwanie...

Po wyprawie często zadawano mi pytania, czy nie bałam się jechać do Afganistanu z tyloma mężczyznami? Czy z tytułu płci miałam jakieś ulgowe traktowanie? Czy miałam poczucie, że wszystko odbywa się sprawiedliwie?

Nie bałam się jechać w męskim gronie, gdyż mam pięciu starszych braci, więc z takim środowiskiem jestem oswojona. Jeśli chodzi o Afganistan, myślę, że młodość charakteryzuje się pewną naiwną odwagą, ale w połączeniu z odrobiną rozsądku można dokonać pięknych rzeczy. Pomysłodawcą i głównym organizatorem wyprawy był Bartłomiej Tofel. W 2009 roku odbył podróż do Korytarza Wachańskiego, ocenił poziom bezpieczeństwa, a uczestnicy zgłosili się dobrowolnie.

Z ulgowego traktowania nie chciałam korzystać. Szczególnie bardzo zależało mi na tym, aby podział prowiantu i szpeju w plecakach odbywał się sprawiedliwie. Nie chodziło mi o dumę czy ambicje, chciałam być po prostu niezależna psychicznie i fizycznie.

Poczucie sprawiedliwości czy niesprawiedliwości jest subiektywne. Owszem, miałam kilka momentów poczucia niesprawiedliwości z tytułu płci. Cóż, w mężczyznach nie da się wykorzenić wrodzonej opiekuńczości do płci pięknej. Specjalnie nie użyłam określenia „słabej", bo nie jesteśmy słabsze, posiadamy tylko inne proporcje sił.

Dzieci Wachów w jednej z wiosek. Fot. M. Ostrowski.

K2 – zobaczyć i ... wrócić?

Tekst i zdjęcia: **Marcin Miotk**

Któż z nas nie chciałby zobaczyć K2 na własne oczy? To historia alpinizmu, gdzie polski wątek jest mocno naznaczony sukcesami i niestety tragediami. Od dawna było dla mnie jasne, że na K2 pojadę, bo po prostu miałem takie marzenie.

Okazja nadarzyła sie znakomita, bo Bogusiowi Ogrodnikowi udało się zorganizować w 2010 roku polską wyprawę na K2, co nie zdarza się zbyt często. Skład wyprawy był następujący:

Bogusław Ogrodnik (leader), Kinga Baranowska, Anna Czerwińska, Tamara Styś, Patrycja Jonetzko (lekarz wyprawy), Tomasz Kobielski, Marcin Miotk, Dariusz Załuski, Yura Ermachek – Rosjanin, przyjaciel i uczestnik polskich wypraw, Tommy Heinrich – argentyński wspinacz i fotograf. Ostatecznie nasza wyprawa liczyła dziesięć osób (dziewięcioro wspinaczy i lekarz).

K2 (Chogori) to drugi co do wysokości szczyt ziemi o wysokości 8611 m n.p.m. i jednocześnie najwyższy szczyt pasma Karakorum. Znajduje się na granicy Chin i Pakistanu. Uważany za najtrudniejszy ośmiotysięcznik do zdobycia, gdyż duże trudności techniczne występują tam na każdej z dróg, zwłaszcza w okolicach kopuły szczytowej, czyli powyżej 8000 m, gdzie słynne przewężenie zwane „butelką" powoduje, że tylko nieliczni stają na szczycie.

Szczyt po raz pierwszy został zdobyty w 1954 roku przez Włochów. Natomiast pierwsze polskie wejście na K2 należy do Wandy Rutkiewicz (1986 r.); było to również pierwsze na świecie kobiece wejście na ten szczyt. Do tej pory na górze stanęło tylko ośmiu Polaków. Innym znaczącym dla nas wydarzeniem było wytyczenie nowej drogi na szczyt ścianą południową przez Jerzego Kukuczkę i Tadeusza Piotrowskiego. Droga do dzisiaj nie została powtórzona...

Nasza wyprawa zamierzała wspinać się drogą Basków (również nazywaną drogą Cesana). Jest ona mniej popularna. W monografii o K2 Jana Kiełkowskiego oznaczona została jako bardzo trudna ze względu na występujące na niej trudności techniczne. Jednocześnie uważana jest za bardziej bezpieczną, bo mniej narażoną na obiektywne zagrożenia, takie jak lawiny śnieżne i skalne.

Fredrik Ericson wspina sie w kierunku obozu III na K2.

Skardu

Przelot do Skardu (pakistańskie Zakopane) to atrakcja sama w sobie. Przy dobrej widoczności przelatuje się bardzo blisko jednego z najpiękniejszych ośmiotysięczników świata – Nanga Parbat, który słynny jest z tego, że znajduje się tam największa ściana górska świata – Rupal, ponad 4,5 km wysokości od podstawy góry do szczytu. My widoki mieliśmy niesamowite, a Pakistańczycy byli bardzo uprzejmi i umożliwili nam łatwy dostęp do okien. Szczyt po prostu był na przysłowiowe wyciągnięcie ręki. Żartowaliśmy, że trzeba się mocno wpatrywać, to może zobaczymy tam kogoś z polskiej wyprawy, która obecnie działa na Nanga Parbat i przygotowuje się do ataku szczytowego. Następnego dnia jedziemy jeepami do Askole, skąd kolejnego zaczynamy około sześciodniową karawanę do bazy pod Broad Peak/K2.

Trekking pod K2

Siedmiodniowy trekking pod K2 to przygoda sama w sobie, szczególnie dla tych, którzy są w Karakorum po raz pierwszy. Rodzaj i trudności trekkingu są zupełnie odmienne od tych spotykanych w Nepalu. Nie ma tu hotelików, wędruje się w dużej mierze lodowcem, a strzeliste szczyty są dosłownie na wyciągnięcie ręki.

Ze Skardu po 6 godzinach jazdy w upale i kurzu po serpentynach, dotarliśmy do Askole (3000 m n.p.m.). Po drodze musieliśmy się zmierzyć z zerwanym mostem. Pierwszego dnia dotarliśmy do Jhola (3300 m). Kolejnym przystankiem było Paiyu (3600 m). Jest to ostatni kemping przed lodowcem Baltoro. Rozciąga się stąd widok na czoło lodowca. Dzisiaj mamy tu tradycyjny odpoczynek dla tragarzy. Mogliśmy próbować przekonywać ich, żeby iść dalej, ale mieliśmy ciężkie ładunki i baliśmy się, że tragarze mogą później na lodowcu strajkować. W ciągu dnia dużo odpoczywaliśmy, robiliśmy pranie i kąpaliśmy się.

Trek do Jhola.

Musieliśmy podziękować 30 tragarzom, bo byli za słabi i trzeba ich było wymienić na innych przed jutrzejszym wejściem na lodowiec. Tak zadecydował nasz sirdar (lider tragarzy). Wieczorem tragarze odbywali rytualne tańce, bawili się i tańczyli. Kolejny dzień to Urdukas – ostatnie miejsce z zielenią przej wejściem w krainę kamieni, śniegu i lodu. Marsz po lodowcu był bardzo męczący – raz do góry, raz na dół. Mimo że wydawało się, że idziemy więcej pod górę na wysokościomierzu prawie nic nie przybywało. Po drodze podziwialiśmy piękne szczyty masywu Trango, z Trango Tower na czele. Okolice K2 to teren bardzo zmilitaryzowany, bo to granica z Chinami i tereny walk o Kaszmir. Śmigłowce latają co pół godziny, mijamy posterunki wojskowe na lodowcu. Po drodze podziwiamy piękne szczyty Masherbrum i Gasherbrum IV. Mamy pierwszą ofiarę choroby wysokościowej – pomocnik oficera łącznikowego prawie stracił przytomność. Dostał zastrzyk od naszej lekarki, a potem wsadziliśmy go do worka Gamowa. Pierwszy raz K2 zobaczyliśmy z miejsca zwanego Concordia – nie skłamię, jak powiem, że wrażenie jest oszałamiające i... lekko przerażajace, bo człowiek od razu czuje się bezbronny w zderzeniu z takim KOLOSEM.

Obóz I

W stronę obozu I wyruszył zespół: Kinga Baranowska, Tamara Styś, Bogusław Ogrodnik, Marcin Miotk, Dariusz Załuski oraz porterzy wysokościowi. Pierwsi do miejsca wcześniejszego depozytu dotarli Darek z Tamarą, którzy zaczęli poręczowanie w kierunku obozu I. W tym samym czasie Kinga, Boguś i ja uzupełniliśmy swoje plecaki rzeczami z depozytu z dnia poprzedniego. Po zaporęczowaniu 200 m skończyły się liny. Próbowałem małymi

Masherbrum. ☞

kawałkami lin uzupełniać stare poręczówki. Darek po rekonesansie do wysokości 6050 m stwierdził, że wyżej zdecydowanie nie ma miejsca na postawienie namiotu. W pogarszającej się pogodzie zeszliśmy niżej i znaleźliśmy bardzo wąską półkę skalną, na której rozbiliśmy namiot obozu I. Wysokościomierz wskazywał 5900 m. Na nocleg i przygotowanie platformy zdecydowaliśmy się w trójkę: Kinga, Tommy i ja. Przygotowanie miejsca pod namiot zajęło nam 3 godziny i przypominało zaparkowanie tira (namiotu trzyosobowego) w małym garażu. Zakończyło się tym, że część namiotu była lekko wywieszona w powietrzu – czyli bezsenność w Karakorum.

Po powrocie w bazie spotkaliśmy uczestników innych wypraw, które zamierzały atakować K2 w tym roku: Fabrizio Zangrilli i Chris Szymiec – liderzy grupy FTA, którzy działają na Broad Peaku, a potem zamierzają przenieść się na naszą drogę Basków na K2. Dla Fabrizio to już czwarta próba wejścia na K2, następnie poszliśmy do mesy Gerlinde Kaltenbrunner (też czwarta próba), dla której to ostatni niezdobyty ośmiotysięcznik. W mesie byli też jej mąż Ralf Dujmovits oraz Alberto Inurrategi, zdobywcy Korony Himalajów, reasumując w ciekawym spotkaniu pełnym żartów i docinek siedziało razem „kilkadziesiąt ośmiotysięczników". Potem jeszcze dołączył do naszej grupy Szwed Fredrik, który zamierzał zjechać na nartach ze szczytu K2 (nikt tego jeszcze nie dokonał) oraz jego partner wspinaczkowy Tre, który jako dziennikarz, wolny strzelec opisuje próbę wyczynu Szweda.

Wypad na Broad Peak

Nasza wyprawa posiada pozwolenie na atakowanie dwóch szczytów w Karakorum: K2 i Broad Peak. Oba szczyty leżą obok siebie w odległości godziny drogi po lodowcu, co umożliwia akcję górską z naszej bazy pod K2.

Wybrana przez nas droga Basków na K2 charakteryzuje się bardzo małą ilością platform pod namioty aż do ramienia K2, czyli obozu IV na wysokości około 8 tys. m. Powo-

duje to, że w akcji górskiej w przypadku dobrego okna pogodowego nie mogą wziąć udziału wszyscy, bo po prostu nie ma miejsca. Z drugiej strony, każdy chce wykorzystać dobrą pogodę do zdobywania aklimatyzacji.

Odrębnym aspektem jest używanie tlenu – Tommy, Kinga i ja świadomie nie mamy tlenu do akcji górskiej na K2. Założenie atakowania szczytu bez użycia tlenu powoduje, że schemat aklimatyzacji powinien być inny i musi obejmować co najmniej jeden wypad na wysokość około 8 tys. m przed atakiem szczytowym.

Powyższe założenie spowodowało, że musieliśmy z Tommym rozpocząć akcję górską na Broad Peaku, aby nie stracić okna pogodowego.

Po szybkim śniadaniu wyszliśmy o 4 rano w kierunku bazy pod Broad Peak, gdzie zaczyna się wspinaczka. Mieliśmy ciężkie plecaki, ponieważ wszystko nieśliśmy sami – namiot, śpiwory, kurtki puchowe, jedzenie, gaz, sprzęt wspinaczkowy. Pogoda zapowiadała się wspaniała. Takie wczesne wychodzenie ma kilka zalet – śnieg jest twardy, więc nie zapadamy się po kolana. Szczeliny są jeszcze zmrożone, a co najważniejsze, nie dokucza wszędobylskie słońce, które momentalnie wysysa siły i powoduje, że z passata stajemy się w jednej chwili polo – jeśli chodzi o moc na górze.

Po dojściu do bazy pod Broad Peakiem kierujemy się na lodowiec, który jeszcze dobrze zmrożony nie nastarcza dużych problemów. Zaczynamy mozolnie piąć się do góry – po trzech godzinach docieramy do obozu I. Jesteśmy jeszcze cały czas w cieniu! Dopiero podczas odpoczynku dopada nas słońce. Robi się przyjemniej, ciepło, chociaż doskonale zdajemy sobie z Tommym sprawę, że w drodze do obozu II będziemy jeszcze to słońce przeklinać. W czasie krótkiego odpoczynku odczytujemy z telefonu satelitarnego SMS o wyniku meczu półfinałowego Hiszpania–Niemcy. Radości nie ma końca – sorry , German friends :-). W obozie jest kilku Hiszpanów – robi się wielki rozgardiasz. Wiadomo, kilku Hiszpanów dyskutuje o futbolu.

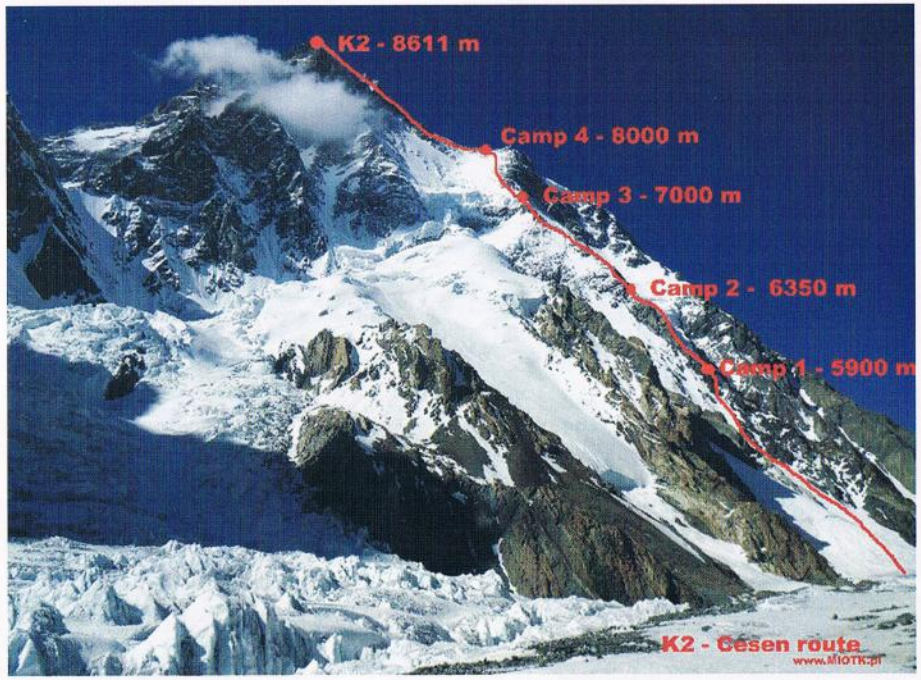

Schemat drogi.

Po krótkim odpoczynku ruszamy w kierunku obozu II na wysokości 6300 m – słońce przypieka niemiłosiernie. Nasze plecaki z każdym metrem wydają się być cięższe. Mimo że mamy wrażenie, iż posuwamy się powoli, wyprzedzamy innych – może wcale nie jest z nami tak źle, próbujemy się pocieszać. Bardzo ciekawe jest, że wyprzedzając lub będąc mijanym zawsze próbuje się kogoś zagadnąć: skąd jesteś, jak masz na imię, które to twoje wyjście itp.? Ty i twój rozmówca ledwo żyjecie, co drugie słowo musisz robić przerwę na oddech, ale rozmowa toczy się dalej. Dla mnie sukcesem jest zawsze pamiętanie narodowości rozmówcy, już nie daję rady zapamiętać imienia. Jak zapamiętam narodowość, zawsze za kilka dni mogę zacząć rozmowę : „How are you, my Spanish friend".

W końcu po sześciu godzinach od wejścia w ścianę docieramy do obozu II. Z wielkim trudem znajdujemy platformę na nasz malutki, lekko ponadkilogramowy namiocik. Jego waga niestety jest odwrotnie proporcjonalna do komfortu spania. Gotujemy nieskończone ilości płynów, makaronów. Powoli robi się ciemno. Łączymy się jeszcze z bazą i chciałoby się powiedzieć zapadamy w błogi sen po ciężkim dniu, ale niestety to nieprawda. Nowa wysokość i ciasny namiot powodują, że walczymy o każde kilka minut snu. Kolejnego dnia po krótkim rekonesansie w stronę obozu III (6600–6700 m) zeszliśmy do bazy pod K2. Niezła wycieczka. W tym czasie na K2 założono obóz II.

Wspinaczka w kierunku obozu I na K2.

Obóz III

Po poprzednim wietrznym dniu nie byliśmy pewni prognozy na następny dzień. Rano, po wychyleniu głowy z namiotu, szybko zdecydowaliśmy się z Jurą na wyjście. Wiedzieliśmy, że nie będzie ono łatwe, bo plecaki mieliśmy wypełnione po brzegi jedzeniem, namiotem, śpiworami – po prostu nie mogliśmy liczyć na porterów wysokościowych.

Jurę wyprawiłem pierwszego i dopiero później zacząłem gotować sobie śniadanie. Wiedziałem, że Jura jest jak czołg – może nie za szybki, ale wyjątkowo wytrzymały i niezniszczalny. Wyszedłem dwie godziny po nim i miałem nadzieję, że w tym samym czasie się spotkamy w okolicach obozu III – to szczególnie ważne, aby nie czekać na siebie, bo wtedy się marznie. Na szczęście udało mi się Jurę dogonić przed obozem III. Wyszedłem nawet ponad nasze miejsce, ale ze względu na późną porę zaczęliśmy „rzeźbić" platformę na obecnym miejscu. Po chwili doszli Darek i Tamara i wspólnie po dwóch godzinach przygotowaliśmy platformę. Jako że wiało mocno, mieliśmy niemałą satysfakcję, że możemy schować się do przytulnego namiociku, gdzie od gotowania zrobiło się bardzo przyjemnie.

Po pierwszej nocy na tej wysokości czułem się wyjątkowo dobrze. Nie znaczy to, że spałem znakomicie – ja w ogóle słabo sypiam, ale za to nie bolała mnie głowa, trochę tylko dokuczał kaszel. Razem z Darkiem i Jurą wyszliśmy nawet trochę do góry, aby zobaczyć platformy na kolejne namioty, ponieważ pod naszą skałą nie było już miejsca. Pogoda była fantastyczna – prawie bez wiatru. Widać, że w tym roku jest bardzo mało śniegu, co dobrze prognozuje warunki wokół butelki, ale z drugiej strony ciężko się idzie po skalnych płytach między obozami – szczególnie w rakach. Po zejściu do namiotów powitaliśmy Kingę, która jako pierwsza doszła do obozu III z grupy, która spała w dwójce. Po przybyciu reszty rozbito dwa namioty powyżej naszego namiotu, w miejscu prawdziwego obozu III.

Atak szczytowy

Do 23 lipca włącznie mieliśmy kilkudniowe załamanie pogody i spory opad śniegu. Z drugiej strony pojawiła się informacja, że najbliższe dni będą dobre do atakowania szczytu ze względu na słaby wiatr i ogólnie przyzwoitą pogodę. Aby móc wykorzystać pierwsze, lepsze okno pogodowe trzeba było jutro wyjść do góry. U wszystkich pojawił się dylemat, czy bezpieczne jest wychodzenie dzień po kilkudniowym opadzie i czy okno pogodowe jest na tyle długie, że uda się przeprowadzić bezpiecznie cały atak szczytowy. Każdy w swojej głowie ważył za i przeciw. Ja ostatecznie nie zdecydowałem się wyjść następnego dnia do góry, bo obawa przed potencjalnymi lawinami była zbyt duża. Liczyłem, że może okno pogodowe 29 lipca będzie moim sprzymierzeńcem.

24 lipca ostatecznie w górę wychodzą na drogę Cesena cztery zespoły: Gerlinde z Ralfem, Kinga z Fabrizio, Tamara z Darkiem i Fredrick z Treyem. Reszta została w bazie. Dzień okazał się bardzo wietrzny, ale wszystkie cztery zespoły dotarły do dwójki. W tym samym czasie na drodze na żebrze Abruzzich atak szczytowy załamał się kompletnie. Kilku wyprawom lawina zabrała namioty i wyprawy np. włoska i koreańska zdecydowały się nie tylko na powrót do bazy, ale również zakończenie akcji górskiej.

Trango Nameless i Trango Tower.

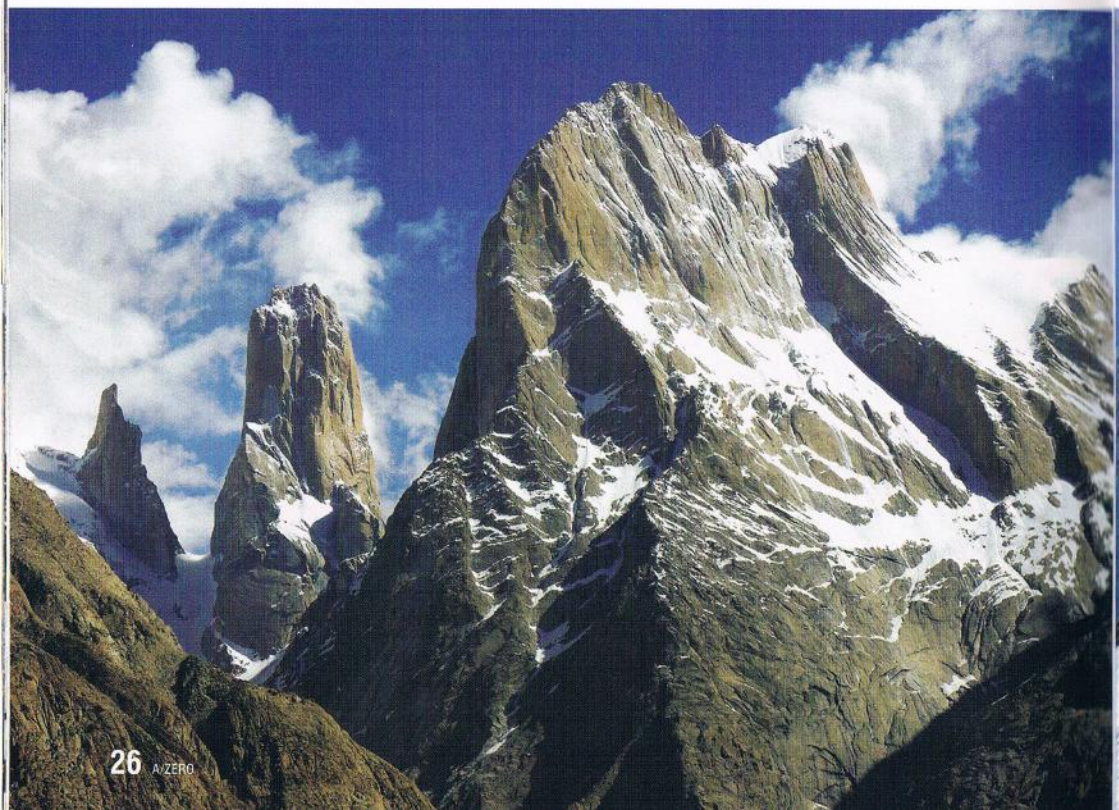

Wspinacze w obozie III.

Powrót do Askole.

25 lipca reszta naszej ekipy wyszła do góry z zamiarem atakowania szczytu 29 lipca. Dla mnie było jasne, że ze względu na kończący się urlop będzie to moje ostatnie wyjście do góry, o czym poinformowałem resztę naszej wyprawy. Gdy dochodziłem w strasznej wichurze i wszędobylskich pyłówkach do obozu II, podczas łączności okazało się, że okna 29 lipca nie będzie, natomiast istnieje dalej szansa na okno 27 lipca. Po tej informacji reszta naszego składu wycofała się do bazy, widząc brak sensowności parcia do góry. W dwójce nocowałem więc tylko ja i Tomek, który stwierdził, że jutro schodzi do bazy na odpoczynek. A ja siedziałem w namiocie gotowałem i główkowałem, co tu dalej robić. Jestem jeden dzień za grupą atakującą, która doszła dzisiaj również w potwornym wietrze do obozu III. Wymyśliłem szaleńczy plan dogonienia jej następnego dnia dzięki szybkiemu rannemu wyjściu do trójki, potem dwugodzinny rest i wyjście w kierunku ramienia. Plan ambitny, ale na inny podczas ostatniego wyjścia nie było miejsca.

26 lipca budzę się o 4:30 rano, aby po szybkim śniadaniu wyjść około 6 w kierunku obozu III. Dalej wieje niemiłosiernie, nie widać oznak, aby jutro miał być summit day. Zawiane ślady i poręczówki nie pomagają mi w szybkim parciu do góry. Około 11 docieram do trójki. Nasz namiot jest kompletnie zasypany śniegiem, z trudem udaje mi się dostać do środka.

Grupa atakująca około 9–10 wyszła w kierunku ramienia K2 znowu w huraganowym wietrze. A ja siedzę w namiocie i znowu przeprowadzam skomplikowany (jak na 7000 m) proces myślowy. Gonić ich czy schodzić na dół? Czuję się bardzo dobrze, zmęczony jestem, ale nie tak znowu bardzo. Ale czy

tak naprawdę czuję się tak, aby wyjść na ramię, jutro wejść na szczyt i jeszcze zachować bezpieczną ilość energii na zejście. Na pewno nie. To by było szaleństwo. Dodatkowo niestabilna pogoda i tak naprawdę brak partnera powodują, że decyduję się z bólem serca na zejście na dół do dwójki. Szkoda. Liczyłem na więcej na K2. W międzyczasie grupa atakująca późnym wieczorem bardzo zmęczona wiatrem, miejscami śniegiem po pachy, dociera około 100 m od ramienia K2, gdzie rozbija obóz IV. Ogromne wyczerpanie i niestabilna pogoda powodują, że decydują się jutro wracać do bazy. Tak załamuje się brawurowy pierwszy atak szczytowy na K2 2010. 27 lipca o godz. 5 rano zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami wyruszyłem z dwójki i zszedłem szczęśliwie do bazy, gdzie po krótkim odpoczynku zabrałem się do pakowania moich rzeczy, ponieważ 28 lipca razem z dwoma porterami zacząłem kilkudniowy trekking do cywilizacji. Chciałoby się powiedzieć, że teraz czekała nas tylko dwudniowa podróż Karakorum Highway, ale powódź w Pakistanie spowodowała totalny paraliż kraju – zerwane drogi i mosty spowodowały że nasz powrót do Islamabadu przypominał zawody adventure racing na dystansie hard core – kilkanaście środków transportu, przekraczanie ośnieżonych przełęczy, kilkunastu rzek z zerwanymi mostami. Ale po wyprawie na K2 wszystko nabiera innej perspektywy.

K2 nie udało się zdobyć i wypadałoby tutaj napisać, że jak najszybciej tam wrócę i wyrównam rachunki z górą. Nie czuję jednak wewnętrznej potrzeby, aby tam na siłę wracać – góra jest dla mnie mocno niebezpieczna. Atakowanie w stylu alpejskim, bez poręczowek w „butelce" nie jest najlepszym pomysłem. Natomiast poręczowanie „butelki" wymaga niezwykle dużej, silnej, zgranej wyprawy (najlepiej kilku wypraw). Potrzebuję czasu, aby się z tym K2 oswoić. Jak się uda, to tam wrócę.

SZKOŁA ALPINIZMU
W PIONIE

ZAPRASZA NA

WWW.WPIONIE.PL

NAJWIĘKSZĄ ŚCIANĘ WSPINACZKOWĄ W CENTRUM WARSZAWY UL.NOWOWIEJSKA 37B

KURSY WSPINACZKI NA SZTUCZNEJ ŚCIANIE, W SKAŁKACH I W TATRACH

Dla członków KW Warszawa 10% zniżki na kursy

0 601 24 29 23
0 501 501666

Moje lato w Ailefroide

Tekst i zdjęcia: **Robert Nejman**

Latem 2010 postanowiłem pojechać na klubowe zgrupowanie w Ailefroide we francuskich Alpach Delfinatu. Decyzja była tym bardziej oczywista, że należałem do pomysłodawców tego, aby wybrać to miejsce. Poprzedni raz byłem tam kilkanaście lat wcześniej, ale pamiętałem głównie świetne, relaksowe wspinanie w pięknym, wysokogórskim otoczeniu, znakomitą pogodę i jeden z najbardziej klimatycznych, prawdziwie górskich kempingów, na których miałem okazję nocować. Co prawda, leżące po drugiej stronie masywu La Berarde oferuje jeszcze ciekawsze góry i wspinanie, ale kemping jest bardziej zatłoczony, no i nie można na nim palić ognisk.

W sobotę rano, we czwórkę zapakowaliśmy się do naszego wesołego autobusu. Bagażnik, pomimo że ogromny, wypełniony był po brzegi. Czego tam nie było, oprócz szpeju, krzesełka, stoliki i inne kempingowe luksusy. Załogę stanowili: moja partnerka wspinaczkowa Lidia (Kuczmierowska), Ewa (Warzywoda) oraz Maks (Kulesza). Już w Niemczech oddałem kierownicę Lidce i zapadłem w sen, od czasu do czasu jednym okiem kontrolując sytuację. Na początku wlekliśmy się 120 km/h. No cóż pomyślałem, wolno, ale i tak muszę się przespać. Kolejna kontrola lekko mnie przestraszyła – ponad 180, to Lidka już oswoiła się z obcym jej pojazdem i pokazywała swój temperament.

Po noclegu nad jeziorkiem w Chamonix i odwiedzeniu sklepów w celu uzupełnienia wyposażenia, koło południa dotarliśmy na kemping w Ailefroide. Szukając fajnego miejsca na rozbicie obozu, spotkaliśmy kilku klubowiczów, przeszukujących teren w tym samym celu. Ostatecznie, zgrupowanie podzieliło się na dwa w miarę równe obozy. Jeden rozbił namioty w klimatycznym lasku nad potokiem. Drugi, w większości wyposażony w wielkie, rodzinne namioty i obciążony stadem dzieci, wybrał łąkę, na której atmosfera przypominała Przystanek Woodstock. Jeszcze tego samego dnia część koleżanek i kolegów wybrała się na „krótkie formy" umiejscowione u podnóża oddalonej o 10 min. marszu 250-metrowej ściany Paroi de la Fissure. Jak można było oczekiwać zgodnie ze współczesnymi trendami, na tej ścianie koncentrowała się nasza działalność wspinaczkowa także podczas reszty obozu.

Na początek postanowiliśmy zbadać nieznane mi wcześniej rejony Tenailles de Montbrison (2569 m n.p.m.). Są to efektowne wapienne turnie o ścianach dochodzących do 400 m. Przeważają trudne, ospitowane drogi, wśród których wybrana przez nas Vol et Volupte 6b należała do łatwiejszych. Wraz z nami wybrały się tam jeszcze dwa zespoły na najłatwiejszy w grupie „Eperon Renaud" (6a). Dojazd samochodem zajął ok. godziny, w tym połowa leśną szutrową drogą, na której BMW Piotrka Czarneckiego przeszło ciężki test wytrzymałości. Potem jeszcze godzina podejścia w pięknej scenerii i wśród hasających wokół świstaków. Wyciąg 6b, w bardzo jak na wapień technicznej wspinaczce puścił dosyć sprawnie. Wspinanie było bardzo ciekawe, dobrze asekurowane i przyjemne. Niestety kilka długości liny wyżej, pomyliłem linie spitów i poszedłem sąsiednią

W ścianie Aiguille de Sialouze.

Michael i Piotrek startują na Aiguille de Sialouze.

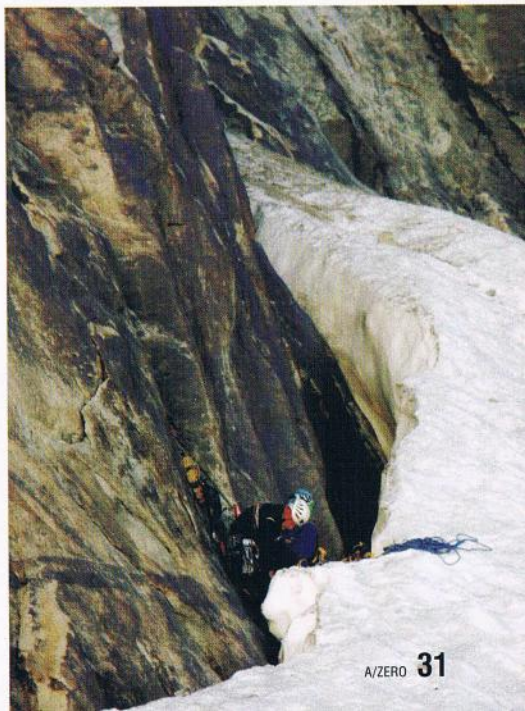

drogą za 6c. Zabrało nam to sporo czasu, sił i nieco uszczupliło skromne zasoby psyche. Po dotarciu na I turnię musieliśmy grzecznie zaczekać w kolejce do zjazdu. Dalszy fragment, wspólny dla kilku dróg niestety także był zapchany, więc zdecydowaliśmy się skorzystać z możliwości przebiegającej obok linii zjazdów i udać się do domu.

Zmęczenie dawało o sobie znać, więc kolejne dwa dni poświęciliśmy na przypomnienie sobie, jak się wspina po gładkich, granitowych płytach na drogach w sąsiedztwie kempingu. Pozwoliło nam to podszlifować technikę i szybkość poruszania, więc po dniu odpoczynku postanowiliśmy uderzyć w „prawdziwe góry" w okolicach Glacier Noir. Nasz wybór padł na 700-metrową drogę „Big Tower is Watching You" wychodzącą na boczną turnię w ponadtysiącmetrowej północnej ścianie Pic Sans Nom (3913). Z tymi prawdziwymi górami to pewna przesada, bo droga jest w znacznym stopniu ospitowana, a zejście odbywa się zjazdami, ale za to znajduje się w fenomenalnym otoczeniu.

Niestety, tym razem nie udało się uniknąć tego, czego we wspinaniu nie lubię najbardziej, czyli nocnego wstawania. Po krótkiej jeździe samochodem i długim, przeszło dwugodzinnym podejściu (1000 m deniwelacji z parkingu pod ścianę) w trzy zespoły zameldowaliśmy się przy wejściu w drogę. Lodowiec Noir jest w większości przysypany kamieniami i do podejścia wystarczyły mi solidne, płytkie buty z możliwością przypięcia raków paskowych (w takim przypadku raki koniecznie muszą mieć elastyczny łącznik, inaczej mogą ulec zniszczeniu). W takiej konfiguracji warto też mieć krótkie stuptuty zapobiegające wpadaniu śniegu do butów. Ten patent polecam wszystkim tym, którzy tak jak

Start do drogi „Big Tower". Za chwilę zrzucimy tu blok skalny.

ja bardzo nie lubią ciężkich butów z cholewką.

Już z daleka widzieliśmy jakiś zespół startujący w naszą drogę. Bardzo długo zajął im pierwszy wyciąg, a to miało być tylko 5+. Niedługo sami mieliśmy się przekonać, dlaczego tak to wyglądało. Szybka utrata czucia w palcach (temperatura ok. 0 st. C) oraz kruszyzna spowodowały, że i ja spędziłem na tym wyciągu godzinę. Na starcie w drugi wyciąg spod nogi wyjechał mi całkiem spory blok. Na szczęście zaklinował się na stanowisku pomiędzy Lidką a ścianą. Tymczasem wśród czekających w szczelinie brzeżnej na swoją kolej zespołów panowała bardzo wesoła atmosfera. Niestety, nasz komunikat o tym, że musimy ten blok zrzucić, zepsuł humory i wywołał na dole lekką panikę. Tym razem nadaliśmy blokowi właściwą trajektorię i wylądował w bezpiecznej odległości od wspinaczy. Dobre humory już jednak nie wróciły, a Gelo z Kolą stwierdzili wręcz, że mają gdzieś takie górskie atrakcje i czym prędzej pomknęli w dół, aby nie zmarnować dnia i zdążyć jeszcze wspiąć się w okolicy namiotów.

Nam też jakoś powoli zaczęło się odechciewać, tym bardziej że te igraszki z kruszyną zajęły sporo cennego czasu. Nie lubię jak wspinaczka, cytując Krzyśka Pankiewicza, „przebiega nieprofesjonalnie", a tak było tym razem. Ostatecznie zdecydowaliśmy się sprawdzić jeszcze, jak wygląda kilka następnych wyciągów i pójść w ślady Koli i Gela. Szanse na skończenie drogi i zjechanie w ciągu dnia wydawały się małe, a biwak na tej wysokości przy tak lekkim ubraniu, nawet w damskim towarzystwie, mało pociągający. Ewa i Maks wykazali większego spręża i kontynuowali wspinanie jeszcze przez ok. 10 wyciągów, niestety również nie kończąc drogi. Dalsza część okazała się bardzo fajna

Ściany w otoczeniu Glacier Noir mają ponad 1000 m wysokości.

i w znakomitej jakości skale. Na pewno warto tam wrócić i ponownie przemęczyć te dwa początkowe, nieprzyjemne wyciągi.
Kolejne dwa dni to kolejne dwie drogi w okolicy obozowiska. Upały wpływały na wybór celów położonych w cieniu. Najpierw padła „Baliverna" 6b+ z kluczowym wyciągiem polegającym na czujnym skradaniu się po płycie i rzadko spotykanym w tej okolicy przewieszonym wyciągiem z wiosłowaniem po klamach. Druga droga to „Le Pantheon des Ordures" o przewodnikowej wycenie 6a+ A0 ze wzmianką o tym, że przy przejściu czysto, dolny wyciąg A0 ma 6c, a górny 6c+. Brzmiało zachęcająco. Dolne trudności puściły zadziwiająco łatwo, za to górne ... Trzymam się maleńkich krawądek i nie mam pomysłu co dalej. Długo już tak nie potrzymam. Najbliższe coś, co wygląda na dobry chwyt, jest z metr wyżej. Na szczęście spit na wysokości pasa ułatwia decyzję. Chyba po raz pierwszy w górach strzelam i to coś okazuje się klamą. 6c+ oesem przepełnia mnie dumą. Duma okazuje się na tyle ciężka, że trochę wyżej, w łatwiejszym już terenie, o mało co, nie ściąga mnie w dół. Droga okazała się piękna i stała się najpopularniejszą drogą obozu. Odwiedziło ją pięć zespołów. Już podczas zjazdów wymieniliśmy uwagi i uśmiechy z kolejnymi czterema klubowiczami.
Na obozowisku najbardziej brylował Gelo. Tak wiele kobiet zapragnęło jego wspinaczkowego towarzystwa, że aż stało się to dla niego problemem. Jak to Gelo, nie potrafił żadnej odmówić i umawiał się ze wszystkimi. Na raz. Niestety tak się nie da i w efekcie Grzegorz stał się obiektem życzliwych drwin i tematem dowcipów. Za jego sprawą naszą ekipę zasiliła jeszcze pracująca w lokalnym hoteliku sympatyczna Ania, która okazała się jednocześnie sprawną wspinaczką i w wolnym czasie dołączała się do naszych zespołów.
W międzyczasie prawdziwym alpinizmem zajmowali się Michael z Piotrkiem. W ciągu dwóch dni przeszli trawers Pelvoux (3943) obfitujący w lodowce, seraki i zjazdy z grzybów śnieżnych. Przy okazji ze szczytu dostrzegli, że nieustająca lampa panowała tylko u nas. Bardziej oddalone grupy górskie były zachmurzone i gdzieniegdzie widać było nawet burzowe błyski.
Znakomita pogoda i panujące na kempingu upały ponownie wywołują u nas ochotę na przeżycie wysokogórskiej przygody. Wieczorem, w sześcioosobowej ekipie podchodzimy do schroniska Sele z zamiarem wspięcia się następnego dnia na południowo-zachodniej ścianie Aiguille de Sialouze (3576), która pod względem wielkości, a przede wszystkim piękna skały przypomina Grand Cappucin w masywie Mont Blanc. W ostatnich latach pojawiła się na niej nawet droga o trudnościach 8a+. Schronisko jest bardzo fajne, a szczególnie część dla gotujących samemu, wyposażona w wielki blat, zlew, stoły, ławy i skrzynki na jedzenie. Niestety ze spaniem, jak to zwykle w schroniskach, jest gorzej. Ciasna sala z piętrowymi łóżkami oraz wstający w nocy „prawdziwi alpiniści" nie pozwolili się w pełni wyspać. My nie musieliśmy się specjalnie spieszyć i zrywać po ciemku. Zbyt wcześnie rano mogło być za zimno na trudne, skalne wspinanie. Na podejściu ponownie znakomicie sprawdzają się płytkie buty w połączeniu z aluminiowymi rakami. Jest bardzo zimno. Przepocona po podejściu koszulka, położona do wysuszenia na kamieniu, zamarza na blachę. Czekamy więc na słońce i startujemy dopiero ok. godz. 11. Michael z Piotrkiem idą na „Ventre a Terre", my oraz Ewa z Maksem na „Attaque a Main Armee".
W końcu ruszamy. Piękna skała, dobra asekuracja i bardzo jak na tę wysokość ciepło. Na sąsiednich drogach kilka zespołów – ściana jest zasłużenie popularna. Po czterech wyciągach 5+, 6a docieramy pod ten, którego się najbardziej obawiałem – przewieszone 6c. Puszcza sprawnie. Tylko Lidka ma z przewieszkami trochę problemów, ale wbrew moim sugestiom nie chce skorzystać z prusików i w końcu dociera na stanowisko. Kolejny wyciąg to gładka, położona płyta o dziwnej wycenie 6c/7a. Po dwóch wpinkach zorientowałem się, że nie bardzo stoję i na dodatek się nie trzymam. W stylu przypominającym kreskówki z kotem Dżinksem znalazłem się z powrotem w okolicach stanowiska. No coż, nie będzie OS. W kolejnej próbie

odkrywam niewidoczną wcześniej nierówność skały, która pozwala sięgnąć do małej krawądki. Idziemy dalej. Kolejne wyciągi to delektowanie się piękną skałą. Na początku zjazdów (linia zjazdów jest osobna) mijamy Michaela i Piotrka, kończących swoją drogę.
Po ostatnim zjeździe ściągana przez Lidkę lina zaczepia się 10 m nad lodowcem. Tymczasem zdążyłem się już rozszpeić i zmienić buty. Nie mam ochoty z powrotem wbijać umęczonych stóp w te narzędzia tortur, a tu trzeba się znowu wspiąć. A co tam, zrobię to w butach podejściowych. Po wspięciu się do półki i odczepieniu liny wykonuję kilka ruchów w dół i ... oj nie jest dobrze. Ląduję w nieskoordynowany sposób na lodowcu. Sprawdzam czy żyję, potem czy coś mi się stało. Lekko boląca noga i starta skóra na dłoni to naprawdę niska cena za taką głupotę. Ale i tak muszę trochę poleżeć na rozgrzanym słońcem kamieniu, aby przede wszystkim psychicznie, dojść do siebie. Potem zejście do schroniska, przepak i dalej w dół. Po drodze dzwoni do mnie spanikowany Sławek (mąż Lidki). Co się z nami dzieje, Lidia nie odebrała kontrolnego telefonu. Przy namiotach meldujemy się sporo po zmroku. Trwa impreza przy ognisku, dostajemy piwo i kiełbaski. Wkrótce nadchodzą Michel z Piotrkiem, tylko jeszcze brak Ewy z Maksem. Rano okazuje się, że podczas zejścia zatrzymał ich dwójkowy próg, którym bali się schodzić po ciemku i zdecydowali się do rana przespać pod folią NRC. A tej nocy na wysokości 3000 m padał śnieg. Mimo tego prezentowali się całkiem dobrze i zamiast paść, popędzili na odbywający się w sąsiedniej miejscowości targ. Ot, co znaczy młodość.
W dni restowe Lidka ze zdziwieniem i coraz większym niesmakiem obserwowała przemykających po kempingu objuczonych kraszpadami bulderowców. Nie mogła zrozumieć, jak będąc w tak pięknych górach i mając wokół tyle wspaniałego wspinania, można wybierać zaszywanie się w krzaczorach i obmacywanie

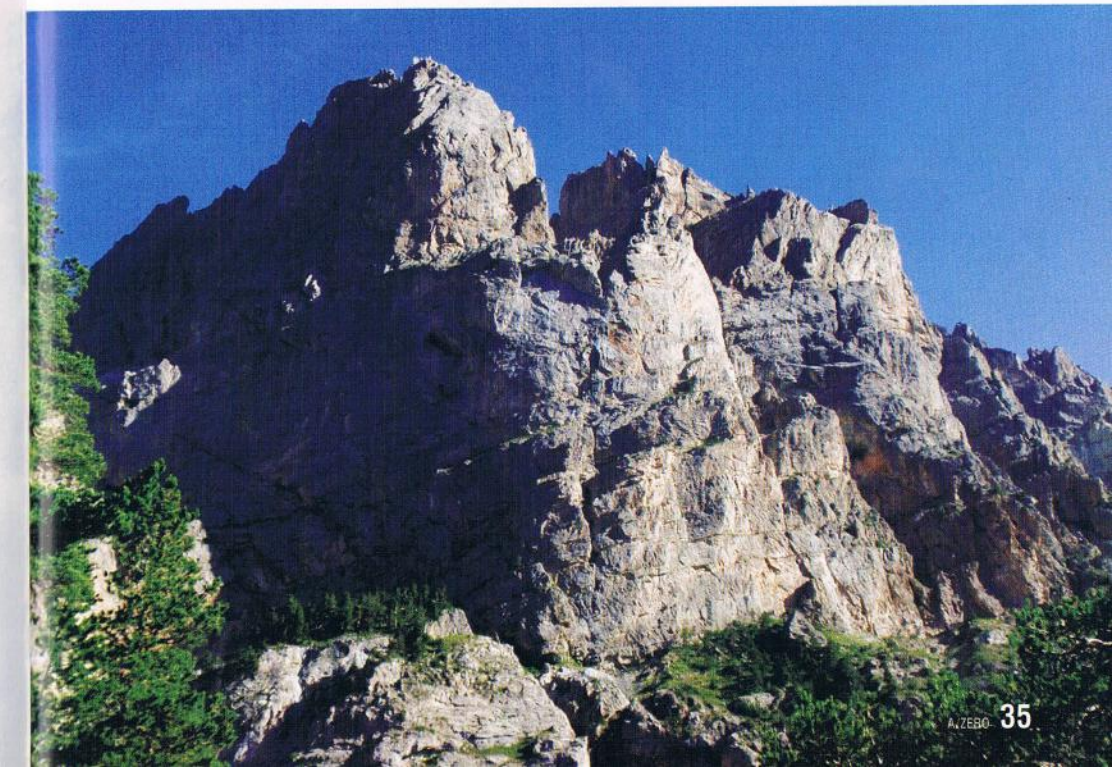

Wapienna południowa ściana Tete d'Aval ma 600 m wysokości. ☞

omszałych kamieni. W końcu stwierdziła, że to są osobnicy wynaturzeni.
Kolejnego dnia wybraliśmy się obejrzeć z bliska 600-metrową, wapienną ścianę Tete d'Aval (2698). Jest na niej około 40, w większości bardzo trudnych, ale nieźle ubezpieczonych dróg. My wybraliśmy kończącą się na pośrednich tarasach 350-metrową „Pilier Rouge Hebdo" – najłatwiejszą drogę na ścianie o wycenie 6a, miejsca 6b. Dotarcie pod ścianę wymaga dojechania samochodem, częściowo leśną drogą szutrową, a potem jeszcze ok. półtorej godziny podejścia. Więc niestety, znowu ranne wstawanie. Mimo tego, gdy docieramy pod drogę, w ścianie jest już sporo zespołów, niektóre całkiem wysoko. Na szczęście nasza droga jest wolna. Za nami, już tradycyjnie ruszają Ewa z Maksem. Wspinanie mimo niewysokiej cyfry jest bardzo siłowe i męczące. Może trochę daje też o sobie znać zmęczenie dwoma tygodniami intensywnego wysiłku. Brak nam lekkości. Dwa razy w zaskakujący sposób wyślizguję się z chwytów. Dobrze chociaż, że oba razy na początku wyciągów, więc przed kolejnymi próbami nie trzeba dużo się cofać. Droga bardzo przypomina mi Comiciego na Cima Grande di Lavaredo, tylko jest nieco krótsza. Podczas chwil spędzanych na stanowiskach i późniejszych zjazdów z ciekawością przyglądam się sąsiednim drogom, szczególnie uważanej za jedną z najładniejszych wielowyciągowych dróg sportowych Francji – „Rankxerox" (600 m, 18 wyciągów w tym kilka 7a). Biorąc pod uwagę ostre wyceny i wytężające wspinanie na tej ścianie – to cel chyba już nie w tym życiu.
Po zjazdach i zejściu, czekamy na drugi zespół przy samochodzie. Jakoś długo im to idzie, a byli przecież niedaleko za nami. Telefon Ewy wyjaśnia, że pomylili ścieżki i wylądowali na szosie w bliżej nieokreślonym miejscu. Po wspomaganych kilkoma kolejnymi telefonami poszukiwaniach, w końcu odnajdujemy nasze zguby. Orientacja w terenie nie jest ich mocną stroną.
Po wyjeździe większości klubowiczów, zostajemy jeszcze przez dwa dni. Teraz już we trójkę, bez Maksa. Robimy jeszcze po dwie drogi na ścianach w dolinie. Ewa wraz ze wspomnianą wcześniej Anią przechodzą całkiem poważną 350-metrową „La Vie Devant Soi" 6b+. Całą drogę prowadzi Ewa. Ta to ma moc, zupełnie proporcjonalną do nieprawdopodobnie wielkich ilości spożywanego jedzenia. Taka drobna dziewczynka, a potrafi zjeść więcej niż górnik. Szczególny pokaz możliwości dała przy okazji likwidowania pozostawionych przez innych klubowiczów smakołyków. To, co przygotowaliśmy na bazie tych surowców, zostało w ponad połowie pochłonięte przez Ewę, przy czym ta mniejsza część nawet bardziej niż wystarczyła Lidce i mnie do najedzenia się.
No cóż, czas wracać. Większość bardziej ambitnych planów ponownie pozostała niezrealizowana. Na przykład 1200-metrowy południowy filar Barre des Erins. Może to i dobrze. Będzie po co przyjechać znowu. Bo przecież rejon Ailefroide należy do tych miejsc w górach, do których najchętniej wracam.

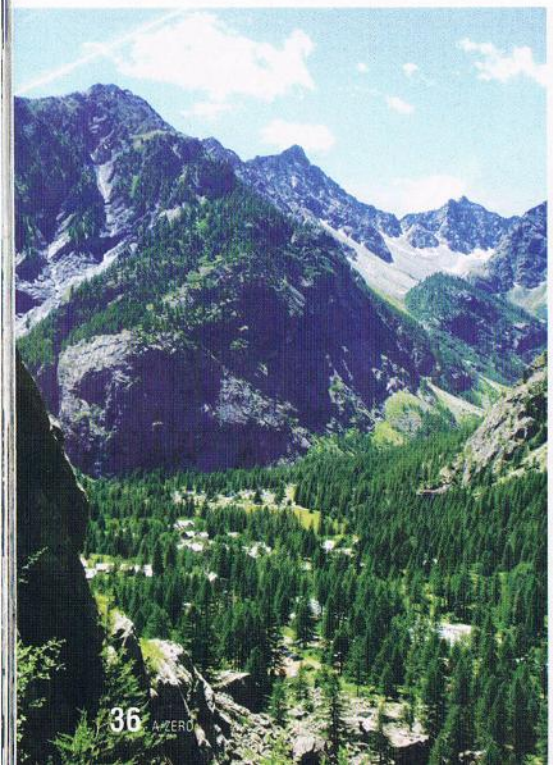

Dolina Ailefroide.

SEZONOWE OBNIŻKI WYBRANYCH PRODUKTÓW DLA CZŁONKÓW KW WARSZAWA -25%

SKLEP HiMountain
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 2

(WEJŚCIE OD KRAKOWSKIEGO PRZEDMIEŚCIA)

HiMountain

KALIMERA KALISPERA KALINICHTA

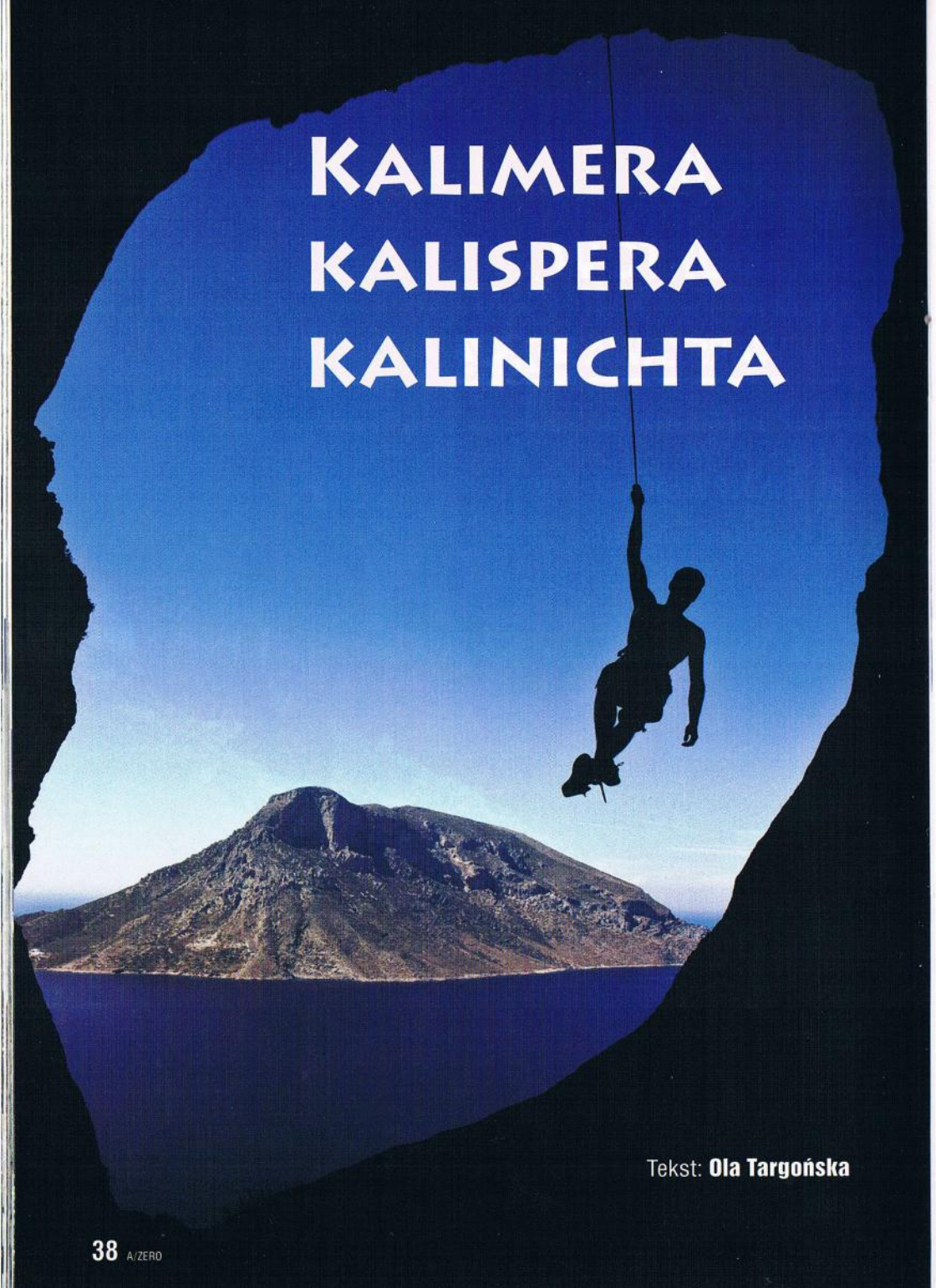

Tekst: **Ola Targońska**

Jeśli pierwszy raz szukacie wspinaczkowej alternatywy dla jurajskich dziurek i omszałych Sokolików, wybierzcie cokolwiek, tylko nie Kalymnos. Pojechać na pierwsze westowe wspinanie na tę grecką wyspę to tak, jakby przygodę z motoryzacją zaczynać od najnowszego jaguara. Raz przywykniesz do tego, że wspinanie może być czystą, absolutną przyjemnością, pozbawioną wszelkich uciążliwości znanych z polskich rejonów (niepewna pogoda, kolejki do dróg, wieczne dyskusje nad skałą, na której każdy znajdzie coś dla siebie...) i przepadłeś. Poprzeczka ustawiona jest tak wysoko, że wszelkie inne propozycje, które dawniej brzmiały atrakcyjnie, bledną i tracą sens. Na Frankenjurze trudno i często deszczowo, w Arco tłok w popularnych rejonach, we Francji zadzierający nosa Francuzi... Kalymnos to spełniony sen, wspinaczkowa ziemia obiecana.

Samo dotarcie na wyspę ma coś z rytuału – choć na Kalymnos jest lotnisko, łatwiej znaleźć niedrogi lot na sąsiednie, bardzo turystyczne Kos, skąd pływają regularnie szybkie promy. Rześki wiatr, kropelki słonej wody, morze po horyzont usiane małymi wysepkami – przeprawa promem daje przedsmak klimatu Kaly. Stateczki przybijają w stolicy wyspy – Pothii, która jest żywym, wdzięcznie chaotycznym i zupełnie bezpretensjonalnym miastem, nad którym górują pierwsze rudawe ściany skał. Centrum życia wspinaczkowego oddalone jest o parę kilometrów – autobusem albo taksówką dojechać trzeba do miejscowości Massouri. To trochę westernowa osada, z niskimi zabudowaniami sklepików i knajpek wzdłuż jednej ulicy i śnieżnobiałymi bryłami hoteli, za którymi po jednej stronie rozciąga się plaża, a po drugiej – pasmo pięknych skał. Pomiędzy domami majaczy charakterystyczna sylwetka Telendos, wygasłego wulkanu, odprysku od Kalymnos, który pojawia się do znudzenia w tle zdjęć z wyspy.

Jesienią i wiosną, w szczycie sezonu wspinaczkowego, Massouri żyje rytmem swoich czasowych mieszkańców, którzy o poranku kręcą się przy wypożyczalniach skuterów i źródełkach z wodą, wertując przewodnik i popijając kawę. Część sektorów dostępnych jest o parę minut spaceru, a podejście pod ścianę daje szansę na solidną rozgrzewkę, bo kozie ścieżki są strome i kamieniste. Ale kiedy dotrze się już pod upatrzony cel, można przebierać w drogach – każdy sektor to kilkadziesiąt linii przeróżnej trudności, ze słynnymi tufami, spektakularnymi przewieszeniami po klamach, delikatnym skradaniem po krawądkach... Spod skał roztacza się widok na morze, Telendos, przemierzające zatoczki łodzie – krajobraz, który robi wrażenie nawet po paru tygodniach na wyspie, wspomnienie, które wraca w najciemniejszych i zimnych polskich miesiącach.

Sektory dostępne piechotą z Massouri są najbardziej popularne, szczególnie Grande

Maciek zjeżdża z nieukończonej „*Fouska*" 7a na Odysei. Fot. J. Skierska.

Nieznani wspinacze na drodze ok. 7a w sektorze Archi. Fot. M. Ostrowski.

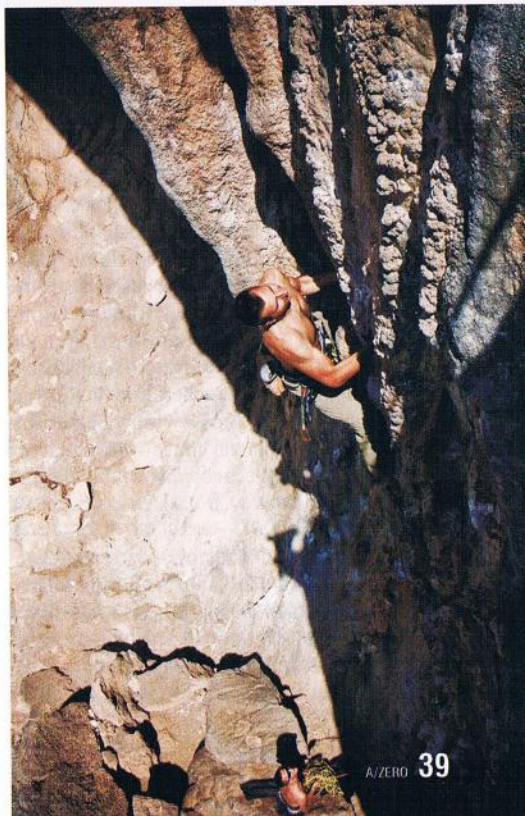

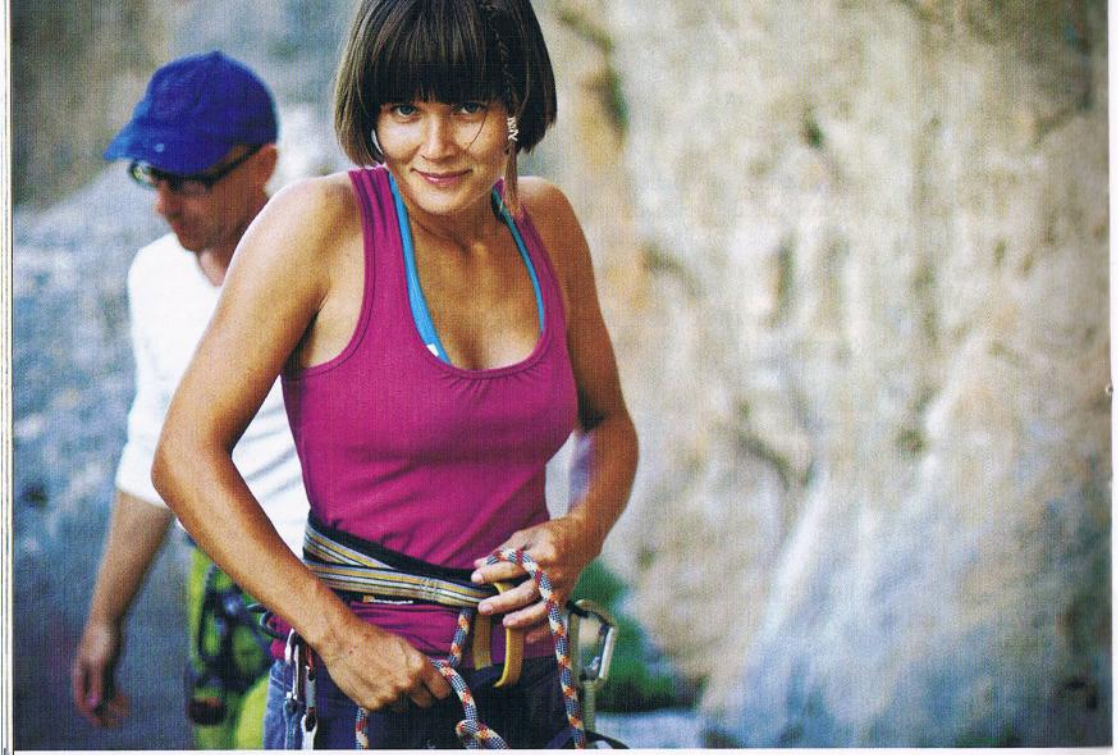

Ola robi drogę „Remember Wadi Rum" 6c na Ghos Kitchen. Fot. M. Ostrowski.

Grotta, gdzie drogi lawirują pomiędzy spektakularnymi skalnymi nawisami. Gigantyczne, dudniące tufy umożliwiają przyjmowanie nieprawdopodobnych pozycji restowych i pokonywanie ogromnego przewieszenia nawet przez osoby, które – jak ja – z definicji odrzucają wszystkie skały, które odchylają się od pionu o więcej niż kilka stopni w niewłaściwą stronę.

Barwną postacią pod Grande Grottą i przyległymi do niej rejonami jest wyemancypowana koza. Koza z Grotty to najbardziej złośliwa istota wśród generalnie łagodnych i przyjaznych mieszkańców wyspy. Bezlitośnie strasząc swoją pokaźną masą i szpiczastymi rogami, wyjada z plecaków prowiant, a z braku bardziej smakowitych kąsków potrafi zjeść nawet przewodnik.

Mniej znane, choć często bardzo ciekawe rejony, położone są o kilkanaście minut od szosy biegnącej wokół wyspy. Miejsca, z których zaczynają się ścieżki pod skały, oznaczone są głazami z nazwami rejonów i czasem dojścia, łatwo też zidentyfikować je po zaparkowanych skuterach, najbardziej racjonalnego środka transportu na Kalymnos. Jazda na skuterze to dla początkujących dawka adrenaliny przewyższająca wrażenia z wychodzenia nad spit na trudnej drodze. Szosa ma duże spadki i ostre zakręty, wieje wiatr, a po jednej stronie zwykle straszy strome urwisko. Alternatywą dla skuterów jest autobus, który kursuje jednak bardzo rzadko, oraz autostop. Przygody autostopowe na Kalymnos to temat na odrębną opowieść, ale moje przeświadczenie o wyjątkowo miłym charakterze mieszkańców wyspy bierze się w znacznej mierze z doświadczeń łapania stopa. Zwykle nie trzeba czekać dłużej niż parę minut (pod warunkiem, że jakieś pojazdy w ogóle poruszają się po drodze; warto pamiętać, że w środku dnia ruch zamiera), a przejazd z Kalimnojczykami to okazja do prowadzenia niewiarygodnych konwersacji w dowolnym języku, gdyż porozumienie osiągane jest z zasady pozawerbalnie.

Planowanie wspinania na Kalymnos jest w znacznej mierze uwarunkowane porą dnia

i pogodą, choć ta w najpopularniejszych terminach (kwiecień/maj, wrzesień/październik) rzadko sprawia niespodzianki. Poza wczesnym przedpołudniem i godzinami przedwieczornymi raczej należy uciekać od nasłonecznionych sektorów, choć wiatr od morza sprawia, że upał nie jest aż tak uciążliwy. W najgorętsze dni warto rozważyć wycieczkę do jednego z bardziej oryginalnych miejsc na wyspie – jaskini Sikati, która jest gigantycznym zapadliskiem w zboczu wyspy, z wysokimi na kilkadziesiąt metrów ścianami pełnymi tuf i innych dziwnych skalnych tworów. Drogi są tam trudne (większość powyżej 7a), ale miejsce tak niezwykłe, że warto je odwiedzić choćby w dzień restowy.

Kuszącą opcję na rest totalny stanowią plaże. W samym Massouri jest długa, kamienista plaża z leżakami, parasolami i knajpkami, ale znacznie przyjemniej jest przy odległej o parę minut od wsi, niedużej zatoczce, której fragment służy także naturystom (ku uciesze przechodniów przemieszczających się szosą, którzy mają doskonały wgląd w to, co dzieje się na brzegu morza). Kolejną atrakcją na wieczór po wspinaniu jest plaża „u frienda", czyli fragment brzegu blisko wioski Emporios, gdzie działają dwie knajpki serwujące lodowate ouzo, mityczne mythosy i – jeden z kulinarnych hitów wyspy – small fishe, czyli talerze smażonych mikrorybek łowionych w okolicy.

Wieczorem Massouri znów ożywa, gdy ze skał schodzą się zgłodniali wspinacze i szukają miejsca na uzupełnienie zapasów i wymianę relacji o aktualnych dokonaniach. Miej-

scowe knajpki nie są specjalnie wyszukane, ale w zasadzie wszystkie, które udało nam się wypróbować, serwują solidne porcje prostego i pysznego jedzenia z lokalnych produktów. Ekstrawagancką opcją jest ośmiornica, jednak sposób jej przygotowania może budzić opór u biesiadników wrażliwych na cierpienie zwierząt. Złowione ośmiornice jeszcze za życia poddawane są torturom rzucania o twarde podłoże, co ma sprawić, że ich mięso (grillowanie lub gotowane) będzie bardziej miękkie i soczyste. Menu knajpek na Kalymnos napisane są zwykle w niezbyt zrozumiałej mieszance języków europejskich, więc czasem trudno odgadnąć, na co się decydujemy. Jednak w trakcie wielu wieczorów spędzonych na tarasach tamtejszych restauracji nietrafione wybory należały do rzadkości. Zimna retsina na pewno także wpływa na pozytywne podejście biesiadników.

Kalymnos ma w sobie trudną do uchwycenia magię idealnych wakacji – klimat beztroski, malowniczej bylejakości, zapach ziół pod skałami, przejrzystość powietrza, właściwą skalę. To wszystko wyraźnie udziela się przyjezdnym wspinaczom, którzy mogą skupić się na walce o dobrą cyfrę i zapomnieć o wszystkich problemach, stających na drodze do jej zdobycia. A że po powrocie koledzy podśmiewają się z kalimnojskiej cyfry – cóż, z tej wyspy wszyscy wyjeżdżają zadowoleni i nikomu, kto tam nie był, nic do tego!

Small fishe – idealna przekąska po dniu wspinania. Fot. O. Targońska.

Tryptyk Gierlacha z suplementem

Tekst i zdjęcia: **Piotr Wolski**

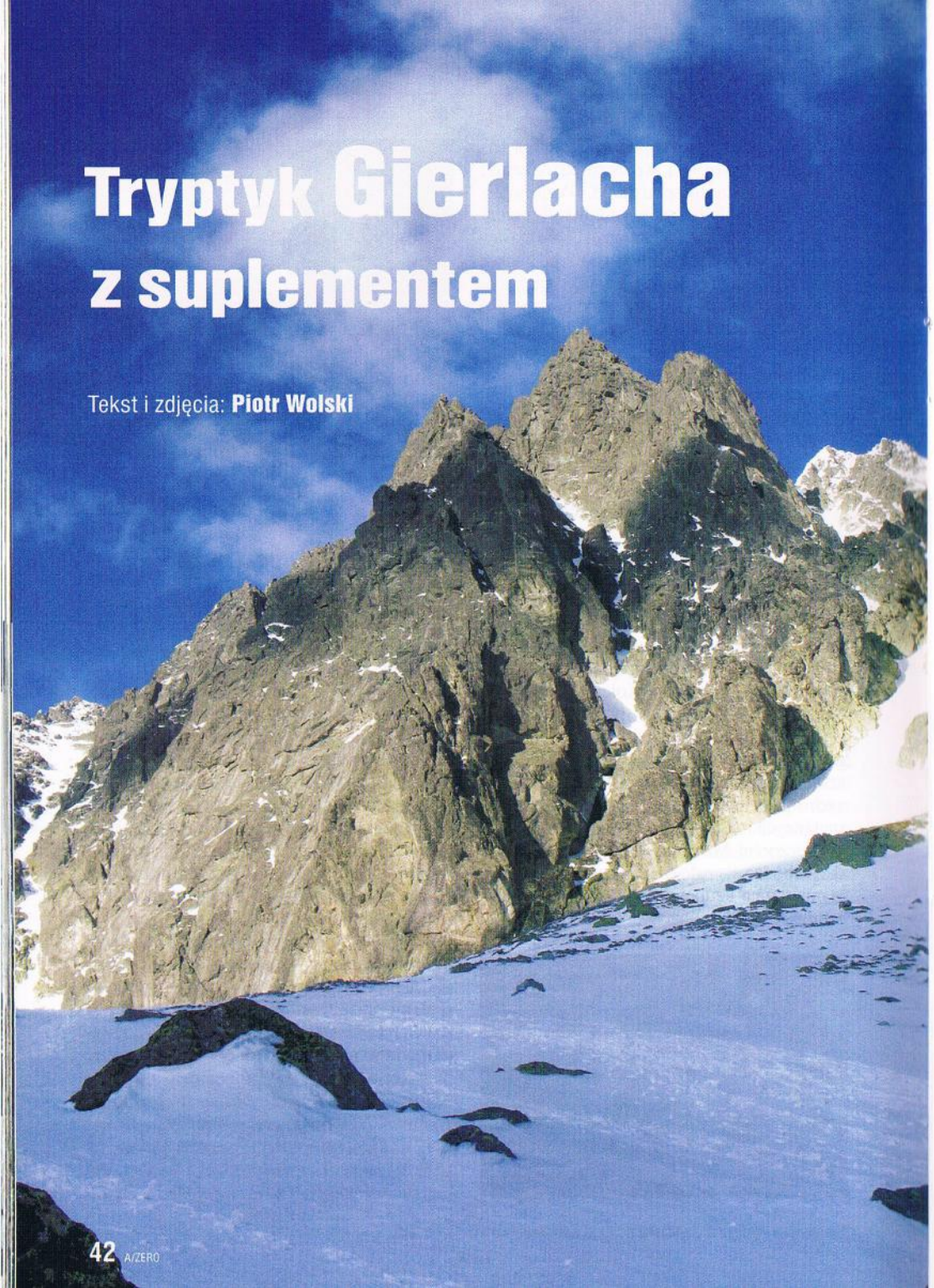

Komin Sawickiego

Mijała kolejna minuta, a ja wciąż stałem jak ta dupa i z rozdziawioną gębą gapiłem się w mroczną przestrzeń ponad moją głową. Piętnaście metrów wyżej dwa wąskie okna skalne zapraszały do łatwiejszej części komina. Były prawie na wyciągnięcie ręki. Prawie...

Komin Sawickiego wygląda jak pułapka: łatwy, śnieżny żleb wprowadza do wielkiej groty o gładkich ścianach pokrytych lodową polewką. Droga ucieczki prowadzi przez dwa okna skalne, które wyglądają niczym okno w dachu Panteonu. Dostać się można do nich po lodzie wylanym na ścianach nyży. Ale dzisiaj lodu nie było. Gdzieś w górze majaczyły stare haki oddzielone ode mnie skalną płytą o gładkości nagrobka z lastryka, a z prawej gruba na metr warstwa pionowego śniegu. I gdzie tu iść?

– No, co tam? – ton, jakim Kajman zadał pytanie, wskazywał, że chyba traci cierpliwość do moich hamletowskich rozważań. Ze złością dźgnąłem czekanem śnieżną kurtynę. Spod urwanej bryły wyłonił się mały stopieniek. W głowie pojawiła się nieśmiała myśl: „Może jest ich tam więcej?".

Ledwo zachowując równowagę, stanąłem przednimi zębami raków na stopniu i wyciągając ramię, zacząłem zrzucać czekanem kolejne bryły śniegu. Z dołu dobiegło pomrukiwanie. Wyglądało na to, że zmarznięty Kajman dostał kolejny powód do narzekania – dziesiątki kilogramów śniegu przewalały się dokładnie przez stanowisko. Tymczasem mój zapał rósł z każdą chwilą, bo spod białej pokrywy zaczęły się wyłaniać kolejne nierówności. Po kilku minutach zrobiłem pierwszy krok na płycie. Po chwili następny.

Zbity śnieg nie poddawał się łatwo. Dla oderwania kolejnego kawałka trzeba było zastosować cały zestaw technik: podcięcie od dołu, odcięcie od skały, okładanie czekanem, wreszcie zrzut i sto kilo śniegu lądowało na stanowisku Roberta.

– Kuhhhhwaa... – pomruki mojego partnera zamieniły się w przekleństwa. Póki nie rzucał wyzwiskami, nie było się czym przejmować, tym bardziej że fedrowanie przynosiło efekty: światło z „okienek" padało już na moją twarz. Jeszcze tylko krok... Drugi... Ostrze czekana wbiło się wreszcie w lód u wyjścia z mrocznej pułapki. Teraz przecisnąć się przez ciasny otwór i po chwili stałem już w szerokim, śnieżnym żlebie ciągnącym się aż do kopuły szczytowej.

– Chodź!!!

W miarę ściągania liny moje napięcie powoli opadało, ustępowało miejsca zadowoleniu. „Dobry jestem. Naprawdę dobry". Te miłe chwile trwały do przybycia Kajmana.

– Wcale nie było takie trudne...

Tylko jedno zdanie, a czar prysł.

Onieśmielenie drogą jednak minęło. Wyciąg za wyciągiem parliśmy do góry. Najpierw łatwy

Zejście Batyżowieckim Żlebem.

żleb, potem strome skalne płyty, pokryte szadzią kominki, jakieś żeberko. Wreszcie zza podszczytowych turnic wynurzył się szczyt Gierlacha.

– Łatwo poszło – rzucił Kajman. No właśnie... Za łatwo.

Trochę zmęczeni, trochę zaskoczeni podeszliśmy do stalowego krzyża. Po wschodniej stronie przewalały się chmury, z góry świeciło słońce. Wpatrzyłem się w białe mleko pode mną. Wiedziałem gdzie i czego szukać – szara postać w długiej szacie z tęczową aureolą machała do mnie ręką. Widmo Brockenu. Przypomniałem sobie legendę stworzoną przez Jana Alfreda Szczepańskiego: widmo zwiastuje nieszczęście, ale kto je trzy razy zobaczy, ten już jest bezpieczny. Cholera, jednak bym zaryzykował, żeby znów poczuć, jak to jest spotkać swoje widmo po raz pierwszy...

Wschodnia ściana

Z dołu wyglądało to źle. Nie dość, że skały były omszałe i przewieszone, to jeszcze wyglądały na kruche i źle urzeźbione. Pewnie dlatego drapiący rakami po skale Robert co chwila pojękiwał i przeklinał. „Ajajajajj..." – i krok do przodu. „Cholera, cholera.." – i wbicie czekana. „Uważaj, uważaj!.." – i ruch do góry. Poruszał się z taką konsekwencją, jakby układ ruchu działał niezależnie od emocji. Wreszcie wbił dziabki w śnieżny stok nad trudnościami. Teraz czas na mnie.

Już po pierwszych ruchach wiedziałem, że długo będę żałował, że nie wygrałem tego wyciągu. Skały rzeczywiście odpychały, ale zawsze, kiedy sytuacja robiła się trudna, pojawiał się placemencik na czekan, albo stopieniek na przednie zęby raków. Tu sięgnąć wysoko, tam przegiełgać się pod przewieszką. Jeden z najładniejszych zimowych wyciągów. I nie był mój...

Czas na rewanż przyszedł czterdzieści metrów wyżej. Przywieszając sprzęt do uprzęży, popatrywałem do góry. „Przynajmniej jest lito", myślałem, stąpając po

Michael na Polskim Grzebieniu.

stromych i gładkich płytach przysypanych cieniutką warstwą śniegu. W lecie pewnie można by po nich biegać, ale w rakach czułem się jak na pierwszej wyprawie na łyżwy.
– Włóż sobie coś! – z dołu dobiegły mnie dobre rady.

– Jasne. Zaraz sobie włożę. W... – subtelną ironię ostatnich słów zachowałem już dla siebie. Ale też były one prawdziwe. Szczelin tyle co na lekarstwo, a jak już – to zalane. Parcie do góry też nie przychodziło łatwo. Płyty dawały się przejść tylko dzięki płatom zmrożonego śniegu, ale o tym, czy jest wystarczająco dobrze zmrożony, dowiedziałem się dopiero, gdy na nim stałem. A wtedy oczyma wyobraźni widziałem, jak cała tafla odrywa się od skały i razem z moją skromną osobą fiuuuu..... Z powrotem do stanowiska.

Śnieg jednak trzymał. Chrupał, ale trzymał. W polu widzenia pojawił się wreszcie urzeźbiony kominek dający nadzieję na dobre chwyty i asekurację. Jeszcze dwa kroki... Wklinowałem dziabki po koniec styliska. Ile to daje szczęścia!

Dwadzieścia metrów wyżej widać było już połogą część drogi. Ale jak się tam dostać? Skała znów się przewieszała i straszyła sinymi soplami. „Ha, co dwie głowy to nie jedna!", pomyślałem i szybko założyłem stanowisko.

Kajman dotarł nieco zziajany.

– Gdzie dalej?

– Do góry – machnąłem głową w kierunku zerw, wysilając całe ciało, żeby postawą dać jasno do zrozumienia, że to już nie mój problem.

– O k...

– No...

– Może jeszcze poprowadzisz?

W takich chwilach nie zapominam języka w gębie.

– NIE!

Chyba brzmiało to przekonująco, bo mój partner w milczeniu zaczął przepinać sprzęt i już po chwili drapał się ku oswobodzeniu.

Gierlach i Zadni Gierlach z Polskiego Grzebienia.

Cholera, im bardziej wchodził w te straszne zerwy, tym łatwiejsze i przyjaźniejsze się wydawały. „Dostałeś dwa najpiękniejsze wyciągi, farciarzu", myślałem z zazdrością, gdy szedłem chwilę potem jego śladami.

Dwie godziny później wychyliłem głowę przez grań na słoneczną, zachodnią stronę masywu. Stanowisko na grani koniecznie w słońcu, żeby się ogrzać i opalić, z wygodnym siedziskiem. W dół zbiegał łatwy żleb zejściowy do Batyżowieckiej, gdzieś w pobliżu był już pik. Czego chcieć więcej?

Wymagająca uroda poprowadzonych wyciągów chyba jednak odcisnęła piętno na motywacji Roberta, bo po dojściu na grań nie szukał wzrokiem dumnych turni, koncentrując się raczej na tym, co pod nami.

– To ja schodzę! – rzucił, nie dochodząc nawet do stanu i zrobił krok w dół żlebu. Ale moja ręka nie wydała nawet milimetra luzu.

– Jakie schodzę?! Na pik! – chciałem, żeby brzmiało kategorycznie i chyba mi się udało. Pół godziny później spoglądaliśmy na zieleniejące się pola pod Popradem ze szczytu Pośredniego Gierlacha.

Stanisławski

Wschodnia ściana głównego szczytu Gierlacha nie jest ani wysoka, ani bardzo groźna. A jednak ze świecą szukać tych, którzy się tam wspinali. Powód? Czterysta metrów łatwego, ale jednak stromego terenu, który doprowadza pod właściwą ścianę. Dalekie podejście, długie zejście – właśnie takich dróg szukaliśmy tej zimy.

Dwa dni regularnych posiłków, sauny, jacuzzi, miłych rozmów z sympatycznymi kolegami w komfortowych wnętrzach Śląskiego Domu wystarczyły do odbudowania sił po poprzednich wyrypach. Tym razem nie było wstawania po nocy – słońce zaczęło grzać nasze plecy już na podejściu.

Kilkadziesiąt metrów za Żlebem Karczmarza napotykamy grupkę kursantów Dudusia.

– Na co idziecie?

– Filar Stanisławskiego!

Prawie tak jak my. Ale nasz Stanisławski ciągle był jedną górę dalej i czterysta metrów wyżej.

Dolna część ściany jest jak bieżnia w siłowni – niby cały czas biegniesz, a widok ciągle

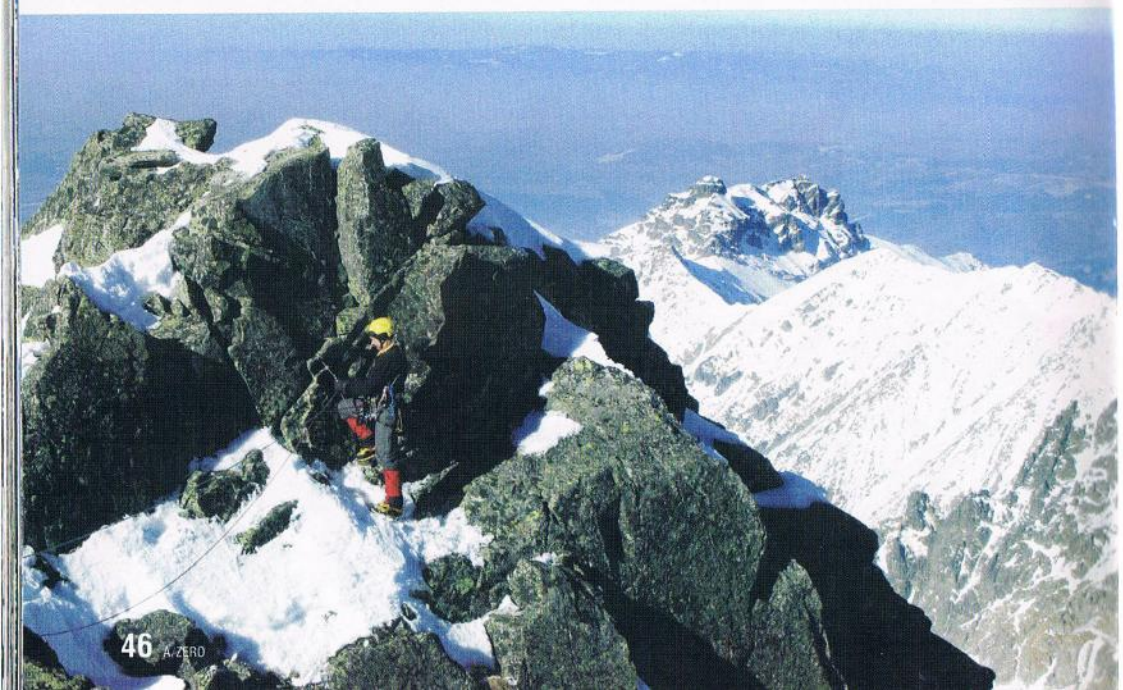

Gierlach nasz! Znowu...

ten sam. Sto kroków, dwieście, trzysta, a przed oczami ciągle ten sam biały śnieg. Sto metrów kuluarem w lewo, sto metrów kuluarem w prawo i znów sto w lewo... Wreszcie zza trawiastej kulisy wyłoniła się nasza ściana. Na prawo, niemal na wyciągnięcie ręki widać było Przełęcz Tetmajera. Jeszcze drobna przekąska z trzech krówek, łyk izostara i do roboty. Z zapałem rzuciłem się na płytową ścianę, ale już po pierwszych piętnastu metrach wrócił koszmar z depresji Pośredniego Gierlacha: znów pokryte śniegiem płyty, znów zalane szczeliny. Psycha topniała jak śnieg na Orawie. Ale co zrobisz? Na boki ucieczki nie ma, w dół się nie da, a w górę jest tylko trudno.

Po trzydziestu metrach nad głową pojawiła się idealna na stanowisko śnieżna platforma. Wizja płaskiego podłoża i dwóch haków wbitych po ucho zawsze dodaje sił i odwagi, więc po kilku kolejnych trudnych minutach mościłem się w głębokim śniegu.

Kajman, który wkrótce pojawił się obok mnie, jak zwykle zaczął szukać dziury w całym.

– O, fajna półka. O, tu można dojść od prawej. O! Tam jest zupełnie łatwo!

Niestety, miał rację. Przez ponad godzinę przedzierałem się przez koszmarne płyty, drżąc o swoje gnaty, zaledwie kilka metrów od pozbawionego trudności śnieżnego żlebu, który doprowadziłby mnie w dziesięć minut dokładnie w to samo miejsce. Miał rację. Ale czy partner nie powinien od czasu do czasu czegoś przemilczeć?

Szczyt przyszedł szybciej niż się spodziewaliśmy. Skalne żeberko, kominek, krok – i nagle w twarz uderzają promienie słońca. Grań, za nią znajomy krzyż z niebieskim kamieniem.

Usiedliśmy na rozpalonym słońcem szczycie. Tyle łaskawości od Tatr nie zaznaliśmy już dawno. Świetne warunki, dobra pogoda. Trzy piękne drogi w ciągu tygodnia. Dla mnie była to już ostatnia wizyta na Gierlachu w tym sezonie, więc celebrowałem ją bez pośpiechu. Picie, batonik... Milczenie przerywane tylko krótkimi zdaniami. Było tak dobrze, jak tylko mogło być.

Słoneczny stan. Wyjście z drogi Stanisławskiego na wschodniej Gierlacha.

Z pamiętnika żółtodzioba

Tekst: **Tomek Kowalski**

Cała ta historia mogła nie mieć miejsca i pewnie niektórzy chcieliby, żeby tak było. To wszystko jednak wydarzyło się naprawdę na pierwszym turnusie obozu zimowego KW Warszawa.

Nie miałem pojęcia czego spodziewać się po obozie z warszawiakami. Ja, nieopierzony żółtodziób z zaściankowego Poznania, jadę wspinać się z najlepszymi z najlepszych. Ze śmietanką wspinaczkowego środowiska, gdzie każde nazwisko budzi podziw, a niektóre nawet zachwyt. Przed wyjazdem nie znałem praktycznie nikogo. Słuch mnie doszedł tylko o jakieś Rybie bez łusek, Miotku, któremu ukradli śpiwór w Himalajach, Młodym, co młody nie jest, Paszczaku, co nie ma nic wspólnego z Doliną Muminków, czy Dudusiu, którego lawiny omijają szerokim łukiem. Wszystko to brzmiało dla mnie trochę jak z koszmarnej bajki nie dla dzieci.

Stolica jaka jest każdy wie. Luksus, przepych, hedonizm, rozpusta, piękne kobiety i przystojni mężczyźni. I prawda jest taka, że oprócz tego ostatniego aspektu w Dolinie Wielickiej nie było inaczej.

Jeszcze na parkingu w Tatrzańskiej Polance poznaję większość legendarnych dla mnie taterników. Wiek ich ciężko odgadnąć. Coś między 18. a 70., ale dokładnie nie wiadomo. Nieodłączny papieros w ustach sugeruje na pewno niebywałą pojemność płuc i wydolność organizmu. Tak, to zdecydowanie są nasi instruktorzy. Warunki noclegowe zupełnie mnie nie zaskoczyły. Ot, czterogwiazdkowy hotel w środku gór. Sauna, jacuzzi, szef kuchni, w pokoju plazma, widok z okna na kilkusetmetrowe ściany, komfortowa kabina prysznicowa i... łóżko małżeńskie. Tak, okazało się, że łoże dzielić trzeba z kolegą wspinaczem. Niektórzy szczęściarze dzielili je z koleżanką/żoną lub spali samotnie. Zdeklarowani homofobi rozdzielali połowę łóżka postawionymi na sztorc rakami i czekanami, żeby paradoksalnie „przypadkowo się nie nadziać". Zdesperowani, aby zasnąć spokojnie, rozrywali łóżko na dwie części. Ale nie dla przytulanek tam przyjechaliśmy.

Budujemy grzyby!. Fot. Tomek Kowalski.

Podstawowym celem obozu była ponoć wspinaczka zimowa. Problem polegał jednak na tym, że na najbliższych ścianach nie było prawie śniegu. Te dalekie nie wchodziły w grę, bo były za daleko. Poza tym po co iść dalej, skoro stanowisko można założyć prawie z balkonu schroniska? Nieliczni osobnicy decydowali się na desperackie ataki odległych ścian, po to tylko, żeby się wycofać i jeść resztki kolacji, albo nie jeść wcale. Na drugi dzień zawsze stali pierwsi w kolejce do żarcia.

To jedzenie właśnie wyznaczało rytm obozowego życia. Siódma rano, kolejka do śniadania. Kto ostatni, ten nie ma jogurtu. Potem wspin, ale maksymalnie do 17:30, żeby zdążyć na kolejkę do obiadokolacji. Nawet prysznic nie był tak ważny jak zarezerwowany deser z biszkoptem i kremem czekoladowym. Na tych, co wracali później, patrzono z pożałowaniem, zupełnie pomijając fakt, że przeszli wyjątkowo trudną drogę ze śmiertelnym zejściem. Gulaszu nie zjedli. Mogą pocieszyć się co najwyżej piwem, którego nigdy nie brakowało.

W dodatku ciągła lampa i wyśmienita pogoda zupełnie nie nastrajały do wspinaczki. Tak przynajmniej twierdzili nasi instruktorzy. Mówili, że na podejściu tworzą się niebezpieczne czapy śnieżne, które tylko oni potrafią

W trudnościach „prawego żlebu". Fot. Tomek Kowalski.

wyczuć. Że lodospady w każdym momencie mogą się gwałtownie roztopić. Że boli ich kolano, co oznacza, że przyjdzie długo wyczekiwane załamanie pogody. W takich warunkach nie ma żartów. „Nie od razu Rzym zbudowano", chciało by się rzec, po raz kolejny skacząc z czekanem i wykonując awaryjne hamowanie w każdej możliwej pozycji. Wszystko po kolei. Budowanie stanowisk w śniegu, chodzenie w rakach, bez raków. Z czekanem, bez czekana. Stanowiska w lodzie, w skale, w trawach. Skondensowany kurs wspinaczkowy. I pewnie byśmy budowali te grzyby śnieżne przez cały tydzień, gdyby nie wewnętrzna ambicja żółtodzioba, żeby ŁOIĆ! Presja była tak wielka, że nawet instruktorzy nie byli w stanie się oprzeć. Już drugiego dnia otwieramy najpopularniejszą drogę obozu nazwaną przemyślanie „prawym żlebem". Z powodu braku drugiej liny i praktycznie połowy potrzebnego szpeju wspinamy się w zespole czwórkowym. Większość z lotną asekuracją. Trochę lodu, trochę śniegu, trochę mikstu. Kończymy jeszcze długo przed kolacją, licząc, że szybkim zejściem Niedźwiedzią Ławką akurat trafimy do środka jedzeniowej kolejki. Niestety lądujemy w kosówkowej makabrze, gęstej i wysokiej niczym amazońska dżungla. Jak te małpy w koronach drzew, skaczemy z konara na konar w świetle czołówek, nie mając czasem pojęcia, gdzie jest góra, a gdzie dół. Surrealistyczne doświadczenie kończymy nagle po kilku godzinach na środku ścieżki zmierzającej do hotelu. Oczywiście po kolacji.

Każdego następnego dnia instruktorzy próbowali uchronić nas od niebezpieczeństw gór, organizując nieobowiązkowy, acz zalecany kurs lawinowy lub zarządzając przymusowy dzień restu. Sami przecież nie mamy pojęcia, kiedy należy odpoczywać, a przecież logiczne, że najlepiej robić to w największym

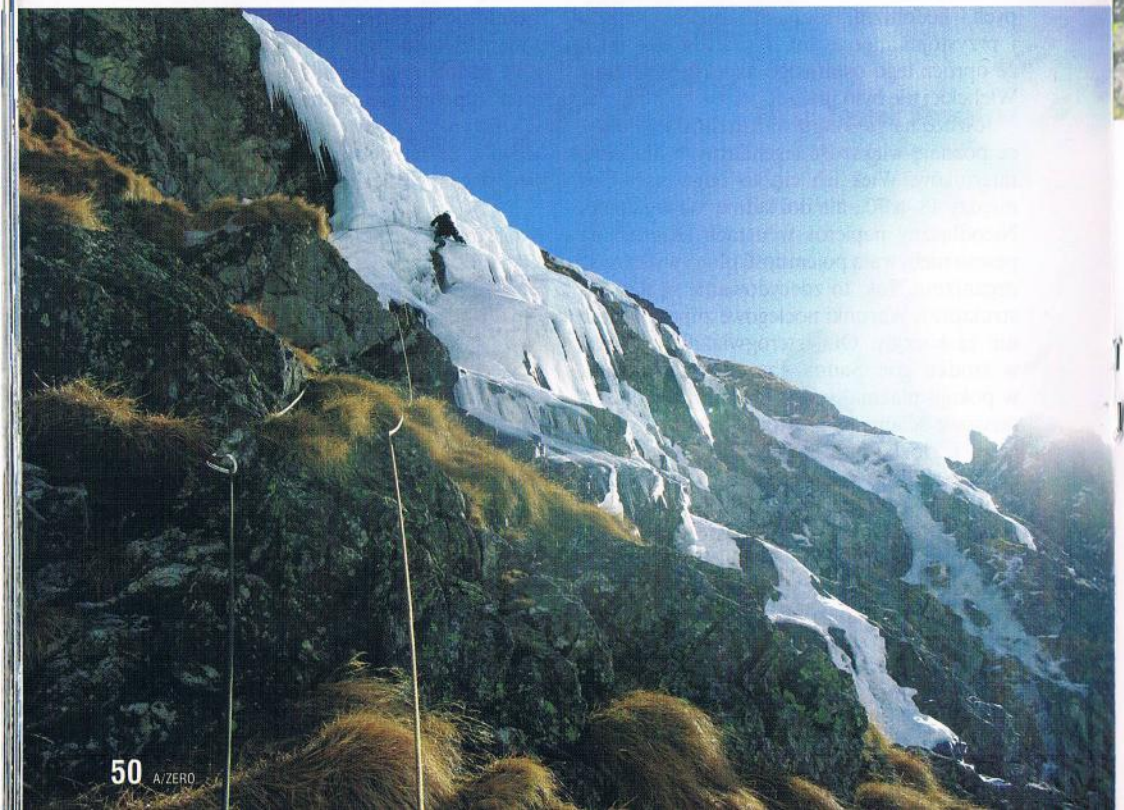

Andrzej, Mirek i autor na szczycie najbliższej od hotelu turni. Fot. Tomek Kowalski.

słońcu i bezwietrznej pogodzie. Na całe szczęście nasz prywatny instruktor, który został instruktorem wbrew obowiązującym standardom, rozumiał nasz ból i puszczał nas samopas. Dzięki temu mieliśmy niebywałą okazję zrobić dwójkową drogę, która bez śniegu wybrała psychę, czy przejść na lotnej czwórkowe trudności, oglądając wcześniej nasz plecak spadający w czeluść. Takie atrakcje tylko bez instruktora. Z instruktorem z kolei przeżyliśmy jednak wiele niezwykłych chwil. Również z gatunku tych magicznych. Rozgwieżdżone niebo i świecące ślepia uciekających przed nami kozic. Kryształki lodu błyszczące się pod przednimi zębami raków. Mocniej bijące serce na trawersie z ostatnim przelotem daleko poza strefą komfortu. Wreszcie uścisk dłoni i podziękowanie za dobry wspin na schodach hotelu. Do tego zaraz przed kolacją.

Piękne to były dni i bardzo pouczające. Można narzekać, że warunki były zbyt komfortowe. Że zamiast się wspinać, to uczyliśmy się jak ratować poszkodowanych w lawinie. Że degustowaliśmy najlepsze szkockie whisky Michaela zamiast pić dobry czeski browar. Że jedliśmy cynaderki cielęce w sosie brokułowym zamiast konserwy turystycznej. Wszystkie te narzekania nie mają przecież sensu. W te kilka dni poznałem niesamowitych ludzi i nauczyłem się więcej niż się spodziewałem. Nawet legendarni taternicy okazali się prawie zupełnie normalni. Nie dość, że przeżyli dużo więcej niż my, to jeszcze chce im się tymi historiami dzielić. I właśnie te historie i śmieszne anegdoty powodują, że wspinaczka ma wymiar międzypokoleniowy i mimo różnic poglądowych, charakteru i poczucia humoru wszystko sprowadza się do dwóch rzeczy: gór i wspinu.

Fot. D. Wojnowski.

Podsumowanie obozu zimowego 2011

Marek Grądzki

Fot. Tomek Kowalski.

Poniżej zamieszczamy niestety niepełny wykaz przejść uczestników klubowego obozu zimowego w Dolinie Wielickiej. Z pewnością brak części przejść zespołów kursowych. Informacje o przejściach zebrał Marek Grądzki.

Gierlach:
- ***Komin Sawickiego*** V 6,5h, Robert Nejman i Piotr Wolski
- ***Droga Stanisławskiego*** IV 7,5h, Robert Nejman i Piotr Wolski

Pośredni Gierlach:
- ***Depresją wschodniej ściany*** VA0 10h, Robert Nejman i Piotr Wolski
- ***Filar Stanisławskiego (płn.-wsch. ściana)*** IV+ 12h, Piotr Bucki i Robert Nejman

Wielka Wielicka Strażnica:
- ***Prawym Żlebem 90°***, m-ce IV 3,5h, Andrzej Frankowski i Jacek Kierzkowski
- ***Droga Mączki (z wariantami)*** V 9h, Piotr Bucki i Robert Nejman
- ***Prawy Żleb*** III, Paulina Janczar, Wojciech Grochowski i Maciej Łojkowski

Masyw Polskiego Grzebienia:
- ***Snatch*** M4+ 1,5h, Andrzej Frankowski, Jacek Kierzkowski i Mirosław Mazur

Wielicka Baszta:
- ***Mączka*** M4+ 8h, Jacek Kierzkowski i Mirosław Mazur
- ***Mączka+Lewy Panieński Welon (warianty)*** III 4h, Paulina Janczar i Wojciech Grochowski

Wielicka Kopa:
- ***Droga Mączki*** III m-ce IV 3,5h, Paulina Janczar, Katarzyna Skłodowska i Wojciech Grochowski

Granatowa Ściana:
- ***Prawy Filar*** V 10h, Jacek Kierzkowski, Albert Niedźwiecki, Marcin Osipiak

Granacka Turniczka:
- ***Pn-Zach Depresja*** II m-ce IV+, Paulina Janczar i Marta Wawro

Ponad Ogród Turnia:
- ***WHP 1717*** III, Paulina Janczar i Marta Wawro

Ponad Staw Turnia:
- ***Prawą Grzędą*** III, Paulina Janczar, Alicja Paszczak i Marta Wawro

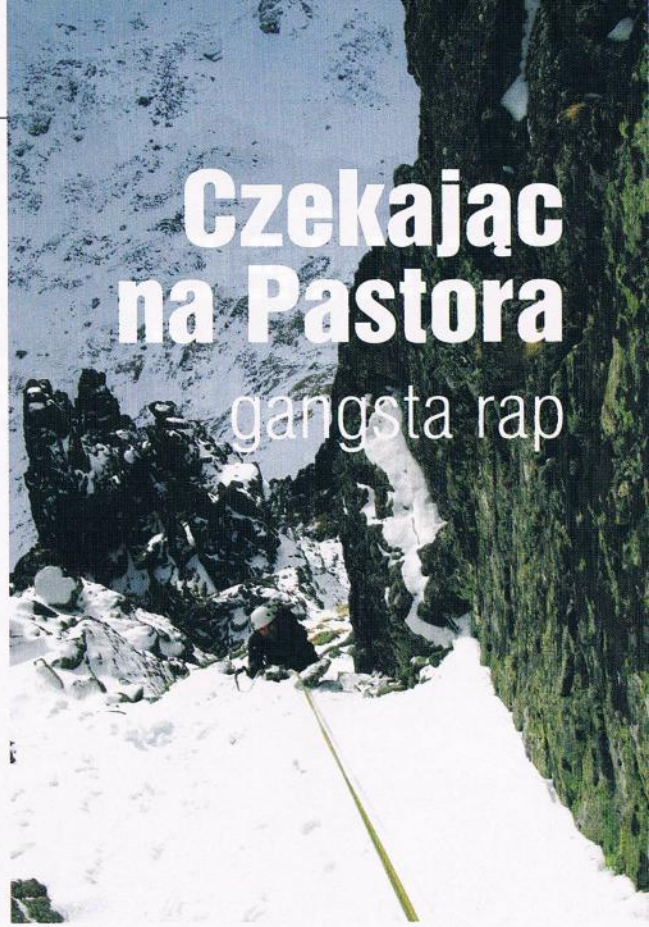

Czekając na Pastora

gangsta rap

Fot. D. Wojnowski.

Intro – szybko:

Nie wiem, gdzie to Paszcza słońce?
Zapomniałem już, że końce
dwa ma lina, nie pamiętam,
jak ósemkę trza zawiązać
i z Kajmanem skręcam skręta.
Wiatr tu zrywa kaski z głowy,
wbity w dresik kościołowy
między izbą a wyczapem
krążę z kuflem i mym rapem.
Przepak robię po raz czwarty,
camy, śruby – to nie żarty,
pałerżele, pips, łopata,
wszystko czeka tu na atak.
Tak jak Ueli na Eigera
marzy mi się jak cholera
czas wykręcić zajebisty –
cel jest przecież oczywisty.
Ponad stawem turnia morzem
kusi swoich traw, czesanych
patagońskim wysmaganych
wichrem, co dolinę orze.

Mainstream – wolno:

Po wspinie na Mączce schodzić zamierzałem,
jak pobić czas Ueliego, wciąż obmyślałem,
gdy z filmów „First Ascent" nagle pomysł nowy
wteleportował się szybko do mej głowy.
Chciałem powtórzyć wyczyn Petera
Crofta – innego filmu bohatera.
Głową w dół poszybować i przy życiu pozostać.
To tell the story i z nerwami się nie rozstać.
Numer się udał, gdy schodząc po ławce
niedźwiedziej, myślami na Gerlachu w zajawce
bawiąc, odmówiłem odejścia na drugi krąg,
Kolesie na wieży nie załamywali rąk –
radarem ze Smoleńska swym mnie kierowali,
tym razem z sukcesem na glebę sprowadzali.
Skasowałem podwozie, odbite wszystkie gnaty,
nieprędko zadam na bacharze ze szmaty.
Na film następny nadeszła teraz pora,
odcinek drugi: „Czekając na pastora".
„Czekając na Joe" to bajka dziecinna,
historia na dobranoc, igraszka niewinna.
Odcięcie, szczelina, złamanie otwarte
to przygody Joe wspomnienia niewarte.
Gdy z zejściem porównasz moim heroicznym
ławką niedźwiedzią, wpół somnambulicznym.
Drogi słuchaczu, obczaj to koniecznie
– oglądanie filmów bywa niebezpieczne!

Taniec na czubkach raków

Tekst: **Marcin Księżak**

Superparanoja na ścianie Kazalnicy to 20 godzin fajnego, ciągowego zimowego wspinania w niewygórowanych trudnościach, z jednym trudnym wyciągiem (ścianka na Długoszu), jeżeli chce się go pokonywać klasycznie. Dodatkowo 1,5 godziny (zależnie od warunków) zadawania po śniegu do szczytu.

Wyciąg 1.

Rozpoczynający się dzień rozświetla dolinę. Szybko podnoszące się chmury odsłaniają ścianę w całej okazałości. Główne spiętrzenie z wielkim okapem na czele majaczącym jakieś 200 m nad głowami wzbudza respekt.

Jasiek porusza się powoli, w dużym skupieniu wyszukując kępki traw, z których można zadać. Dodatkowo nie ułatwiają życia schodzące co jakiś czas pyłówki przypominające kilkucentymetrowy nocny opad śniegu.

Asekuracja jest wymagająca i nieewidentna, a punkty wcale nie wyglądają na pancerne. Gdy w końcu udaje się wbić dobrego haka, to siada on tak dobrze, że zostaje w ścianie na stałe.

Wyciąg 2.

Znając ostatnio ważne znaczenie słów nie napiszę, że start do kolejnego wyciągu prowadził przez gładką pionową płytę i dalej przez pionowe trawy, bo ktoś stwierdzi, że przeginam. Ale taniec, jaki wykonał Jasiek na tej płycie, był niesamowity. Raki zgrzytały, dziaby trzeszczały. Oblaki, krawądki, pojedyncze kępki wymagały finezji ruchu, wyczucia równowagi. Słabe jedynki i listki nie wspierały psychy. W momentach zachwiań, wyjazdów nóg wspierałem go słowem... i duchem.

Wyciąg 3.

Prowadził jakimiś zacięciami, choć był wspinaczkowy, to jakoś nie pozostawił w pamięci żadnych śladów.

Wyciąg 4.

Przejmuję prowadzenie. Ściana znowu się otwiera, płyty nad głową i nieewidentne formacje nie ułatwiają znalezienia właściwej drogi. Wchodzę na podciętą od spodu ściankę, zadaję z zaklinowanych odstrzelonych bloczków, co wzmaga wydzielanie adrenaliny. Następnie zacięcie i piękna rysa w płytach, istny diamencik wspinaczkowy, pokonuję ją lekkim „dilferkiem" na dziabach.

Jasiek prowadzi ściankę Długosza. Fot. M. Księżak.

Wyciąg 5.

Wspólny z Długoszem. Teren przestaje być taki uroczy, pojawiają się tatrzańskie syfy. Początek jest łatwy, później robi się trudniej. Niekorzystne uwarstwienie skały, jej zwietrzenie powoduje, że najtrudniejsze miejsce na tym wyciągu na chwilę mnie zatrzymuje i daje do myślenia. Ściągam rękawice i zadaję z paluchów. Na łatwiejszej końcówce nie chce mi się zakładać przelotów, za co zostaję później delikatnie zrugany. Po około 60 m docieram do stanu zakładanego na kruchym filarku pod Ścianką na Długoszu. Wokół nad głową okapy.

Wyciąg 6.

Linia spitów odbijająca skośnie w prawo lekko przewieszonym terenem wyznacza kierunek drogi. Ściana tam wygląda na bardzo gładką, przejście na dziabach wydaje się niemożliwe. Podejrzewaliśmy wystąpienie takich problemów, dlatego zabraliśmy jedną parę miękkich butów. Żałowałem, że były to buty Jaśka, bo miałem wielką ochotę na to naprzeć.

Na stanie pod Ścianą Długosza. Fot. J. Kuczera.

Przy drugim spicie robi się trudno, przy trzecim widzę niesamowitą walkę Jaśka próbującego utrzymać się w przewieszeniu na obłych chwytach z nogami daleko odstawionymi na płycie. Po paru kolejnych ruchach udaje mu się zaprzeć plecami o przewieszoną ścianę i dać chwilę wytchnienia rękom. Kolejne dwa ruchy wyglądają na w miarę proste, po dużych odciągach. Nagle Jasiek leci ze sporym fragmentem skały. Stwierdzam, że OS-a nie będzie, ale namawiam go, żebyśmy postarali się zachować choć resztki dobrego stylu i przeszli wyciąg RK. Po cofnięciu do „nohanda" ponawia próbę, mija miejsce z oberwanym chwytem i przechodzi na gładki, podcięty mikrofilarek. Niestety nie znajduje od razu chwytu i znowu odpada. Tym razem nie daje się namówić na ponowną próbę, zimno i zmęczenie wpływa na decyzję o porzuceniu stylu. Po krótkim odpoczynku i zapoznaniu z trudnościami wraca na filarek i go pokonuje. Dalej teren robi się trochę łatwiejszy, ale śnieg na krawądkach utrudnia trochę wspinanie.

Wyciąg 7.

Znowu prowadzę. Króciutkim łatwym wyciągiem dochodzę do Półki z Krzakiem.

Wyciąg 8.

Zapadają ciemności. Droga wciśnięta jest między dwie wiodące formacje. Trzeba iść tam, gdzie wygląda trudno, no i jest trudno. Najpierw kruche przewieszające się zacięcie, później lekko przewieszona ścianka. Napotkany stały hak, na którego patrzyłem z nadzieją, niestety w trakcie wpinki wypadł i został mi w ręku. W połowie ścianki byłem już bardzo zmęczony, sapałem jak parowóz, zacząłem zdawać sobie sprawę, że mogę nie dociągnąć do końca. Ustawiłem się w szpagacie i zacząłem trzepać ręce, ale nie przynosiło to efektu. Dopiero przełożenie przedramienia za dziabę dało wymierny efekt. Manewr ten trenowałem w trakcie sezonu, no i tutaj idealnie się sprawdził. Ścianka padła.

Wyciąg 9.

Jestem strasznie zmęczony, oddaję prowadzenie. Jasiek w mroku nocy próbuje odnaleźć przebieg drogi w nieewidentnych formacjach. Światło czołówki znika w Wielkim Zacięciu. Wiem, że to nie tu. Krzyczę i czytając wszystkie szczegóły ze schematu, naprowadzam go na właściwe tory. W końcu okazuje się, że połączył dwa wyciągi.

Wyciąg 10.

Trochę już odtajałem i znowu prowadzę. Teren nad głową znowu staje dęba. W świetle latarki ciężko ocenić przebieg drogi. Po jakichś 10 m nie wiem gdzie mam iść, schemat mi nie pasuje, a pięciocentymetrowe porosty świadczą, że nikt tu nie chodzi. Idę do góry, cofam się. Idę w prawo, dochodzę do skraju Wielkiego Zacięcia, to nie tu. Idę w lewo, mijam żółtą skałę nakrytą okapem (tzw. żółta plama), tutaj też raczej nie. Krzyczę do Jaśka, żeby wydawał dużo luzu, bo idę na rekonesans w lewo. Dochodzę do robionego trzy tygodnie wcześniej Daga, to też nie tu. Wracam i napieram jednym z zacięć prowadzących do góry. Po paru metrach czujne przewinięcie w lewo, po następnych paru kolejne. Te zygzaki powodują, że pod koniec wyciągu nie mogę uciągnąć liny. Zakładam stan i wbijam pozyskanego dwa wyciągi niżej haka. Będzie wskazywał drogę.

Ścianka Długosza. Fot. M. Księżak.

Wyciąg 11.

Jasiek pokonuje ostatnie 4 m trudności (ręce muszą się jeszcze zginać) i po 10 m zakłada stan w Załupie Daga.

Wyciąg 12.

Teren jest nam znany, 30 m dwójkowych trudności. Jest dobrze.

Ostatni stan – radość, zmęczenie i znajome światełko schroniska na dole.

Podchodzimy do wygodnego miejsca, żeby stopić śnieg na herbatę. W trakcie nakręcania palnika na kartusz ukręca się gwint. Jasiek krzyczy, rzuca mięsem ostatkiem rozsądku pohamowuje się od wyrzucenia palnika w otchłań. Ja w ciszy zdaję sobie sprawę, ile będzie nas kosztowało jeszcze te parę godzin marszu, najpierw na szczyt, później na dół. Jest to nasza trzecia wtopa w tym sezonie. Najpierw na Kieżmarskiej Kopie pożyczony superpalnik tylko pluł gazem i nic więcej, a w trakcie przejścia Daga okazało się, że zapomnieliśmy kartusza z gazem.

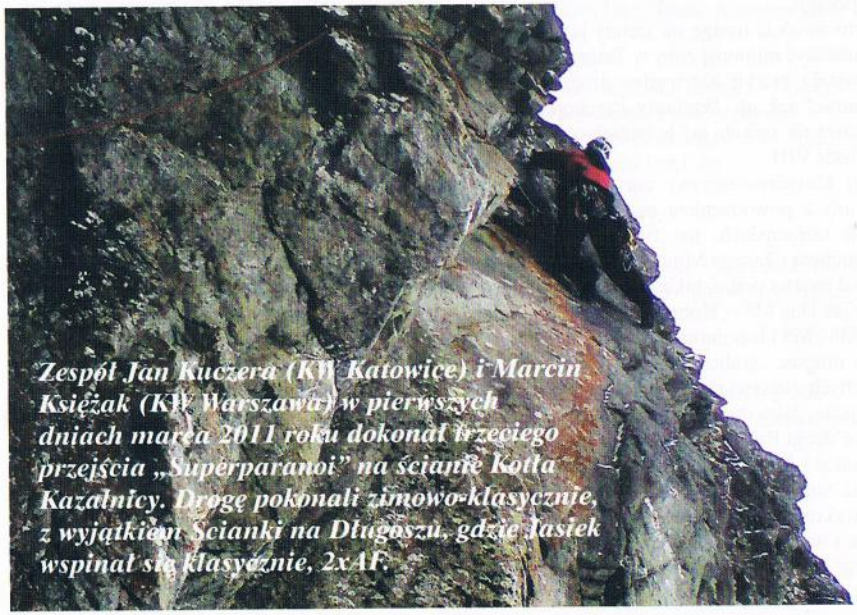

Zespół Jan Kuczera (KW Katowice) i Marcin Księżak (KW Warszawa) w pierwszych dniach marca 2011 roku dokonał trzeciego przejścia „Superparanoi" na ścianie Kotła Kazalnicy. Drogę pokonali zimowo-klasycznie, z wyjątkiem Ścianki na Długoszu, gdzie Jasiek wspinał się klasycznie, 2xAI.

Pierwszy wyciąg. Fot. M. Księżak.

Podsumowanie sezonu zimowego 2010/2011

Wykaz przejść **Marek Grądzki**, *komentarz* **Andrzej Dutkiewicz**

Fot.

Warunki wspinaczkowe w porównaniu z poprzednimi sezonami były wyjątkowo dobre. Być może dlatego w każdej „dziedzinie" wspinaczki zimowej w Tatrach nastąpił dość znaczący postęp.

Warto zwrócić uwagę na trendy jakie mogliśmy zauważyć minionej zimy w Tatrach:

Powstają krótkie ale trudne drogi „sportowo-zimowe" jak np. Warianty Psychopaty M8, z powtórzenia zyskują już te istniejące Warianty Słoweńskie VIII.

Styl klasyczno-zimowy coraz częściej jest stosowany z powodzeniem na średnio długich drogach tatrzańskich, nie tylko na Buli pod Bańdziochem i Tarasie Mnichowym. Jako dobry przykład można podać takie drogi na Kotle Kazalnicy jak Dag M8+, Hobrzański-Sułowski war. Stefki M8-/M8 i Innominata M8.

Ma miejsce „śrubowanie" czasów na uklasycznionych zimowo drogach bez ujmy dla stylu przejścia. Jako dobry przykład można podać przejście drogi Parada Jedynek M7 przez zespół Jan Muskat i Artur Paszczak OS w czasie 4,5h.

Coraz więcej zespołów stara się z powodzeniem wykraczać poza utarty „zestaw dróg" z Moka i wybiera długie o zimowym charakterze drogi rzadziej chodzone bądź zapomniane w Moku albo po słowackiej stronie Tatr. Na Kazalnicy przechodzono dawno nie atakowane drogi Superparanoja M7+, robiono Filar Ganku (dwa zespoły), Koryto z wyjściem Prawym Filarem na Rumanowym Szczycie, wschodnią ścianę Łomnicy czy też rzadko odwiedzaną zimą ścianę Młynarczyka (Droga Kowalewskiego). Warto zauważyć, że oprócz wyżej wymienionych ścian są w Tatrach też inne o podobnym charakterze. Kiedy ostatnio były przechodzone zimą przez Polaków drogi na Jaworowych, murze Hrubego, Ramieniu Krywania, płn. ścianie Małej Śnieżnej Turni, płn. ścianach Wołowej i ŻTM-u? Może warto się nimi zainteresować.

Drogi zrobione tej zimy to faktycznie dobre zimowe standardy z lat 40-90-tych zeszłego stulecia. Zastanawia brak zainteresowania ze strony polskich wspinaczy drogami słowackimi z lat 70-90-tych ubiegłego stulecia, z których znaczna część nie ma do tej pory zimowych polskich przejść. Z punktu rozwoju zimowej wspinaczki ideałem byłyby przejścia w stylu zimowo-klasycznym, w możliwie krótkim czasie na drogach „modernistycznych" na typowo zimowych, wielkich i trudno dostępnych ścianach Tatrzańskich.

Poniższe zestawienie przejść jest oczywiście mocno niekompletne i bazuje głównie na informacjach odnalezionych w sieci.

Polska

Próg WCK:
- ***Black Jack*** M7, Przemek Cholewa i Jarek Woćko, nowa droga

Kocioł Kazalnicy:
- ***Cień Wielkiej Góry*** M6, Leszek Iwan i Maciej Ostrowski
- ***Dag (wyjście Załupą Daga)*** M6 A2, Marcin Księżak i Jan Kuczera 12,5h
- ***Dag (bez Załupy Daga)*** M8+, Tomek Lewandowski i Staszek Piecuch
- ***Długosz-Popko*** M6+, Maciej Ostrowski i Paweł Strzelecki 7h
- ***Hobrzański-Sułowski***, war. Stefki M8-/M8, Jan Kuczera i Rafał Pietrasiak 1xAF 15h
- ***Innominata*** M8, Przemek Cholewa i Andrzej Sokołowski OS
- ***Orzeł z Epiru*** M7-, Piotr Wolski i Michał Ziółkowski OS 4h
- ***Parada Jedynek*** M7, Jan Muskat i Artur Paszczak OS 4,5h, pół pierwszego wyciągu RP (znając przy okazji porównywania wycen).
- ***Sprężyna*** M7/7+, Marcin Tasiemski i Paweł Zioło OS

Kazalnica Mięguszowiecka:
- ***Superparanoja*** M7+, Marcin Księżak i Jan Kuczera OS VIII 2xAF 20h
- ***Długosz*** V+A1, Alek Barszczewski, Piotr Wolski i Michał Ziółkowski 20h

Mięguszowiecki Szczyt Wielki (wschodnia ściana):
- ***Surdel*** M7/7+, Marcin Księżak (przejście zimowo-klasyczne, październik) solo OS 12h

Mięguszowiecki Szczyt Wielki (północna ściana):
- ***Direttissima*** M5, Maciej Ostrowski i Paweł Strzelecki 8h
  Justyna Florczak, Piotr Sienkiewicz i Waldemar Kwiatkowski 9,5h
  Małgorzata Jurewicz, Paweł Garwoliński i Marek Pawłowski 9h
- ***Superdirettissima*** V+, Alek Barszczewski i Szymon Potaczek 16,5h

Turnia Zwornikowa Cubryny:
- ***Siekierezada*** M5+, Magda Nowak i Paweł Strzelecki

Mnichowy Taras:
- ***Warianty Psychopaty*** M8, Przemek Cholewa, nowa droga RP
- ***Warianty Słoweńskie*** VIII, Przemek Cholewa i Paweł Zioło

Kazalnica Cubryńska:
- ***Jagiełło-Roj*** M5, Maciej Ostrowski i Paweł Strzelecki
  Piotr Sienkiewicz i Waldemar Kwiatkowski
  Marek Grądzki, Jacek Kierzkowski i Adam Latusek
- ***Moma*** M8, Maciek Bedrejczuk i Tomek Ostasz OS
- ***Trzy Pory Roku + Stary Środek*** 6+, Krzysztof Goździewicz, Jakub Radziejowski i Wojtek Roman 1xAF 6h

Ratusz Litworowy:
- ***Klepsydra*** 7+; Tadek Grzegorzewski, Paweł Jachymiak i Tomasz Lewandowski – pierwsze przejście zimowo-klasyczne

Pośrednia Turnia:
- ***Direttissima Dzika*** 7-, 4xA1, 1xA0; nieznani sprawcy w 10.5 h (drugie przejście zimowe)

Słowacja

Ganek:
- ***Płn.-wsch. Filar*** V,
  Tadek Dzięgielewski, Wojtek Kozub, i Krzysiek Styrna 25h
  Radek Kołodziński i Paweł Strzelecki

Rumanowy Szczyt:
- ***Prawy Filar płn.-wsch. ściany*** V+A0,
  Adam Pieprzycki i Robert Rokowski 10h (przejście w listopadzie)
- ***Koryto Rumanowego z wyjściem Prawym Filarem)*** M6,
  Jakub Radziejowski i Wojtek Roman 10h
- ***Czyż-Madejczyk-Szczepanek*** M6+,
  Marcin Księżak i Jan Kuczera (chodzi prawdopodobnie o jednowyciągowy wariant na dole do Koryta Rumanowego, reszta drogi Korytem)

Młynarczyk:
- ***Droga Kowalewskiego*** M6,
  Paweł Kopta i Piotr Sztaba,

Kieżmarska Kopa:
- ***Diretissima*** M7,
  Marcin Księżak i Jan Kuczera OS 16,5h

Pośrednia Baszta:
- ***Środkowym Filarem*** IV,
  Grzegorz Sokołowski i Piotr Wolski

Osterwa (Galeria):
- ***Komin Dieski (V znamení špagety)*** IV+,
  Grzegorz Sokołowski i Piotr Wolski

Łomnica (ściana płd.-wsch.):
- ***Motyka*** M5,
  Jan Kuczera i Rafał Pietrasiak 10,5h
  Marcin Chmieliński, Maciej Ostrowski i Paweł Strzelecki 11,5h

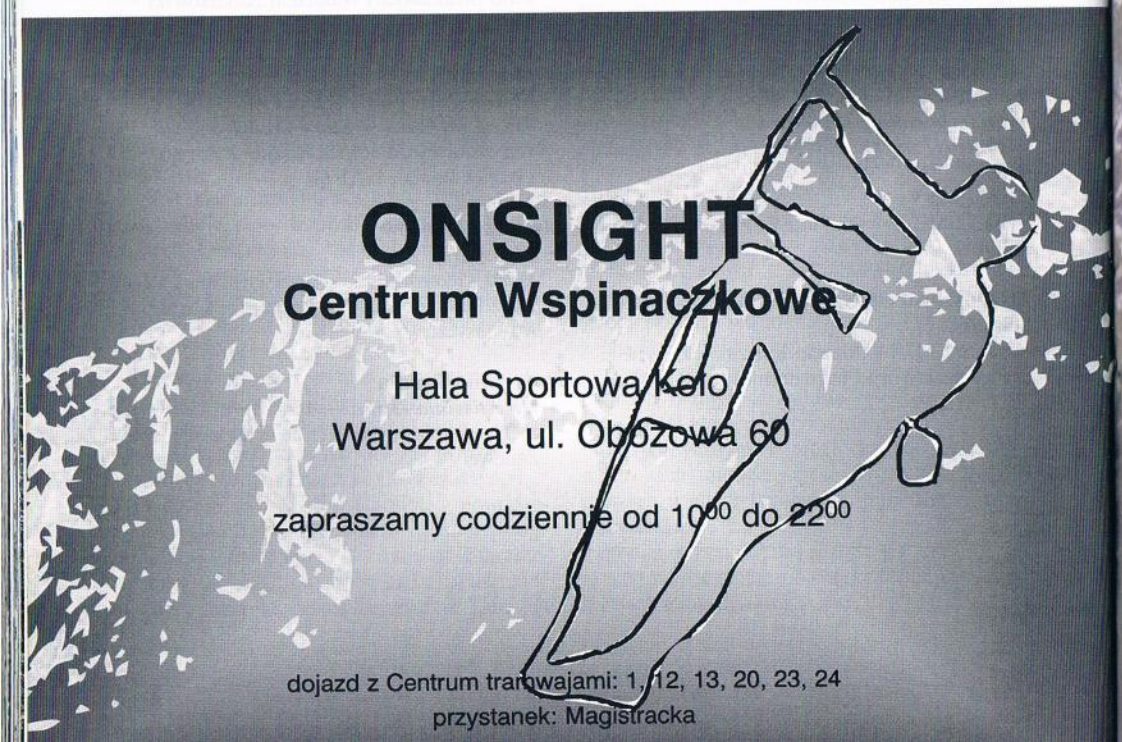

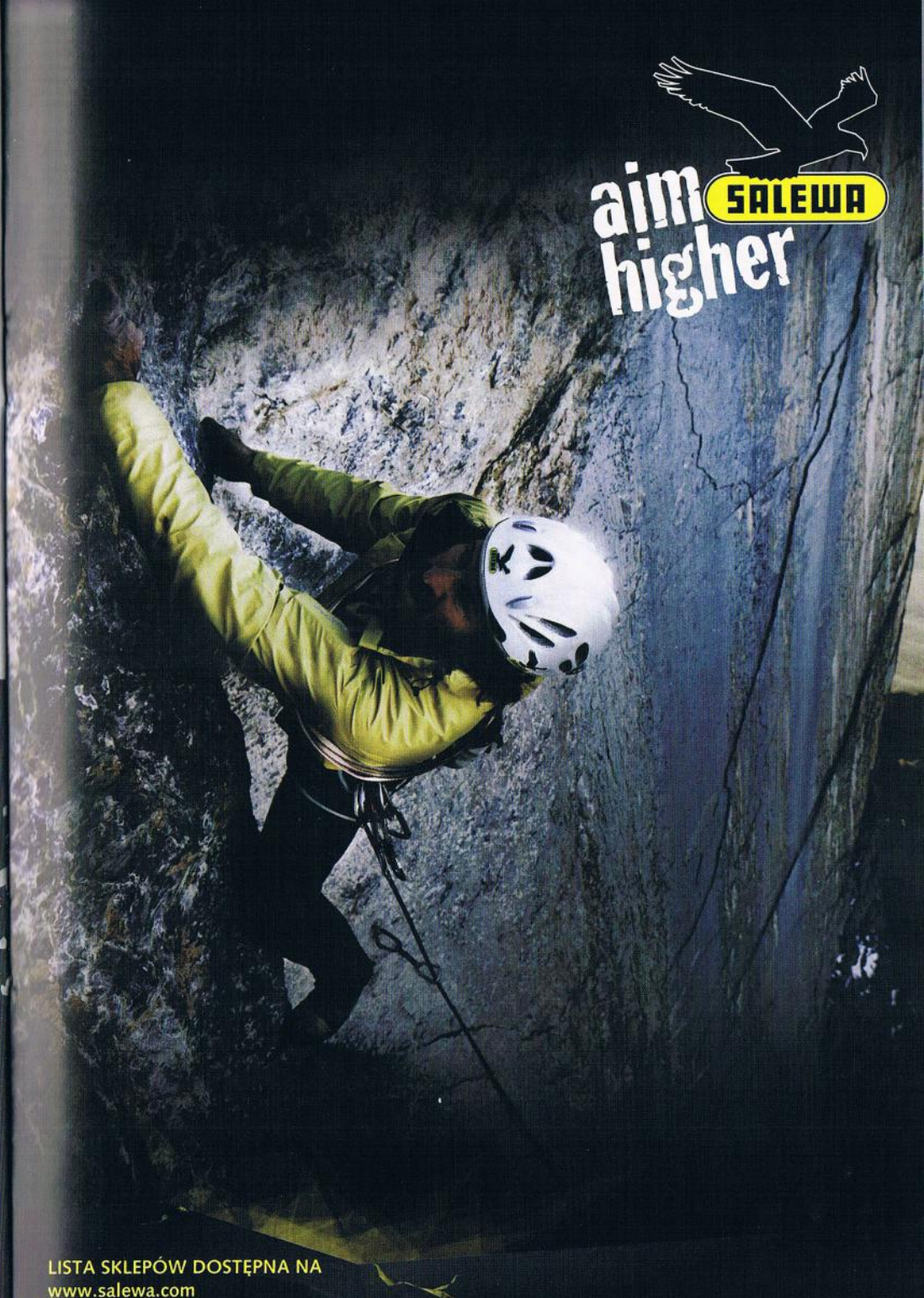

Tekst: **Przemek „Przemski" Falczyński**

Zdjęcia: **Maciek Zabiegaj**

Klubowi skiturowcy łączcie się!

Narciarstwo wysokogórskie staje się w KWW coraz popularniejsze. Nadszedł czas, by integrować się nie tylko w podgrupach, lecz także by spotkać się w szerszym gronie i wspólnie co nieco zafoczyć. Właśnie dlatego do kalendarza klubowych imprez dołączyły na stałe weekendy skiturowe. A oto mocno subiektywna relacja z pierwszej edycji tej imprezy.

Na miejsce spotkania wybrane zostało schronisko na Hali Kondratowej – na tyle małe, że mogliśmy „zawładnąć" nim całym, a nie być jedną z wielu grup np. w Murowańcu. Nie bez znaczenia jest też położenie Kondratowej w pobliżu Kasprowego, gdzie osoby bez większego skiturowego doświadczenia mogą bezpiecznie pofoczyć. Bliskość Kopy Kondrackiej – tatrzańskiego klasyka skiturowego – zapewnia z kolei możliwość odbycia wycieczki niezbyt długiej, ale w pełni satysfakcjonującej.

Dwadzieścia miejsc (tyloma dysponuje schron) rozeszło się jak świeże bułeczki i dość szybko zaczęła się zapełniać lista rezerwowa. Niestety zima 2010/2011 była bodaj najgorszą – ze skiturowego punktu widzenia – zimą XXI wieku, i robiła wszystko, by pokrzyżować plany narciarskiego weekendu. W pierwszym terminie, pod koniec stycznia, praktycznie nie było w Tatrach śniegu (!) i imprezę trzeba było przełożyć. Jedyny możliwy nowy termin pokrywał się z feriami warszawskimi, co sprawę dodatkowo skomplikowało, gdyż wielu chętnych nie mogło się w tym czasie stawić.

Finalnie impreza odbyła się 18–20 lutego 2011, przy raczej kiepskich warunkach śniegowych – nie było co marzyć o jakiś większych eskapadach. Część osób pokręciła się w okolicy Kasprowego, a liczna grupa ruszyła na Przełęcz Kondracką, a potem dalej na Kopę. O ile kotły były w miarę wyśnieżone (choć była to marna łamliwa skorupa), o tyle granie – jak na połowę lutego – tragedia! O ilości śniegu niech świadczy fakt, że jeszcze nie uruchomiono krzesełek na Goryczkowej – dla skiturowców brak narciarzy boiskowych to może akurat dobra wiadomość, ale jak świadczy o zimie?

Nie samym foczeniem człowiek żyje, dlatego Weekend Skiturowy KWW pomyślany był przede wszystkim jako cykl ciekawych wykładów i prelekcji na tematy związane z narciarstwem. Zaczęliśmy mocnym uderzeniem – relacją ze skiturowego zdobywania Kazbeku. O losach wyprawy, szczegółach logistycznych i specyfice uprawiania narciarstwa wysokogórskiego na sporych wysokościach opowiadał Jacek Grzędzielski, szef Salewa Polska, do której należy także czołowa skiturowa marka – Dynafit. Po suto okraszonej slajdami prelekcji Jacek opowiedział o nowościach Dynafita na bieżący rok, przedstawił rewolucyjne, dwu-

Jacek Grzędzielski, szef Salewa Polska, prezentuje rewolucyjny but skiturowy TLT5 Dynafita.

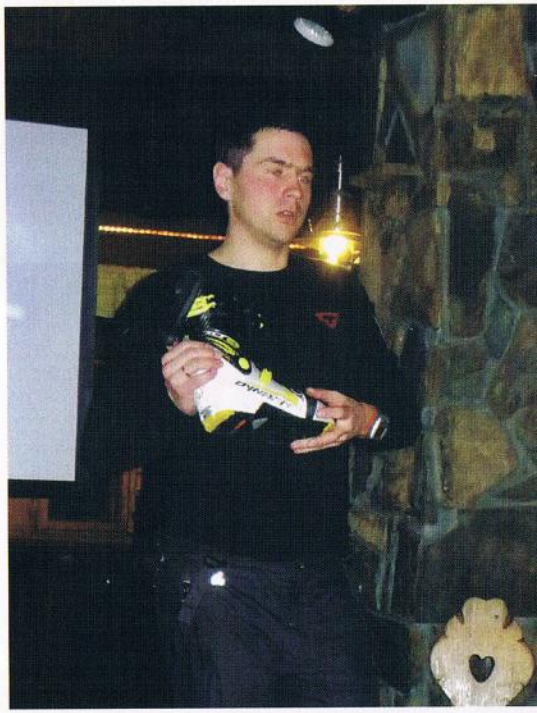

Komando Foki rusza na Kopę Kondracką.

Nieważne gdzie, ważne, że w dół :)

klamrowe buty skiturowe TLT5, które solidnie trzymają w zjeździe, są komfortowe na podejściu, a na dodatek ich ultralekka waga oznacza zdjęcie z każdej nogi około 600 g – rzeczy do tej pory nie do pogodzenia zostały przez konstruktorów Dynafita zamknięte właśnie w modelu TLT5. Jacek długo jeszcze mówił o skiturowym szpeju, i gdyby nie to, że musiał wracać na dół, narciarski hardware zdominowałby spotkanie.

Kolejną część wieczoru poświęciliśmy omówieniu ciekawych tras skiturowych. Andrzej Huczko opowiedział o swojej wyprawie do Ameryki Południowej i interesujących wycieczkach narciarskich w egzotycznych dla nas śniegach Andów.

Ostatnia z prezentacji dotyczyła przejścia Silvretta Haute Route – jak utrzymuje autor, znacznie ciekawszego niż klasyk trasą O'Connora. Kto nie usnął w czasie tego bardzo szczegółowego omówienia, miał szansę wziąć udział w losowaniu nagród przekazanych przez sponsorów naszego spotkania: firmę Dynafit – producenta topowego sprzętu skiturowego, oraz firmę BCA – amerykańskiego lidera w dziedzinie sprzętu lawinowego: pipsów, łopat, sond, etc. Nie było osoby, która wyjechałaby nieobdarowna, a niektórzy szczęściarze wzbogacili się nawet kilkukrotnie.

Sądząc z dużego zainteresowania imprezą, pomysł spotkania chwycił i kolejny Weekend Skiturowy KWW na pewno odbędzie się zimą 2012 – choć nie znamy jeszcze terminu ani miejsca. Żeby jednak bardziej rozruszać imprezę, potrzebne jest też zaangażowanie klubowiczów i chęć przedstawiania na spotkaniu relacji ze swoich własnych tur, tak abyśmy mogli się dzielić naszymi skiturowymi doświadczeniami.

Wszelkie sugestie dotyczące kolejnej edycji Weekendu Skiturowego KWW i propozycję zaprezentowania własnych tur proszę przesyłać pod adres: przemski@skitury.net.

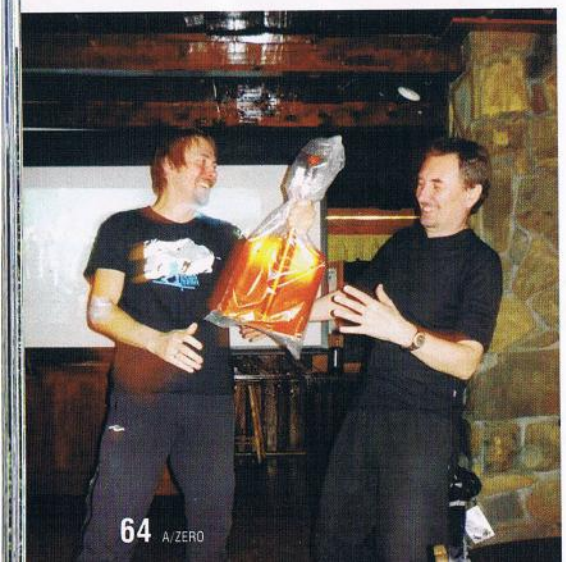

Szczęśliwcy wrócili z imprezy solidnie obdarowani.

yeti®
producent najwyższej jakości śpiworów, odzieży i akcesoriów puchowych

botki puchowe

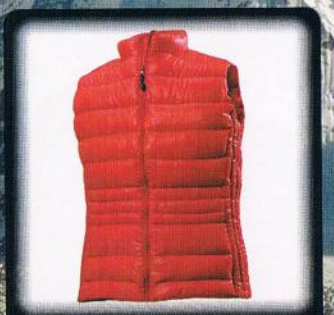
kamizelka Superlight

kurtka dziecięca

śpiwór puchowy

rękawice puchowe

YETI R. Krawczyk Sp. J., ul. Wojnicka 2, 03-774 Warszawa tel. +48 22 618 48 68
www.yeti.com.pl

A/ZERO TOPO

Urbanowa Turnia I

Nieznany klejnocik Doliny Batyżowieckiej

Tekst i zdjęcia: **Artur Paszczak**

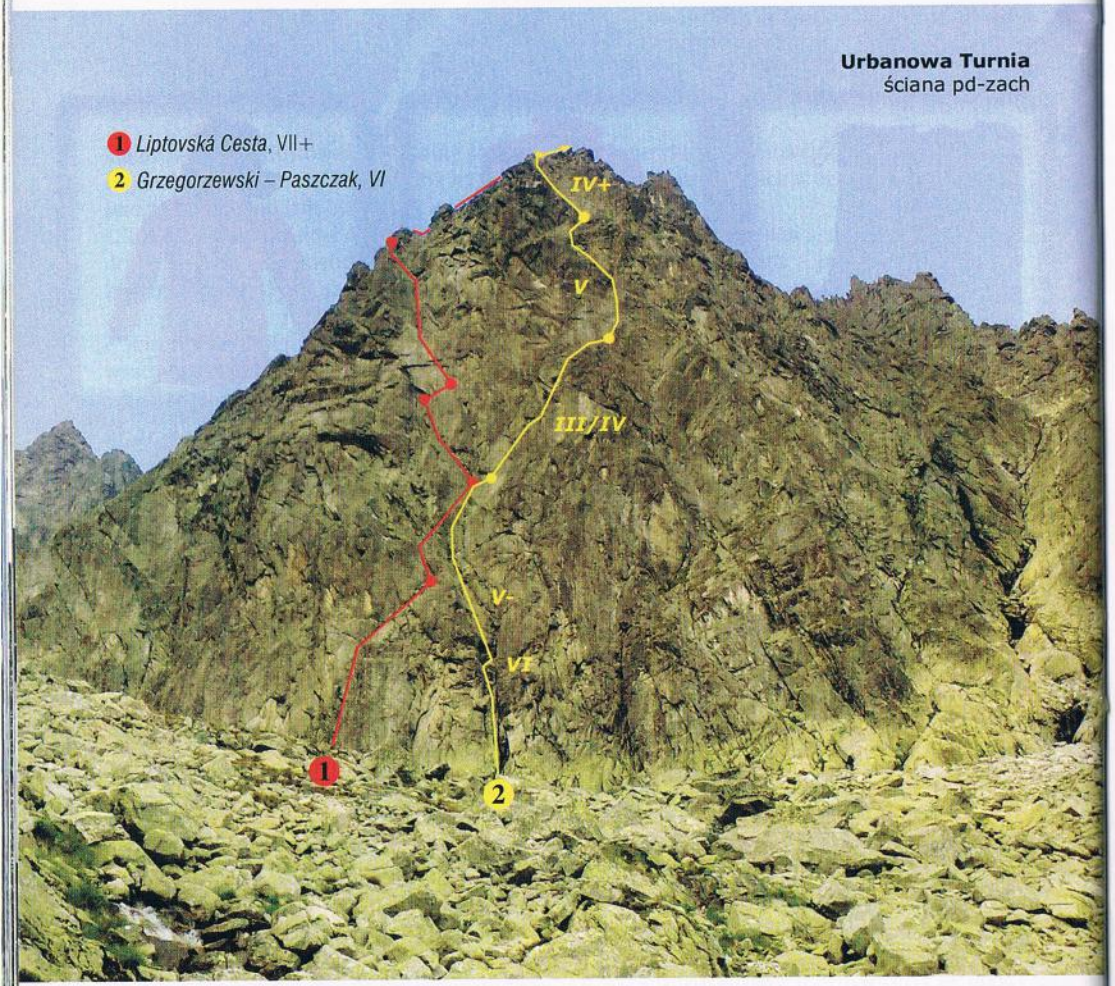

Urbanowe Turnie (Dromedárov chrbát, Urbanove veže) to grupa pięciu szczytów tworzących eksponowaną i ostrą grań dochodzącą do Małego Gerlacha. Pierwsza Turnia opada ok. 200-metrową ścianą do Doliny Batyżowieckiej. Mijają ją każdego ładnego dnia dziesiątki turystów wybierających się na Gerlach. Mijają ją też, w większości obojętnie, taternicy podchodzący pod ściany Gerlacha. Pewnie i ja bym ją zignorował, gdyby nie fakt, że zachodnia ściana Gerlacha była tego dnia zupełnie mokra i w poszukiwaniu celu zastępczego zwróciliśmy z Tadkiem Grzegorzewskim uwagę na zupełnie fajnie wyglądającą ścianę poniżej. Jest ona zwrócona lekko ku południu, a przez to bardziej słoneczna od zachodniej Gerlacha i szybciej schnąca. Z dołu prezentuje się zupełnie godnie, nie widać kruszyzny, a formacje wyglądają zachęcająco.

Zainspirowani takim widokiem wbiliśmy się z Tadkiem w najbardziej ewidentne zacięcie. Okazało się ładne i lite, wcale niełatwe, tak ok. VI/VI+. W lewo powyżej zauważyliśmy jakieś wiszące pętle w płytowym, trudno wyglądającym terenie. Skręciliśmy więc w prawo, w wielką płytową załupę, którą dostaliśmy się na taras. Stamtąd piękny wyciąg doprowadził nas do eksponowanej załupy/zacięcia z szeroką rysą. W pięknej, nietrudnej wspinaczce dostaliśmy się na grań, którą przemieściliśmy się jeszcze dwa–trzy wyciągi. Grań była naprawdę powietrzna i wspaniała, z niezwykłym koniem skalnym w środkowej części. Na koniec wydostaliśmy się w łatwy teren, którym bez problemu przetrawersowaliśmy do Batyżowieckiej Próby. Prawdę mówiąc, nie za bardzo wiedzieliśmy nawet, na czym się wspięliśmy, ale od czego są koledzy. Napotkany na szlaku Rysiek Gajewski uświadomił nas w kwestii nazewnictwa.

Ściana jest mało znana i informacji o niej na lekarstwo. Proszę potraktować więc niniejsze opracowanie jako zaledwie przymiarkę i próbę wymagającą „dalszych badań" (jak mawia nasz teoretyk ścianowy Grzegorz „śrubami-krometryczna" Głazek). Być może ściana jest w znacznej części dziewicza i eksploratorzy będą mieli możliwość wykazania się twórczością. A mogę podpowiedzieć, że na Urbanowej Turni możliwości eksploracyjne tej doliny na pewno się nie kończą...

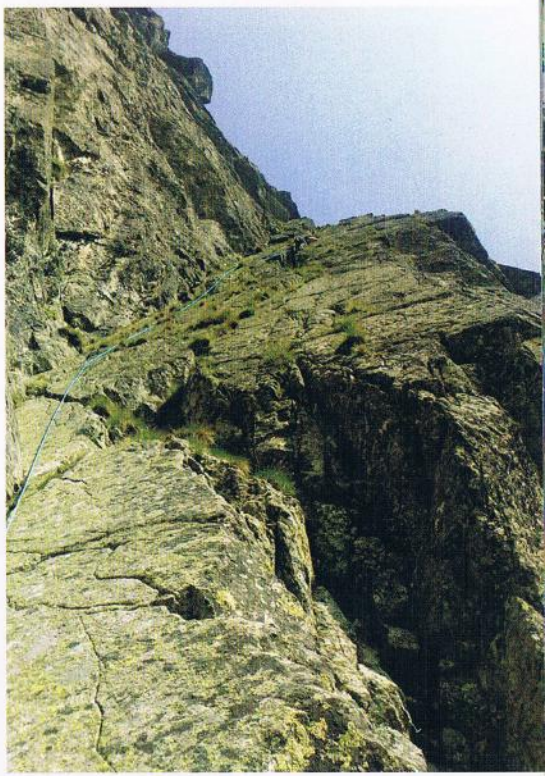

Wielka załupa na drugim wyciągu.

Niewykluczone, że droga, którą przeszliśmy z Tadkiem, jest nową linią – począwszy od startu nie znaleźliśmy żadnych śladów ludzkiej bytności, co było dla nas zaskoczeniem, biorąc pod uwagę, iż wybraliśmy najbardziej ewidentną formację na ścianie. Pokonana przez nas droga, choć nietrudna, wraz z odcinkiem grani stanowiła już całkiem fajną wycieczkę i z czystym sumieniem mogę ją polecić.

Dojście do Doliny Batyżowieckiej jest obecnie najprostsze ze Śląskiego Domu. Można

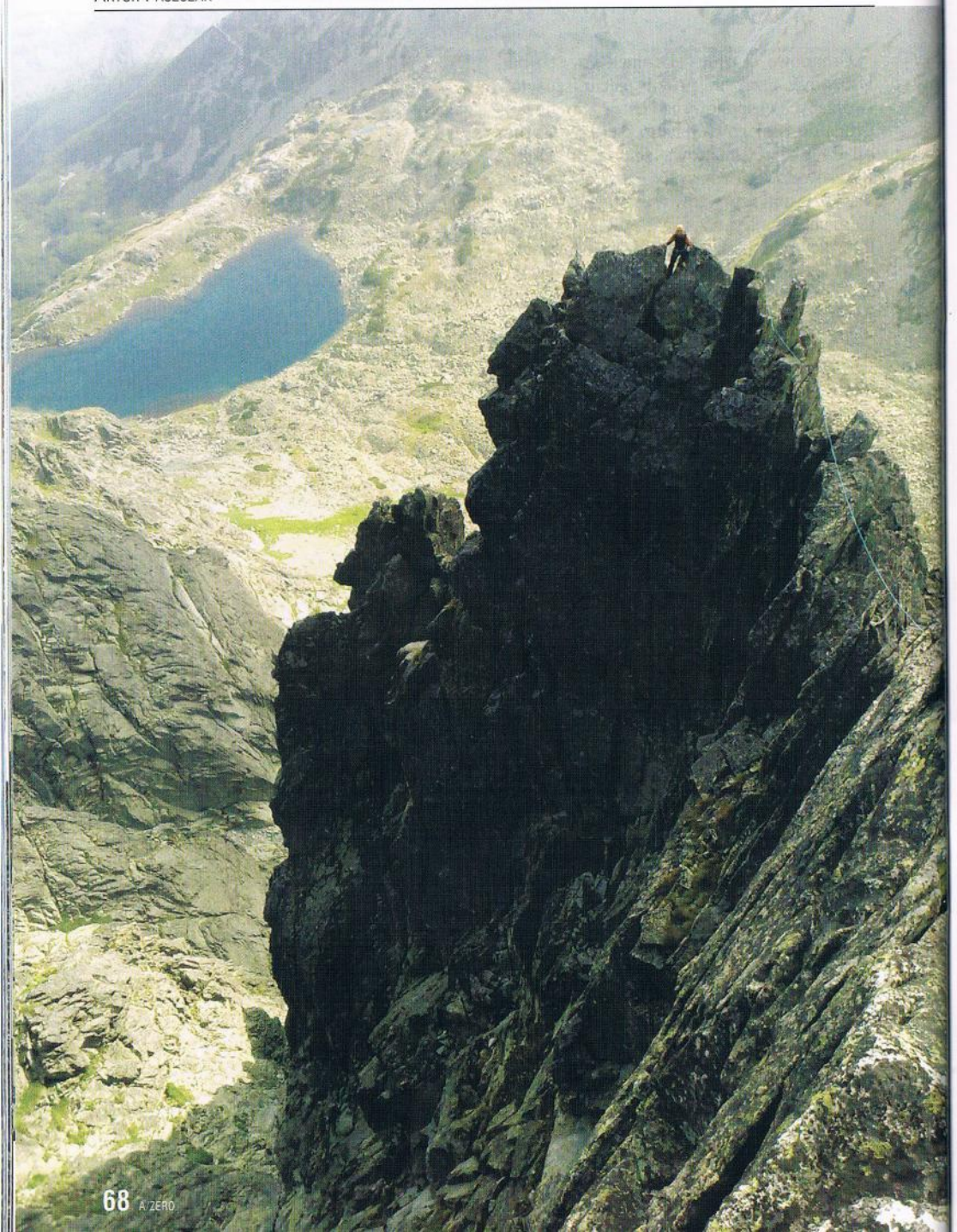

PRVOVÝSTUPY

Dromedárov chrbát
Liptovská cesta
Západná stena
z Batizovskej doliny
1. leto: B. Füzy, J. Poliak, M. Jurkovič
klas. V, A1, 7 h
17. júla 1983

klasycznie: prawd. ok VII+

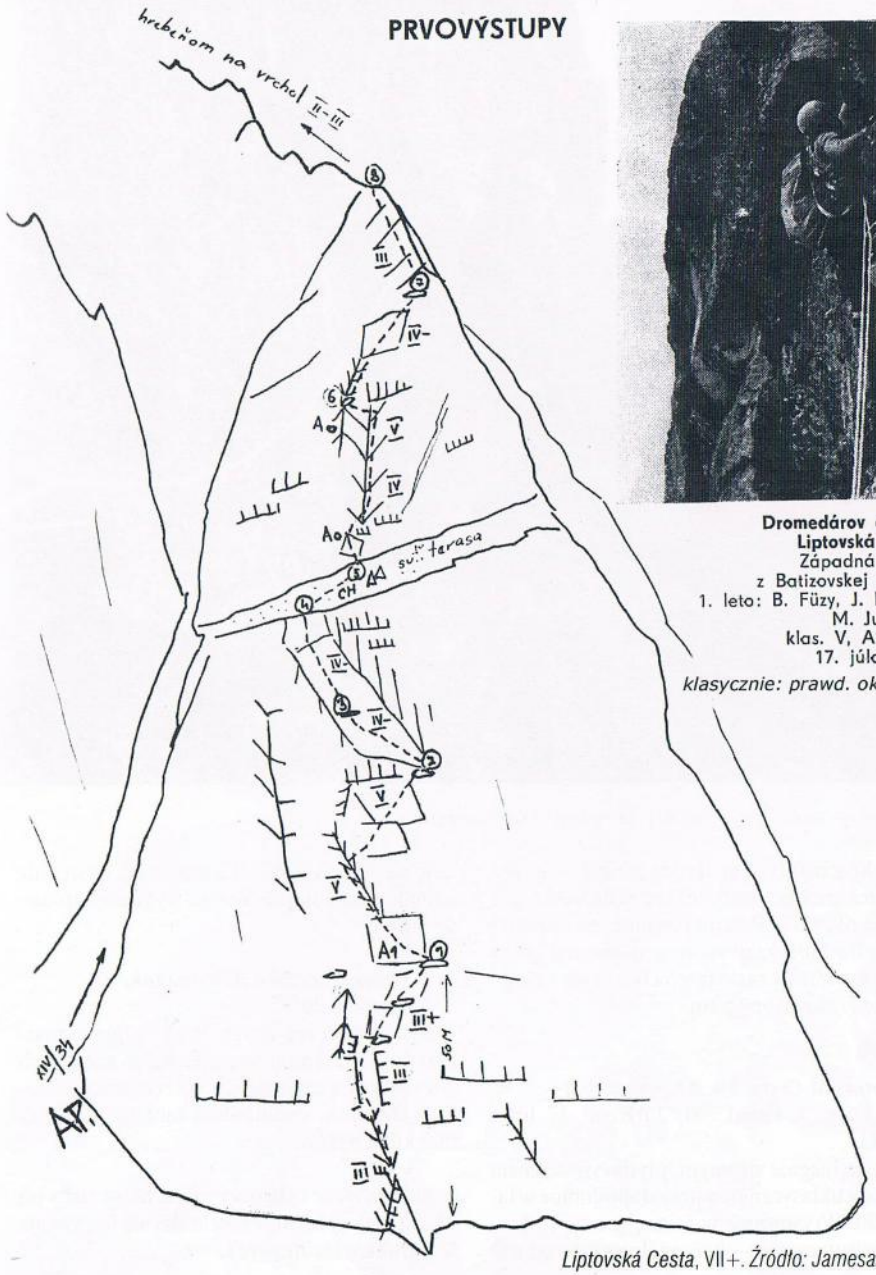

Liptovská Cesta, VII+. *Źródło: Jamesak 4/83.*

Na grani.

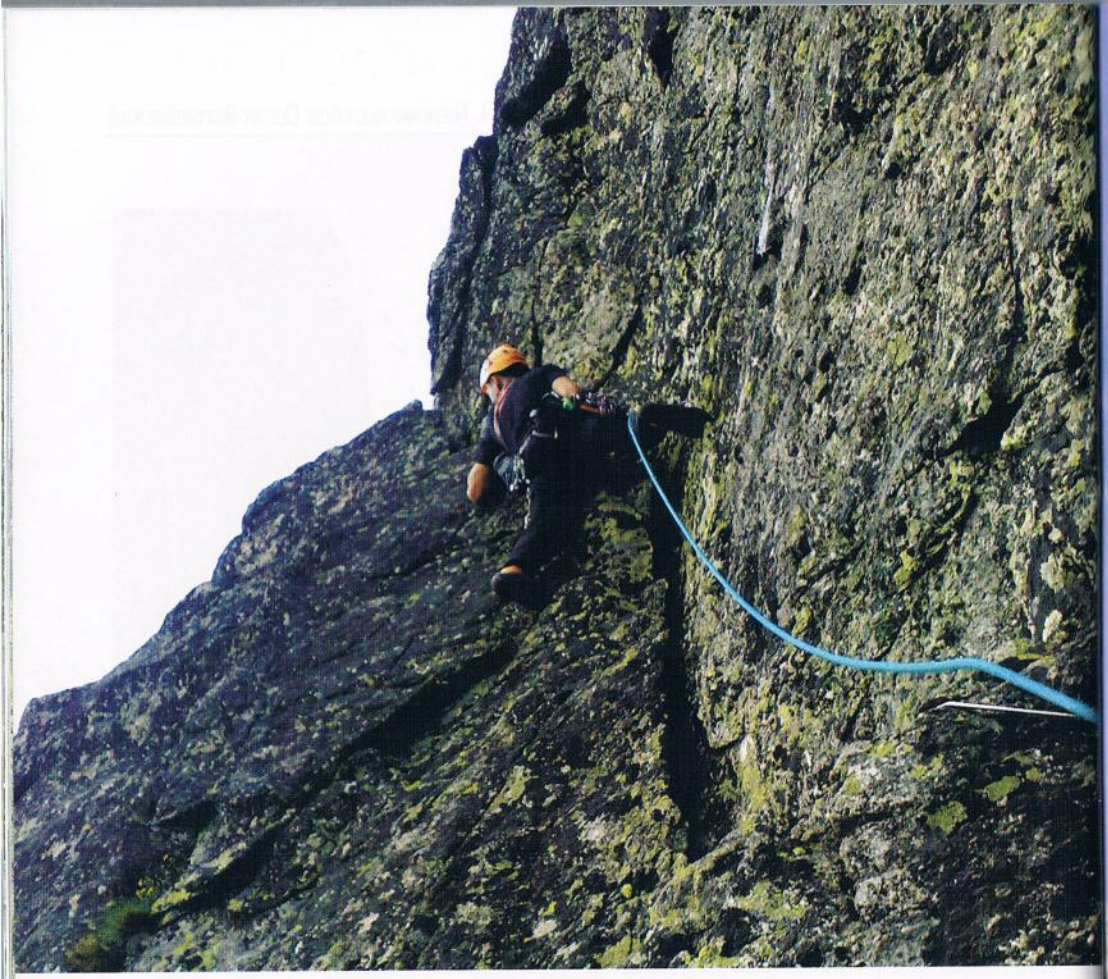

Zacięcie na czwartym wyciągu. Wspina się Tadek Grzegorzewski.

tam dojechać busem (koszt 5 euro – trzeba się telefonicznie umówić), ze schroniska podejście ok. 1,5 h. Powrót również jest możliwy – ostatni kurs zazwyczaj w okolicach godz. 19. W przeciwny razie trzeba liczyć się z około dwugodzinnym zejściem.

Drogi:

***1. Liptovská Cesta, V+ A1**, prawd. **VII+**.*
B. Füzy, J. Poliak, M. Jurkovič, 17 lipca 1983.

Droga biegnie stromym, płytowym terenem i została uklasyczniona prawdopodobnie w latach 90. Wrysowanie w ścianę proszę traktować orientacyjnie – choć ogólny przebieg wydaje się właściwy, w kilku miejscach występują jednak niezgodności. Droga wygląda naprawdę ładnie.

2. T. Grzegorzewski – A. Paszczak, VI
14 sierpnia 2010.

Być może nowa droga, brak śladów po poprzednikach. Fajna wspinaczka w zacięciach z wyśmienitą asekuracją. Sprzęt: komplet kości i friendów, ewentualnie (acz nie koniecznie) kilka haków.

Pokonywane były oczywiście łatwe żleby po obu stronach turni. Przechodzi się je głównie w warunkach zimowych.

Widok ogólny Urbanowych Turni z wejścia do doliny. ☞

Podsumowanie sezonu letniego 2010

Marek Grądzki

Poniżej prezentujemy wykaz najciekawszych naszym zdaniem przejść tatrzańskich w sezonie letnim 2010. Informację o przejściach zebrał Marek Grądzki.

Polska

Kazalnica Mięguszowiecka:

- ***Droga Kiełkowskiego***, VII-/VII,
  Jarek Mazur i Jakub Radziejowski RP
- ***Filar z Obejściem***, VII/VII+,
  Krzysztof Banasik i Jan Sołyga OS
- ***Kant Filara***, VIII-,
  Agnieszka Paluch-Stachowicz i Jakub Stachowicz OS
- ***Kant Filara*** (obejście, nad okapem Filarem), VII-, Dorota Kościańczuk i Tomek Burdzanowski OS
- ***Schody do Nieba***, VI+,
  Dorota Kościańczuk i Tomek Burdzanowski
- ***Warianty Małolata***, VI+,
  Dorota Kościańczuk, Tomek Burdzanowski i Mirek Koprowski; Alek Barszczewski i Adam Latusek

Mnich:

- ***American Beauty***, VIII+,
  Paweł Bździel i Łukasz Mirowski OS;
  Andrzej Sokołowski i Tomasz Zwolak OS
- ***Andromeda***, VII,
  Dorota Kościańczuk i Tomek Burdzanowski OS
- ***Aleja Potępienia***, IX/IX+,
  Konrad Ociepka i Marcin Wszołek OS
- ***Luftwaffe***, VIII+,
  Paweł Bździel i Łukasz Mirowski Flash;
  Maciek Ciesielski i Franek Zakrzewski RP;
  Adam Pustelnik i tow. OS
- ***Fereński***, VII-,
  Krzysztof Banasik i Maciek Kowalczyk OS
- ***Metallica***, IX+,
  Marek Pobran i Mariusz Serda
- ***Międzymiastowa***, VI+,
  Tomasz Zwolak OS free solo
- ***Międzykancie + Rysa Marcisza***, VII,
  Dorota Kościańczuk i Tomek Burdzanowski OS
- ***Rokokowa Kokota***, IX+,
  Jan Kazatel i Piotr Xięski RP;
  Jerzy Gurba i Jacek Jurkowski RP;
  Maciek Ciesielski i Robert Rokowski RP;
  Mariusz Serda i Wawrzyniec Zakrzewski RP;
  Tomek Niburski i Tomek Zwolak RP;
- ***Rysa Hobrzańskiego***, VII-,
  Krzysztof Banasik i Maciek Kowalczyk OS
- ***Saduś***, IX,
  Paweł Bździel i Łukasz Mirowski RP
- ***Superata Młodości***, IX-,
  Aleksandra Przybysz i tow. OS;
  Jarek Mazur i Jakub Radziejowski RP
- ***Wariant R***, IX-,
  Michał Kajca i Wojtek Michalski RP;
  Jan Kazatel i Piotr Xięski RP;
  Jerzy Gurba i Jacek Jurkowski RP;
  Łukasz Kiecoń i Rafał Mikler RP;
  Maciek Ciesielski i Łukasz Mirowski RP
- ***Hobrzański+Kosiński+Sprężyna+Międzymiastowa+Orłowski***, VII-,
  Alek Barszczewski i Adam Latusek – całość w czasie 10h OS

Zadni Mnich:

- ***Mróz-Heinrich***, VI+,
  Dorota Kościańczuk i Tomek Burdzanowski
- ***Wakacje w Tybecie***, VII,
  Dorota Kościańczuk i Tomek Burdzanowski OS
- ***Kompleksy Stolicy+Uznański+Motyka***, VII+/VIII-,
  Krzysztof Banasik i Maciek Kowalczyk

Kopa Nad Wrotami:

- ***Środkowym Kominem Uchmańskiego***, VI,
  Dorota Kościańczuk i Tomek Burdzanowski

Kościelec (zachodnia ściana):

- ***Czas odnaleziony***, VIII-,
  Jacek Czech i Jacek Czech junior AF
- ***Matrix, IX***,
  Maciek Ciesielski i Wawrzyniec Zakrzewski RP
- ***W poszukiwaniu straconego czasu***, VIII+/IX-,
  Jacek Czech i Jacek Czech junior RP

Pańszczycka Turnia:

- ***Lewa Rysa, VII+***,
  Jacek Czech i Jacek Czech junior

Słowacja

Batyżowiecki Szczyt:

- ***Bernadzikiewicz-Kenar***, III,
  Paulina Janczar i Magdalena Nowak
- ***Čiernobiele sokolíky***, VI+,
  Paulina Janczar, Magdalena Nowak i Paweł Strzelecki
- ***Čihulov pilier***, V+,
  Paulina Janczar, Magdalena Nowak i Paweł Strzelecki
- ***Droga Kutty***, IV+,
  Mikołaj Hotówko i Kuba Rembiewski;
  Paulina Janczar i Magdalena Nowak
- ***Przedpełska-Czachor***,
  Mikołaj Hotówko i Kuba Rembiewski

Wołowa Turnia:

- ***Droga Stanisławskiego***, V,
  Rafał Mikler OS free solo
- ***Puškáš***, VI+,
  Robert Nejman i Piotr Wolski

Czarny Szczyt:

- ***Droga Puškáša***, V,
  Rafał Mikler OS free solo

Osterwa (Galeria):

- ***Kororo***, IX-,
  Darek Kałuża i Przemek Wójcik RP;
  Marcin Tasiemski i Paweł Zioło OS;
  Kuba Bachleda i Grzesiek Sowa RP
- ***Posledni Sud***, IX+,
  Darek Kałuża i Przemek Wójcik RP;
  Tomasz Paluch i Paweł Zioło RP

Łomnica (zachodnia ściana):

- ***Stanisławski-Orłowski***, V,
  Magdalena Nowak i Paweł Strzelecki
- ***Hokejka*** VII-,
  Andrzej Kowalik i Robert Nejman OS 4h
- ***Pęknięcie w Płycie*** VI,
  Marek Kaliciński i Robert Nejman

Mały Kieżmarski (północna Ďciana):

- ***Maraton***, VII+,
  Rafał Burczyński i Jakub Radziejowski 2 x AF

Kołowy Szczyt:

- ***Stredom Šádek-Zlatník***,
  Przemek Bucharowski, Paweł Jachymiak i Adam Śmiałkowski
- ***Pająki***, VIII/VIII+,
  Marcin Księżak i Jakub Radziejowski 1xAF

Jastrzębia Turnia :

- ***Płyty Pochylego***, VIII,
  Marcin Księżak i Jakub Radziejowski RP

Wielicka Baszta:

- ***Cez výlom***,
  Przemek Bucharowski, Paweł Jachymiak i Adam Śmiałkowski

Kieżmarski Szczyt (południowa ściana):

- ***Birkenmajer***,
  Janek Miedzik i Maciek Ostrowski
- ***Prawy Puškáš***, V,
  Magdalena Nowak i Paweł Strzelecki
- ***Wielkie Zacięcie*** VI+,
  Paweł Olendzki i Przemysław Sieradzan

Widły:

- ***Grań Wideł***, V,
  Maciek Ostrowski i Tomasz Rojek

Duchy

Tekst: **Jan Gondowicz**

Podchodziliśmy z Ewą w mżawce na Mnichowe Plecy, gdy z pięterka powyżej wychynęła pod parasolem wątła postać, a mgła zafalowała pytaniem:

– Jaakie są waruunki na Galeerii Cubryyńskiej? Bo mooi braacia tam pooszli! I jaa teeż tam póójdę!!

Spojrzeliśmy po sobie. Widział chyba, że podchodzimy z dołu? I co miało się dziać na Galerii w środku lata? Zdarzało mi się słyszeć głupie pytania. Na przykład: „Gdzie ten Klamrat?", „Skąd tu tyle kamieni?" lub „Czy to rajd płonących kabanosów?". Ale w tym głosie brzmiał szczery lęk. Przyspieszyliśmy kroku. Ma się rozumieć – nikogo.

Nigdy nie widziałem w Tatrach ducha – chyba że wtedy... Chociaż nie. Dawno temu wybraliśmy się w lutym z żoną i parą turystów na Halę. Znajomi zostali nad stawem, a my machnęliśmy żeberko Skrajnego Granatu. Wracając, zobaczyliśmy znajomych w zastrugu za wielkim głazem obok jegomościa z czekanem. Przedstawił się nazwiskiem, jak dziś pamiętam, Minerał. Członek klubu w Gliwicach. Po czym nad herbatą popłynęła opowieść.

Otóż gość dwa dni wcześniej przeszedł się z kolegą od Zawratu do Kasprowego. Wracali na kwaterę, trzeba wam wiedzieć, w Ustupie. Szli Antałówką na Poronin drogą jezdną w wykopie. Zszedłszy z pagórka, stanęli oko w oko z góralem, wiodącym przy pysku konia. Szkapa ciągnęła spięte pnie i nie mogła uradzić pod górę. Wozak klął w żywy kamień i prał ją okrutnie łańcuchem. Miastowi chcieli się wtrącić, lecz tubylec łypnął tak brzyćko, że wydrapali się z wykopu na pole. Zaraz potem ich tknęło. Góral zdawał się drzeć, koń dyszeć, łańcuch brzęczeć – tylko nic a nic nie było słychać! Zawrócili – wiadomo, nikogo.

Później rozpytywałem gliwiczan, czy znają Minerała. A skądże.

Gorsze spotkanie zdarzyło się mojej matce. W połowie lat trzydziestych wybrała się na nartach na Skrajny Granat. Koło południa, minąwszy Czarny Staw, zdjęła deski, aby założyć foki. Wtem minął ją szusem sportsmen w modnym stroju. Matce rzucił się w oczy długi, czerwony szalik. Czasy były dżentelmeńskie, więc narciarz zakręcił christianię i spytał, czy nie pomóc. Matce wpadło do głowy spytać, jak tam w Koziej Dolince. „Śniegu moc – padła odpowiedź – uwaga, bo lawiniasto!". Po pół godzinie ujrzała na progu Zmarzłego rząd sylwetek. Po chwili już wiedziała: pogotowie. Zmachani ratownicy ciągnęli tobogan ze spowitą w brezent postacią. Spod brezentu wlókł się po śniegu długi, czerwony szalik...

Bożena, piękna bufetowa z Zámkovskiego, z którą miałem przyjemność zrobić dwie drogi na Lodowym, opowiadała, że kiedyś wieczorem jakiś facet wciąż ją wyprzedzał w zejściu szosą. Ona nie z tych, co się dają wyprzedzać, lecz dogonić go nijak nie mogła. Gdy sobie odpuszczała, zwalniał. Do Smokowca jest kawał drogi. W końcu dognała go na zakręcie. Akurat wylazł księżyc. Spojrzała mu w twarz i poznała zmarłego przed rokiem „tatínka". „No i co?", „Nic, jak przestałam wrzeszczeć, już go nie było".

W najwyższym kotle Kaczej, pod żlebem Żelaznych Wrót, jest dziura pod skośnym głazem. W tej kolebie zamurowała mnie z kumplem zlewa. Z krawędzi głazu walił istny wodospad. W nocy tuż obok ktoś łaził. Po kamieniach – a stromo tam jak diabli – błądziło blade światło. W końcu komuś ze strasznym brzękiem stłukło się coś szklanego. Rano dość długo szperałem w okolicy i znalazłem stłuczoną butelkę. Miała na oko ze dwadzieścia lat.

Inna nielicha pompa dopadła mnie w Lesie Łomnickim nocą. I, między nami mówiąc, targałem do Kieżmarskiej namiot. Jest tam jedno takie miejsce... no, nieważne. W każdym razie poczułem, że mam dość. Rozpiąłem szmatę wprost na ścieżce, bo wszędzie coś rosło. O piątej rozgadały się ptaki. Deszcz szumiał. „Jeszcze kwadrans" – pomyślałem, i wtedy usłyszałem kroki. Wiadomo, gajowy, obchód. Zaraz na mnie wlezie. Ale zamiast tego od serca westchnął. Co za, u czorta, sentymentalny filanc? Szkoda mu mnie budzić? Kroki obeszły namiot. Drugie rozdzierające westchnienie. A potem dźwięk taki, że postawił mi włos na baczność. Duch jak nic, bo kto niby tak mlaszcze? Odsunąłem cicho suwak, wstawiłem oko w szparę. Metr przed budą stał jeleń z rogami szerszymi od ścieżki i żżerał mi ze sznurka skarpetki. Zachowałem cholewki na dowód istnienia duchów.

Fot. Dominik Cysewski.

Długie lato w Podlesicach

czyli wspinaczkowa relacja bez ani jednej cyfry

Tekst i zdjęcia: **Robert Subdysiak**

Przyjęło się w naszym wspaniałym środowisku, że relacja z mniej lub bardziej udanego sezonu jest opisem heroicznych wspinaczkowych przygód, podsumowanych przez wykaz przejść stanowiący trofeum każdego wspinacza. W trakcie lektury wielu tych relacji zauważyłem redukcję opisu do samego wykazu dróg, czy nawet redukcję do absurdu, a zatem samej cyfry bez nazwy drogi. Chociaż doceniam trofea uzbierane przez każdego ze wspinaczy, proponuję jednak inne spojrzenie na ubiegłoroczny sezon na naszej kochanej Jurze. Proponuję spojrzenie podlesickiego autochtona, którym stałem się na chwilę.

Przyjechałem do Podlesic na początku lipca, zakładając kilkudniowy pobyt. Z pięcioosobowej ekipy, która zaparkowała swoje namioty na dzikiej polanie za Karczmą Michałową, po paru dniach zostałem tylko ja. Jak to się jednak zawsze dzieje, ekipa nadal liczyła pięć osób. Przemieszanie tej grupy z kolejną i jeszcze następną przyniosło wynik w postaci nowych znajomości i kilku namiotowych komplikacji. Co jednak najważniejsze – pomimo że poszczególne osoby przybywały na polanę i wracały w różnych terminach, nigdy nie zostałem w Podlesicach sam. A póki było z kim się wspinać i było co jeść, warto było zostać.

Być może wielu z Was wydaje się, że naprawdę ciężko jest hen w górach wysokich, gdzie trudno o tlen, a co dopiero o kawę. Nic bardziej mylnego. Podlesicka rutyna nie rozpieszcza. Co rano musieliśmy się zmagać z dylematem „kawa w Gościńcu vs. kawa z własnego palnika?". W połowie lipca, licząc na to, że gdzie dwóch się bije tam skorzysta ów trzeci, otworzono nową knajpkę przy podlesickiej Piątej Alei. „Kawa i lody" oferowała nie tylko kawę, lecz także lody. Propozycja kusząca, acz rzadko wybierana. Czemu? Otóż gdzieś przecież trzeba umyć i garnki, i zęby, i czasem nawet siebie. Stąd choć wzrok pań pracujących w jakże gościnnym Gościńcu nie rozpieszczał, wybieraliśmy opcję długiego postojowego w tym kempingowym przybytku.

Wydawałoby się, że po tak udanym początku dnia nie zostaje nic innego jak tylko brać sprzęt i napierać. Wolne żarty. Grana była przecież kawa, a po kawie papierosek. Po papierosku zaś część umysłów została zresetowana, a zatem druga kawa i drugi papierosek. I dopiero wtedy pytanie: co dalej? A pytanie to bardzo niewdzięczne. A bo ktoś ma porachunki na Kołoczku. A bo ktoś Kołoczka nie lubi. A bo ktoś słyszał, że na Podzamczu też się wspinają. A ktoś inny chce powitać wiosnę na Okienniku. Spośród wielu pojawiających się opcji padały nawet tak egzotyczne propozycje jak Rzędkowice. Myślałby kto, że to jakaś grupa sponsorowanych zawodników przyjechała na tournée po jurajskich ekstremach. Niestety, portfele ciężko zarabiających amatorów musiały sponsorować te ekstrawagancje.

Po okresie mlekiem i miodem płynącym przyszły jednak i czasy biedy. Gdy wyjechał ostatni mobilny, wszędzie zrobiło się daleko. Nawet na Kołoczek. Gdy portfele zaczęły świecić pustkami, kawę w Gościńcu – 5 zł za filiżankę, zastąpiła kawa Amigos – 5 zł za słoik. I choć po tej kawie żyć się nie chciało, a umierać też lekko nie było, lepsze to niż nic. Z opresji pustej lodówki co i rusz ratował nas drobny przelew od bardziej zamożnych, siatka jedze-

Dni biedy.

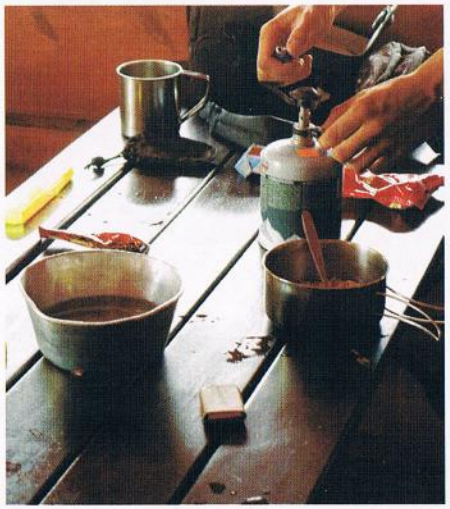

Dni rozpusty.

nia od życzliwych przyjaciół lub plan ziemniaczanej diety co zmyślniejszych kolegów. Piszę ciągle w liczbie mnogiej, choć prawda jest taka, że ten mnogi zbiór był zmienny i nie wszystkim było dane doświadczać tych wydarzeń. Tym lepiej dla tych, którzy trafili tylko na dni kawy w Gościńcu. Gorzej z tymi, którzy towarzyszyli mi głównie przy Amigosie...

W ciągu ponad 40 dni spędzonych w Podlesicach zastanawiałem się wielokrotnie, co ja tam tak naprawdę robię. Za każdym razem jednak, gdy już chciałem wyjeżdżać, potykałem się o śpiącego pod skałą kolegę, który sugerował, że ziemniaczki dobrze zrobią mojemu wspinaniu, albo słyszałem od innego kolegi, że „na Kołoczku jest zajebiście". I choć jedząc po raz kolejny spalone ziemniaki z ogniska czułem, że chcę umrzeć, a wchodząc na Kołoczek po raz setny żałowałem, że nie mam dynamitu, by wysadzić w powietrze to cholerstwo, to jednak coś trzymało mnie w tych Podlesicach. I nie był to brak pieniędzy na bilet powrotny do domu.

Mógłbym napisać, że podczas mojego pobytu padły naprawdę ładne przejścia, choć nie o wszystkich przeczytamy na popularnych serwisach. Ale nie to się tak naprawdę wydarzyło w tym sezonie. I miejmy nadzieję, że w przyszłym cyferki też zejdą na drugi plan.

Jeśli jednak muszę zredukować moją relację do wykazu, to bardzo proszę:

- Ziemniaczki RP – robione w interwałach, jako obwody, solo i w zespole...
- Kawa Amigos OS – wielokrotne onsajty, bo każdy łyk był nowym przeżyciem i żadne patenty nie poprawiały kolejnej próby...
- Piwo Keniger FL – gdyż najpierw musiał wypić kolega, żeby pokazać, że się da
- Kawa zbożowa Anatol solo – bo nikt inny się nie odważył, a styl w tym żaden...
- Soczewica AF – gdyż była grana na wszelkie możliwe sposoby...
- Sos pomidorowy o smaku „do makaronu" A0 – bo nie daliśmy rady i trzeba było poprawić keczupem...

Sporadyczne alpinistyczne działania.

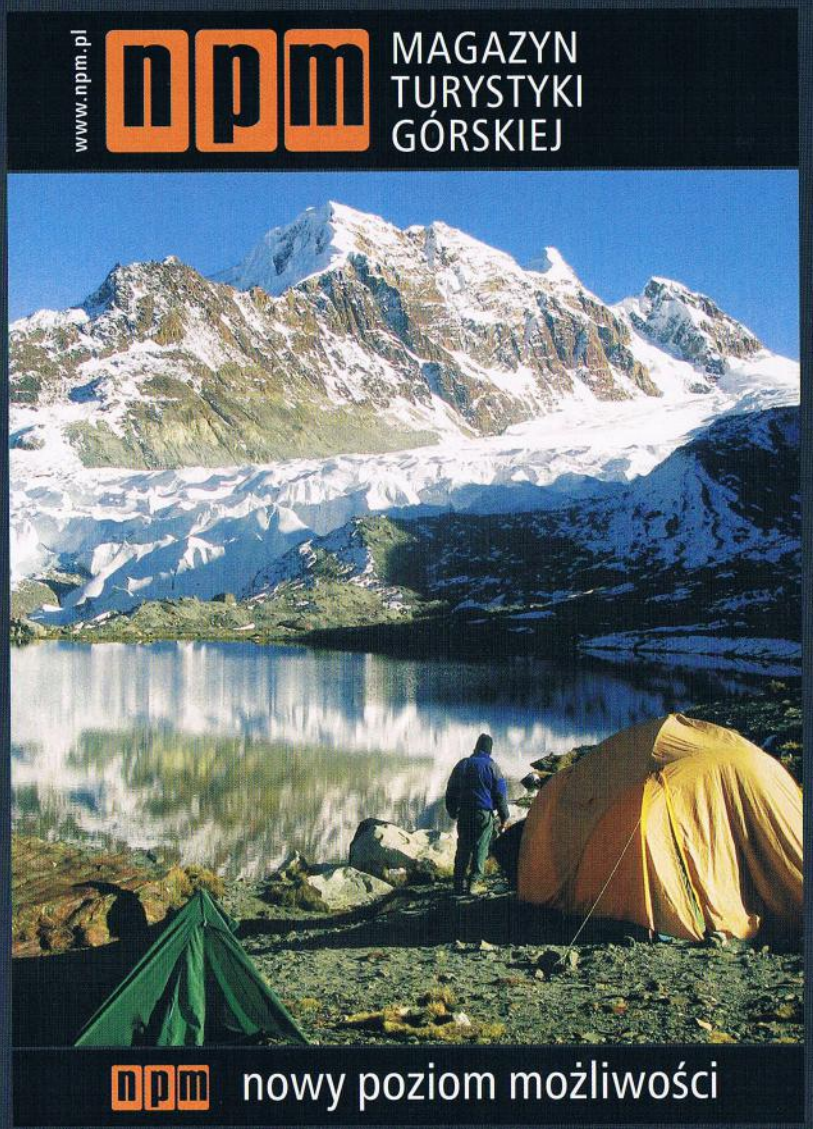

Czym się Pani zajmuje?

Tekst: **Ola Stańczak**
Zdjęcia: **Marta Czajkowska**

– A czym się Pani zajmuje? – zapytał mnie pewnego dnia kolega mojej młodszej siostry. No dobra, oni są wprawdzie ode mnie dziewięć lat młodsi, ale od razu „pani"…

– Zajmuję się wspinaczką sportową. – odpowiedziałam. No tak, właściwie przez ostatni rok nie zajmowałam się zupełnie niczym innym, nawet od studiów zrobiłam sobie przerwę (kolejny raz dziekanka okazała się najtrafniejszym z możliwych wyborów).

– O, to nieźle! To może kiedyś wespniemy się z panią na jakiś szczyt? Może na Kilimandżaro?

– Hm, ja raczej nie wchodzę na takie szczyty.

I co on sobie musiał pomyśleć, jak to usłyszał? „No tak, takie szczyty to raczej tylko dla najlepszych", o Martynie Wojciechowskiej to on słyszał, ale o jakiejś Oli Stańczak to nie...

W rozmowach z ludźmi, którzy ze wspinaniem nie mieli nigdy nic wspólnego, powinnam chyba ustalić jakieś lepsze schematy wypowiedzi. Ludzie zawsze robią wielkie oczy, gdy na najczęściej zadawane mi pytanie: „Na jakie największe wysokości wchodzisz?", odpowiadam, że ostatnio zrobiłam nawet 35 metrów w pionie! Polecam taką odpowiedź, gdy chcemy zakończyć rozmowę jak najszybciej – w głowie rozmówcy raczej nie powstanie kolejne pytanie dotyczące naszych niewiarygodnych wyczynów.

Chociaż wspinaczka większości ludzi dalej kojarzy się z dreptaniem w śniegu gdzieś w Himalajach, to dostępność ścianek i przystosowanie skał do sportowego wspinania na pewno wpływa na zmianę tego przeświadczenia. I tu przypomina mi się wypowiedź znajomego instruktora wspinaczki sportowej: „Gdy zaczynałem kurs skałkowy, myślałem, że robię to po to, aby już niedługo zacząć wspinać się w górach wysokich. Ale to było 10–11 lat temu. Teraz już wcale bym tego nie chciał". Zabawne, ale aktualnie wspina się on na najniższych możliwych formacjach, uprawia jedynie buldering.

W moim przypadku chyba było podobnie. Moja pierwsza lektura wspinaczkowa to w końcu „Komin pokutników", a pierwszy sezon zimowy rozpoczęłam, dłubiąc dziabami w skale w Dolinie za Bramką. Było fajno, choć straszno.

Siurana, sektor Can Piqui Pugui, droga „Tocame-la Sam" 6c+.

Każdą kolejną zimę spędzałam już jednak w rejonach położonych bliżej równika. Wspinanie w krótkim rękawku, a asekuracja w puchówce – idealny warun. Wydawałoby się, że tylko deszcz lub wilgoć potrafią zepsuć od czasu do czasu ten perfekcyjny stan rzeczy. A tu niespodzianka: na pierwszym wyjeździe tego roku (2010), po zimie ładowania na panelu, zasypało nas śniegiem w słonecznej Hiszpanii. Pewnie można się było tego spodziewać, w końcu to dopiero luty, a my w Terradets pod Barceloną… Fantastyczny wyjazd swoją drogą.

Kiedyś sobie obiecałam, że nie pojadę się już więcej wspinać ze sznurkiem na krócej niż trzy tygodnie. Więc gdy ekipa z Wawy kupiła bilety tylko na dwa, postanowiłam trzymać się moich założeń i kupiłam na ty-

Lot z drogi „Mirage" 7c+.

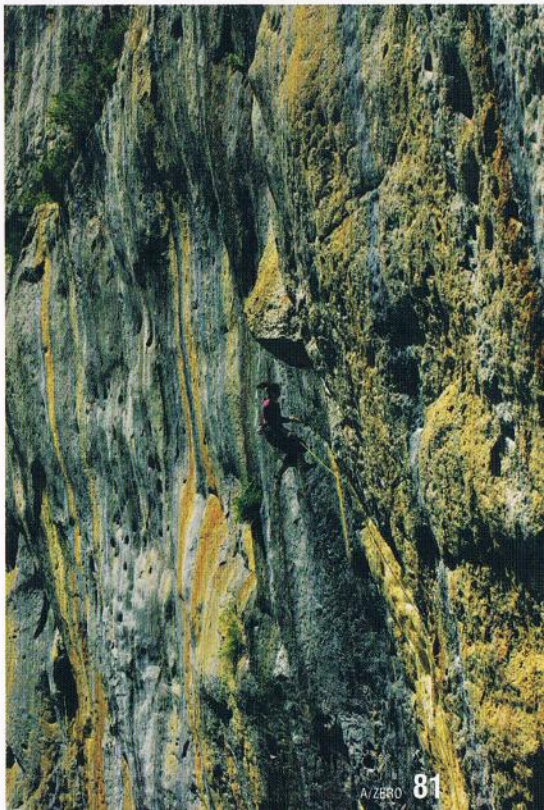

Wspinanie w sektorze La Cascade, droga „Ananda" 7a.

dzień dłużej. Zobaczymy, co będzie! I było świetnie, bo ostatni tydzień spędziłam, wspinając się w dosyć nietypowej ekipie, przemieszczającej się po Katalonii w mieszkalnych vanach i kamperach. Grupę mieliśmy polsko-hiszpańsko-argentyńsko-brazylijsko-meksykańską!

Te trzy tygodnie w Terradets miały ogromny wpływ na to, jak wyglądała reszta tego roku. Po powrocie z tych ferii zimowych, bez dłuższych namysłów, czyli po jakichś czterech dniach w Polsce zakupiłam kolejny bilet do Hiszpanii. Udałam się też do dziekana, który wykazał się ogromnym zrozumieniem dla mojej desperacji i wyraził zgodę na urlop do lutego 2011. Tak zaczął się cały rok jeżdżenia po rejonach wspinaczkowych z przerwami na pracę zarobkową i treningi na panelu w Warszawie.

W pierwszych dniach kwietnia znowu wylądowałam w Katalonii na małym lotnisku w Reus, gdzie podjechał po mnie mój nowy dom pod postacią kampera marki Fiat. Przez następne półtora miesiąca odkrywałam uroki życia w domu na kółkach z krótkimi przerwami na zapoznawanie się z campem u Toniego Arbonesa w Siuranie.

Wspinanie na kamolach w Fontainebleau. ☞

Wspinanie z lokalsami ma dużo zalet. Po pierwsze, znają wszystkie rejony jak własną kieszeń, dzięki czemu nie potrzebujesz przewodnika i nawet jak wszystko wydaje się mokre, to i tak najprawdopodobniej się powspinasz – przecież wystarczy odpalić silnik z rana (co w starym kamperze może czasem okazać się drobnym utrudnieniem) i podjechać do pobliskiego, superprzewieszonego rejonu... Tak samo zresztą zrobiliśmy, gdy w lutym zamokły nam tufy w Terradets. W efekcie wylądowałam w Santa Linya.

Kolejną zaletą wspinania z lokalnymi łojantami jest to, że oni wszystkich znają, więc ty również wszystkich znasz i robi się wesoło. Aż głupio się przyznać, ale czułam się onieśmielona jak dziecko, gdy poznawałam kolejne sławy, ludzi, których wcześniej widywałam tylko na filmach wspinaczkowych. Niby to przecież normalni ludzie, a jednak język się trochę zaczyna plątać przy próbach konwersacji... Szczególnie w innych językach.

Katalonia jest teraz w modzie i pewnie tak zostanie, biorąc pod uwagę fakt, że mają tam tak wiele fenomenalnych rejonów. Gdzie się nie obejrzysz, tam wspinanie najwyższej klasy. Czego tylko dusza zapragnie: chcesz techniczne po mniejszych chwytach? Jedziesz do Siurany. Chcesz przewieszone po tufach? Jedziesz do Terradets, a jak masz ochotę na jakiś inny rodzaj skały dla odpoczynku od wapienia – zawsze możesz wybrać jeden z rejonów zlepieńcowych: Margalef, Montserrat lub Montsant.

Katalonia ma jeszcze jedną zaletę: wcale nie jest stamtąd daleko do Francji! Gdyby zsumować moje tegoroczne wypady do tego kraju, to spędziłam tam ze dwa miesiące. Co więcej, w nadchodzącym roku mam nadzieję znowu tam wylądować, bo czuję zdecydowany niedosyt.

Francja – kraj obfitujący w trudną cyfrę. Przynajmniej takie się odnosi wrażenie po wcześniejszym pobycie w Hiszpanii. Na szczęście poza sytymi drogami mają też całkiem niezłe wina w bardzo przystępnych cenach, więc wszelkie niepowodzenia w skale wpadają w nieco łagodniejsze tonacje przy wieczornej degustacji.

Do Francji jechałam tym razem z Włoch, gdzie wspinałam się w Arco z Martą, Jackiem i grupą juniorów. Pogoda nas tam nie oszczędzała: w ciągu dnia było supergoręco, a wieczorem zlewa. Ale gdy zobaczyłam mur skalny sektorów Massone, to już nawet aura mnie nie mogła zniechęcić. Dosyć nietypowym aspektem

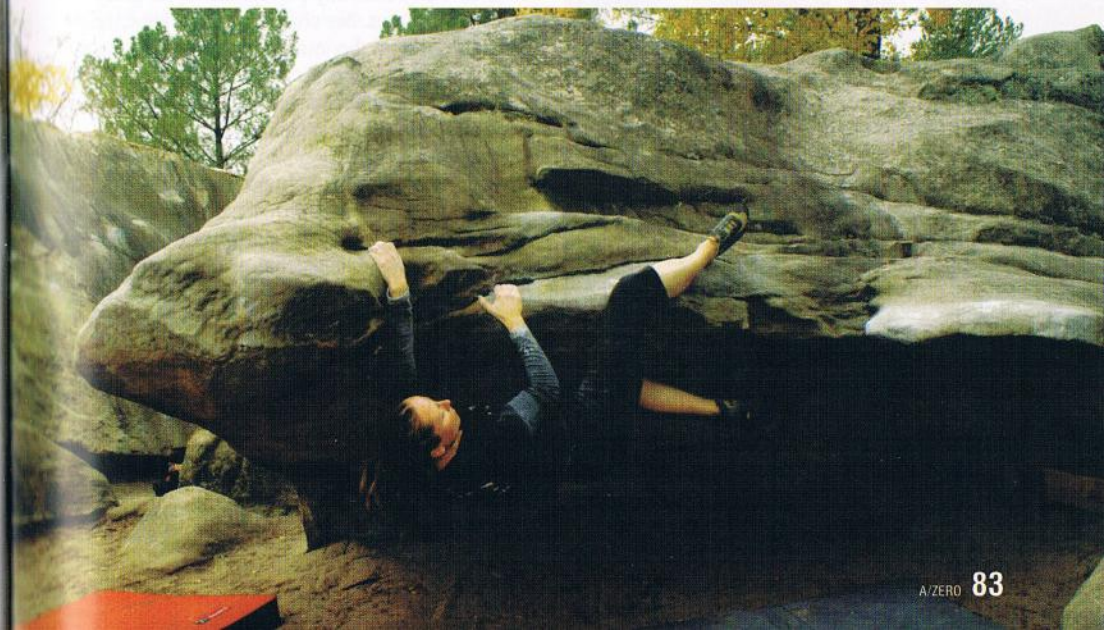

pobytu we Włoszech było spanie na campingach z basenem – co za luksusy! Ciekawa odmiana po zwyczajowym noclegu w krzakach!

Miałam niezłego farta, gdy się dowiedziałam, że kumpel jedzie z Katowic samochodem przez Włochy do Francji. Odebrał mnie z Arco i w nocy tego samego dnia byliśmy już pod słynnymi sektorami Ceuse. Następnego dnia dojechała do mnie Nina, z którą byłam umówiona na najbliższe kilka tygodni wspinania. Ta część wyjazdu okazała się superintensywna, gdyż, jak wszyscy pewnie wiedzą, Nina Gmiter jest maszyną do wspinania i daje radę ładować od świtu do zmierzchu! Musimy to powtórzyć w kolejne wakacje!

Pod koniec pobytu w Ceuse dojechał do mnie kolega z Niemiec i postanowiliśmy czym prędzej uciekać do innego rejonu przed jakąś straszliwą falą wspinaczy, która zalała cały camp i ustawiła się w kolejkach pod drogami. Może wystraszą się godzinnego podejścia pod skały i za rok nie wrócą? Oby.

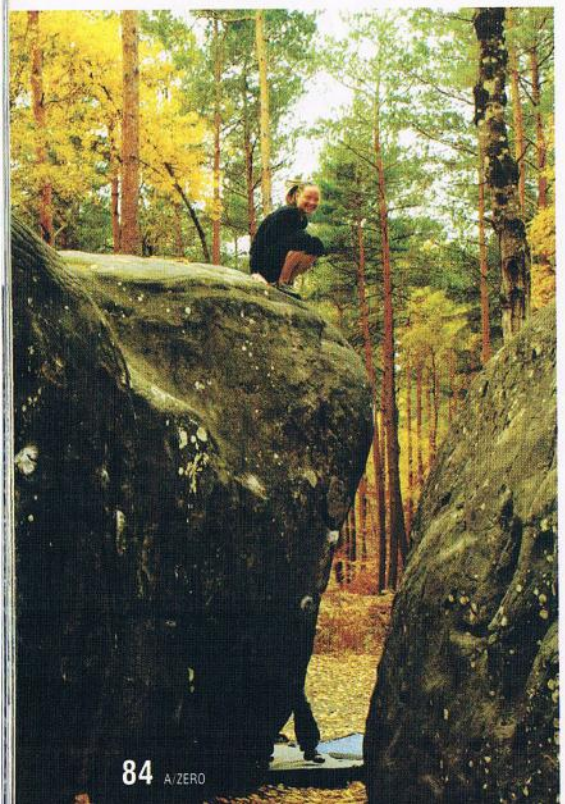

Fontainebleau.

Pojechaliśmy do leżącego nieopodal Briancon. Wiele osób słyszało o znajdującym się tam Ailefroide. Otóż my się tam nie wspinaliśmy. Jest w okolicach wiele fajniejszych miejsc z rewelacyjnymi drogami sportowymi w wapieniu, gnejsie, granicie i zlepieńcu. Trzeba tu mieć jednak samochód i przewodnik, a najlepiej jeszcze popytać lokalsów. Byliśmy tu już rok wcześniej, dlatego z łatwością odnaleźliśmy sektory i miejsca na zaparkowanie auta. Fajnie było znowu budzić się rano i popijać kawkę w słonku na zielonej trawce z widokiem na Alpy. Spędziłam tu jeszcze dwa tygodnie, aż zaczęłam czuć się trochę zmęczona. Postanowiłam, że nadszedł czas wracać do Polski. I znowu miałam niezłego farta, bo na dzień przed planowanym zakupem biletu na autobus – którym podróż do Warszawy miała trwać ponad 30 godzin! – poznałam ekipę z Łodzi, która akurat zabierała się z powrotem i mieli jedno miejsce wolne!

Po powrocie na łono ojczyzny musiałam odpoczywać dosyć szybko, bo szykował się mój pierwszy wyjazd na baldy. W czteroosobowej ekipie z Bartkiem, Olkiem i Niną upchnęliśmy do naszego wehikułu tyle crashpadów, ile się dało zmieścić i pojechaliśmy powspinać się na głazy do Fontainebleau. No cóż, trzeba przyznać, że złapałam bakcyla, bo jeszcze zanim wróciliśmy, zaczęłam się dogadywać na kolejny wyjazd za miesiąc. Tym oto sposobem byłam w Blo dwa razy tej jesieni, a w przerwach na pobyt w Polsce ładowałam na panelu i udało się nawet wyskoczyć na zawody w boulderingu do Bratysławy. Taaak, od liny trzeba było trochę odpocząć.

Fontainebleau dało mi nieźle w dupę. Na pierwszym wyjeździe trzeba było się nauczyć, o co w tym w ogóle chodzi. Na drugim było już zdecydowanie lepiej, ale mimo to nie udało się załoić tłustej cyfry. Bawiłam się jednak świetnie, więc nie pozostaje nic innego jak za rok przyjechać tu ponownie i uporać się z zaległościami w piaskowcu.

Jeśli chodzi o jakość i ilość wspinania, to Francja i Hiszpania zdecydowanie wiodą prym. Jestem pewna, że wspinając się przez całe życie

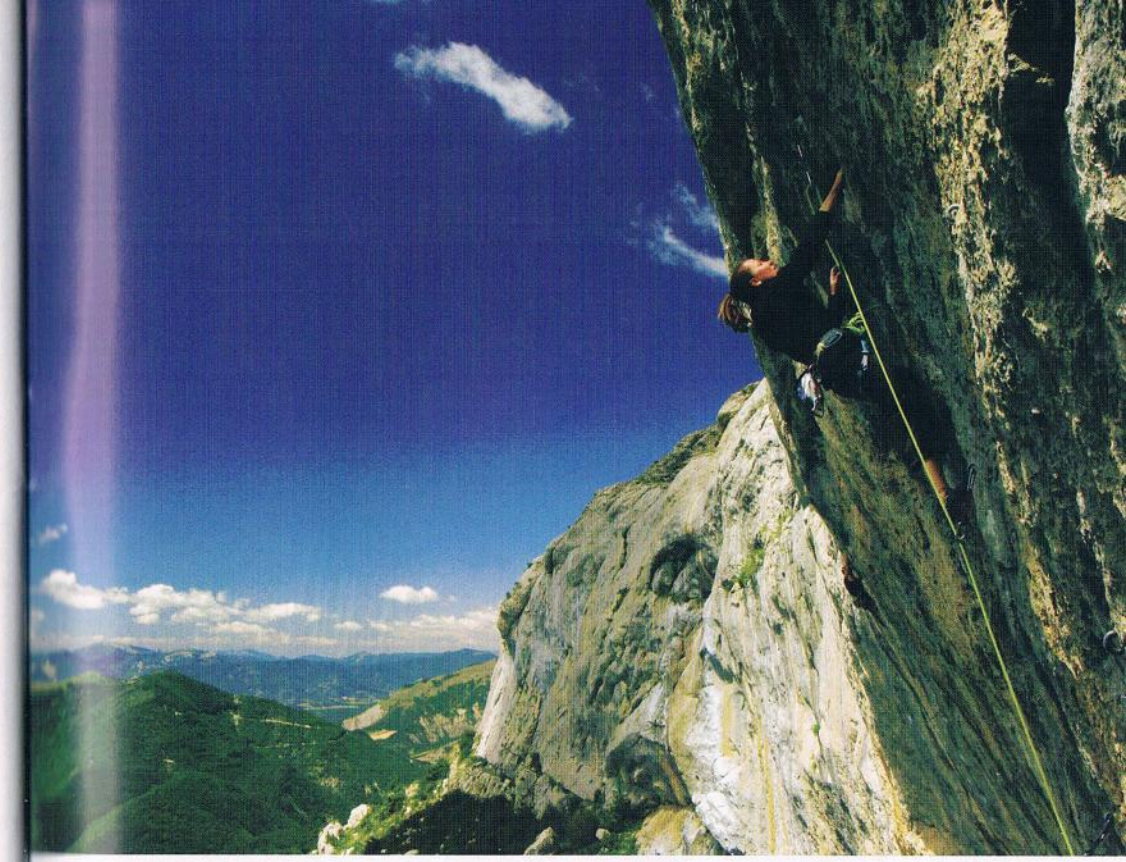

Sektor la Cascade, droga „Super Mickey" 7b.

tylko w Europie, nie dałabym rady przewspinać nawet połowy tego, co jest w tutejszej ofercie. Ba! Nawet wspinając się tylko w Hiszpanii i Francji, pewnie nie urobiłabym połowy interesujących mnie dróg. Mimo to, gdy piszę te słowa, mam już kupione bilety do Maroka! W Afryce wcześniej nigdy nie byłam, a od czasu podróży do Turcji i Syrii nie zaliczyłam żadnego egzotycznego wyjazdu w ogóle. Wylatujemy w połowie stycznia i zostajemy aż na trzy i pół tygodnia – i tym oto wyjazdem zakończy się czas mojego urlopu dziekańskiego na AWF-ie, więc trzeba będzie wracać na studia i zawalczyć o dopisek „mgr" przed nazwiskiem. Może tym razem się uda!

Zgodnie z planem spędziłam w tym roku w sumie jakieś pięć miesięcy na wyjazdach wspinaczkowych. Hiszpania zaskoczyła mnie największą amplitudą temperatur: w Terradets w lutym zamarzało nam mleko w kartonach, w Siuranie natomiast w kwietniu udało mi się prześlicznie opalić „na homara". Francja okazała się wspinaczkowo bardziej wymagająca i trzeba było się mocnej spiąć, no i oczywiście warto było. Mnóstwo przewspinanych dróg z liną w kilku rodzajach skały i moje pierwsze wyjazdy na baldy. Teraz Maroko, a w głowie mam już pomysły na kolejne tripy. Dopóki wyjazdy dają mi motywację do działania, to uważam, że warto realizować te plany. Często trzeba dokonywać trudnych wyborów, bo niestety wszystkiego naraz nie da się zrobić. Ale konieczność rezygnacji z innych pragnień to integralna część procesu motywacji, czyż nie? Z drugiej strony, być może kiedyś już nie będę miała ochoty lub możliwości tak dużo jeździć i właśnie na taki moment warto sobie jednak wymyślić jakiś plan B. Grunt to mieć z tego wszystkiego po prostu „fun".

Studium długiego biegania po górach czyli

Tekst: **Piotr Kłosowicz**

Tor des Geants

Rozliczne zalety biegania i przyjemności (perwersyjne czasem) z nim związane przedstawił dość obszernie Paszczu w poprzednim numerze „A/Zero", w związku z czym ja ograniczę się tylko do pewnego aspektu sportu, który, w niezbyt dużym uproszczeniu, polega na naprzemiennym przestawianiu to lewej, to prawej nogi w obranym przez nas kierunku.

Nieco teorii

Żeby przybliżyć dyscypliny biegowe publiczności wspinaczkowej, pozwolę sobie na zestawienie aktywności biegowych ze wspinaczkowymi. A więc: sprinty i średnie – buldering; dycha, półmaraton – wspinaczka skałkowa; maraton i ultra jednodniowe – alpinizm; ultra powyżej stówy – himalaizm. Popularność poszczególnych rozkłada się procentowo w obu dyscyplinach podobnie.

Z racji braku talentu z jednej strony a wewnętrznej potrzeby wykazania się z drugiej, zacząłem biegać dystanse najdłuższe. Przyznajmy się zresztą sami przed sobą – jak wielu z nas przed kursem wspinaczkowym wyobrażało już sobie siebie poskramiających himalajskie giganty. Rzeczywistość w większości zweryfikowała nasze marzenia przeszkodami natury obiektywnej. Nie zabłysnęliśmy jako gwiazdy gór wysokich. W bieganiu jest prościej – wystarczy odpowiednia doza uporu i kolejne kilometry pękają pod naszymi butami aż wreszcie znajdujemy się w strefie ultra – powyżej dystansu maratońskiego. Tu należy się dobrze rozejrzeć, bo nie bardzo wiadomo, co robić dalej. Można sobie utrudnić, biegając w trudniejszym terenie, można dystans wydłużać do granic wyobraźni lub wolnego czasu, można też starać się przebiec jak najwięcej w zadanym czasie, np. w ciągu doby. Należy przy tym zaznaczyć, że chwała z pokonanej trasy/dystansu ultra jest odwrotnie proporcjonalna do obiektywnej przyjemności z tym związanej. Powyżej pewnego dystansu ciągłość „odczuwania endorfinów" zostaje przerwana, a więc przyjemność pojawia się raczej po niż w trakcie. Z drugiej strony „It doesn't have to be fun to be fun". Żeby uprzyjemnić sobie cierpienie, zaczynamy więc biegać w atrakcyjnym dla nas terenie czyli po górach. No, nie tak od razu. Najpierw podczas codziennych wybiegań w pobliskim lasku wizualizujemy sobie siebie pędzących jak kozica wśród alpejskich turni. Podczas pierwszej wizyty w prawdziwych górach okazuje się, że jak sapaliśmy, tak sapiemy, więc przyjemności więcej nie ma, ale za to widoki ładne. Zostaliśmy biegaczami górskimi. Z tego niestety wynikają takie smutne obowiązki, jak bieganie po górach (podobnie jak będąc wspinaczem, chcąc nie chcąc, powinniśmy się czasem na coś wspiąć). Szukamy więc godnego nas celu.

Nieco praktyki

Powiem szczerze – przez dłuższy czas na myśl o ewentualnym starcie w Tor des Geants – 330-kilometrowym biegu dookoła Doliny Aosty włączała mi się w mózgu kontrolka „niemamowy". 24 tysiące metrów przewyższeń! Z czasem jednak liczby w głowie dały się oswoić, poza tym nie miałem nic do roboty po powrocie z wyprawy do Afganistanu. Resztki oszczędności postanowiłem roztrwonić, wybierając się w Alpy.

Przed wyjazdem na wyprawę zacząłem biegać z pracy do domu, dzięki czemu dość łatwo osiągałem kilometraż około 100 km w tygodniu. I tak przez jakieś dwa miesiące. Dwa, trzy razy w tygodniu katowałem na Moczydle górkę o szalonym przewyższeniu 20 m. Trening górski w warunkach mazowieckich. Bez rewelacji, ale coś tam nabiegałem.

Potem były jednak dwa miesiące: 1) nicnierobienia, 2) jazdy samochodem, 3) karawany z końmi, 4) siedzenia w bazie, 5) kilka dni wspinania, 6) tego samego co wcześniej, tylko w odwrotnej kolejności. W efekcie forma biegowa siadła, chociaż podobno VO_2max się podniosło dzięki aklimatyzacji. Nie odczułem.

W Alpy przyjechaliśmy z Elą Kamińską na początku września z zamiarem uprawiania wspinaczki. Wybraliśmy się na grań „Innominaty Integrale". Już na pierwszym wyciągu zaliczyłem idiotyczny długi lot w łatwym terenie, przez co trochę się potłukłem. Nie czułem się jakoś bardzo źle, dowspinaliśmy się zgodnie z planem do schronu Eccles, ale byliśmy za wolni, pogoda się załamała i po dniu kiblowania musieliśmy się wycofać. Drogi nie skończyliśmy, a wycof przez zasypany lodowiec Brouillard też był przygodą samą w sobie. Zeszliśmy cali i żywi, więc wyjście mimo wszystko udane.

Problem pojawił się kilka dni później. Dzięki

To jeszcze nie Alpy, to pod mostem Siekierkowskim. Fot. Kasia Biernacka i Marcin Gala/www.speleo.pl.

przywiezionym z Afganu mikropaskudztwom rany zaczęły ropieć, wdał się stan zapalny i na dzień przed startem biegu nie byłem w stanie zginać ręki w koszmarnie opuchniętym łokciu. Na zaropiałym kolanie nie miałem skóry. Do tego gorączka i inne podobne atrakcje. Pani w aptece wytrzeszczyła oczy, zaordynowała odpoczynek i antybiotyki.

Następnego dnia o 10 rano łykałem już trzecią pigułę i generalnie było nieco lepiej – ręka się ruszała. Na placu przed kościołem w Courmayeur odbywała się właśnie ceremonia startowa: kilkuset nakręconych zawodników, kibice, śmigłowiec, a z głośników rock'n'roll na maksa. Trzy, dwa, jeden, start. Do Dolonne i pod górę na pierwszą przełęcz. Tłum goni, ściga się na podejściu. Ja też. Mijam kolegę Leszka i pędzę do góry. A tu nagle kicha – jakoś tak mocy mało. Mijają mnie zawodnicy, których wyprzedzałem, mija mnie Leszek. To antybiotyk zaczął działać. Organizm walczy, czyli gorączka. I tak jest raczej ciepło – południe. No i się przegrzewam. Chcę przyspieszyć, nogi jeszcze idą, a ja nie mogę. Uff, wreszcie przełęcz. Wszyscy lecą w dół na złamanie karku, bo stok łatwy, trawiasty. Nie ze mną te numery – powoli truchtam w dół – mam jeszcze parę dni, żeby sobie skatować nogi.

Nieco cierpienia

Pierwszy punkt z żarciem – La Thuile. Sery, bakalie, wędliny, chleb, owoce, kibice (nie do jedzenia) itp. Dla desperatów izotoniki i batony. Alpejski standard, czyli full wypas. Nie ma czasu się objadać, bo zaraz kolejna przełęcz. 1400 m do góry. Słońce grzeje, ale na trasie jeszcze ciasno i jakoś tak wstyd zwalniać. Zaraz umrę. I ci turyści. Jak oni szybko chodzą. Podłączam się do grupki zdychających facetów, którzy trzymają się na plecach jednej Francuzce. Męska ambicja nie pozwoli nam odpaść. Po drodze schronisko i znów żarcie – o tu można minutę zarobić, bo lokalsi lubią biesiadować na punktach. Kawałek po płaskim, a ja nie jestem w stanie biec – zaraz się załamię, przecież to dopiero pierwszy dzień. Dobra, jest przełęcz. Teraz 800 m stromego i technicznego zbiegu po kamieniach. To mi się podoba – janosikowy teren – trzeba trochę potańczyć, żeby się szybko przemieszczać. O, jest Leszek. Czyli albo ja odrabiam, albo on słabnie. Schronisko, znowu punkt odżywczy i znowu 800 m, tym razem do góry. Zrobiło się trochę chłodniej, chyba już zaliczyłem przełamanie i orga-

nizm zrozumiał, że tak szybko ta wycieczka się nie skończy, bo znowu trochę lepiej się czuję. Przełęcz Col de la Crosatie na 2838 m i zbieg do Planaval na 1554 m. Włoch przede mną cały czas biegnie, a ja szybko idę, robiąc „siedmiomilowe kroki" i jakoś się go trzymam. Na stromym wszyscy już dość mocno zbiegamy i wkrótce docieramy do Planaval. Kilka kilometrów doliną (czyli po płaskim!) do Valgrisenche (1664 m, 49,7 km). Truchtam i w międzyczasie robi się ciemno. W Valgrisenche jest pierwsza baza – do bazy dowożone są torby z rzeczami zawodników, można tam coś zjeść, przespać się, skorzystać z pomocy sanitariuszy, a po wyjściu torba jedzie do następnej bazy. Podchodzę jeszcze półtorej godziny i zaczyna padać. Chrzanię to. Ciemno i mokro – idę spać. Bunkruję się w ruinie jakiejś chaty, zawijam w enercetę i zasypiam na cztery godziny.

A miało być tak pięknie. W końcu do pierwszej bazy było tak blisko. Kilka godzin. Myślałem – pierwszej nocy nie ma co spać, drugiej może ze dwie godziny. Realne zdawało się zmieścić się w czterech dobach – wychodzi niecałe 90 km na dobę. Plan był dobry, nie przewidział tylko dwóch czynników: subiektywnego – czyli że ja się posypię jeszcze przed startem i obiektywnego – rany, ta trasa to morderstwo!

Po kilkunastu godzinach miałem już więc jasność – ze ścigania nici, trzeba będzie iść na ukończenie. Po obudzeniu zacząłem podchodzić na Col Fenetre (2840 m). Jeszcze trochę wiało i padało, ale nie było źle. Zbieg z przełęczy był strasznie stromy a w dolinie Rheme (1722 m) zawitaliśmy tylko po to, żeby z niej wyjść. Następna przełęcz Col Entrelor miała już powyżej 3000 m i w międzyczasie podczas podejścia zrobiło się jasno. Współczułem facetowi, który właśnie kończył tam swoją nocną zmianę na punkcie kontrolnym – my już przebrani w krótkie spodenki i koszulki, bo przecież zaraz zrobi się ciepło, a on jeszcze cały siny i pozapinany w puchówkę.

Zbieg do Eaux Rousses (1658 m) jest niezbyt stromy, słoneczko świeci łagodnie, piękne widoki na masyw Gran Paradiso – sielana. Szybka szama i do góry na najwyższy punkt na trasie – Col Loson (3299 m). Biegania tu oczywiście nie ma, ale idzie mi się dosyć szybko. Na górze nie ma się co rozglądać, bo zaczyna się dłuuugi zbieg do drugiej bazy w Cogne. Tu zaczął wychodzić brak treningów w górach. Zbiegać się dało, ale krótko, bo szybko siadły uda. No i trzeba było dość pokracznie schodzić. Znowu lekka załamka – i co, tak już będzie do końca? Doczłapałem jakoś do bazy, wykąpałem się, zmieniłem buty, najadłem i poszedłem na masaż. Tak jakby pomogło. Nie zmienia to faktu, że minęło półtorej doby, a ja urobiłem tylko 106 km.

Nieco przyjemności

Zbliżała się druga noc i jednocześnie najłatwiejszy odcinek – na 44 km tylko jedna przełęcz! Długie podejście wyprowadzało na Col Fenetre (2827 m). Jeszcze w dolinie truchtając z sympatycznym Belgiem o polskim nazwisku, spotykam dwóch braci z Katalonii. Dostali właśnie SMS-a, że Corinne Favre (mocarna baba) padła i jest za nami. Miała się ścigać o zwycięstwo wśród kobiet, ale padła i poszła spać. Teraz będzie nadrabiać. Czyli nie tylko ja idę poniżej oczekiwań – lepsi zawodnicy też są tylko ludźmi i miewają problemy.

W międzyczasie zrobiło się masakrycznie zimno i mogłem tylko błogosławić fakt, że mam ze sobą loftowego waciaka. Jakoś nie chciało się wychodzić z ciepłego schroniska. Za przełęczą okazało się, że moje zdolności zbiegowe znacząco się nie poprawiły – a czekało 30 km w dół... Szybko włączyłem więc proces wyszukiwania jakiejś ruiny, gdzie można się przespać. Zacząłem już trochę odpływać intelektualnie i włączyło mi się snucie, świecenie latarką po okolicy, jakby miało to w czymś pomóc. Tu pusty dom, ale zamknięty, tu buda dla psa, ale z kłódką, tu dom, ale bez dachu, tu młyn, ale bez podłogi. Czas leci, ja zaglądam do każdej ruiny i ledwo się przemieszczam. Wreszcie, gdy już prawie dałem za wygraną, jest coś, co się nada. No to kima, chociaż zimno – trzy godziny. Minęło. Ok, jeszcze godzina. Dużo telepu, ale w sumie wypoczęłam. Zaczynam zbiegać i... nic nie boli. Stopy wciąż ok, uda jakoś ozdrowiały – bajka. Lekki zbieg trawersuje zbocze doliny. Trochę do góry, więcej w dół, sporo zakrętów. Cały czas biegnę a kilometry lecą – nareszcie! Surowy górski krajobraz znacznie złagodniał, w końcu zbliżam się do najniższego punktu na trasie – bazy w Donnas (330 m, 150 km).

Znowu szama i nieco higieny. Zeszliśmy nisko, to teraz trzeba podchodzić – upał niemiłosierny, żołądek pełny, dobrze, że wyżej jest las i da trochę cienia. A na razie podjadam winogrona

Druga przełęcz, zaraz umrę (Rifugio Defeyes, 2500 m). Fot. A. Lanzeni.

z mijanych winnic. Jedna górka i znów w dolinę – podjadam śliwki. Chciałbym gruszkę, ale rosną za daleko. A tempo jakoś rośnie. Spotykam znajomych Katalończyków i dalej lecę z nimi. Pod górę czuję, że mam jeszcze rezerwę, choć idziemy mocno. Z Col Carisey widoki bajeczne – z jednej strony potężne góry, widać już masyw Monte Rosa, z drugiej płaska jak stół dolina. Na zbiegach trochę zostaję z tyłu, ale jakoś nadrabiam. Umawiamy się, że nadchodzącą trzecią noc przelecimy razem – mam nadzieję, że wreszcie dzięki temu tyle nie prześpię. Kiedy robi się ciemno, zaczynam jednak rozumieć, jak to możliwe, że Katalończycy chociaż prawie nie śpią i lecą szybciej niż ja, wcale nie wyprzedzają mnie o wiele godzin. Niby się nie zatrzymują, niby cały czas się ruszają, ale jakoś nie ma spręża, no i te niekończące się postoje i rozmowy z obsługą na każdym punkcie – trzeba przejąć inicjatywę – podciągam ich trochę, ale wreszcie przy którejś posiadówie mówię „pa, pa" i zaczynam zbiegać sam. Chłopaki doganiają mnie na następnym punkcie w Niel (1550 m), gdzie decydujemy się przespać – dostajemy nawet łóżka z pościelą! Dwie godziny i nas budzą – więcej nie wolno – dłużej możemy się przespać w następnej bazie. Szybko podchodzę na przełęcz Lazouney (2400 m) i zbiegam do Gressoney (1405 m), gdzie znajduje się następna baza. Po drodze jeszcze wizyta na punkcie w małym domku pasterskim – wybór wędlin, serów i wina robi wrażenie, naprawdę chciałoby się posiedzieć, ale zaczyna robić się jasno i żal marnować dzień.

W bazie znów prysznic, zmiana ciuchów i czas iść dalej. Wyjście na przełęcz Col Pinter (2777 m) jakoś mi nie idzie. Tej nocy mniej spałem, ale to nie to – po prostu nawarstwia się zmęczenie. Nikogo przede mną, nikogo za mną – stawka już mocno się rozrzedziła. Lezę powoli (albo mi się wydaje), zbiegać już mi się nie chce, czuję, że mam stopy rozczłapane jak naleśniki. A but twardy. Zejście do Saint-Jacques (1689 m) długie. Nawet na płaskim trawersie nie bardzo podbiegam. Znowu włączył mi się tryb, w którym znacznie wolę podchodzić, niż zbiegać. Na Col du Nannaz (2773 m) wychodzę dość szybko i wciąż samotnie. Cały dzień pogoda była super, teraz robi się chłodno, zbierają się chmury. Podobno jutro będzie załamanie. Na zbiegu daję dogonić się sympatycznemu Francuzowi i podklejam się pod niego – jakoś łatwiej zbiegać, kiedy naocznie widać, że się da. Do bazy w Cretaz (1520 m) docieramy tuż przed zmrokiem, więc nie ma co się śpieszyć z jedzeniem itp. – i tak warto skorzystać i przespać się w ciepłym. Miałem spać cztery godziny, ale jak się obudziłem, to powiedzieli, że pada i usnąłem dalej. Na kolejne cztery godziny. Może trochę głupio w kontekście sportowym tyle spać, gdy czas leci, ale ja i tak mentalnie przestawiłem się na turystykę i ukończenie – ścigać się już nie było o co.

Nieco satysfakcji

Po przespanych ośmiu godzinach i skończonej kuracji antybiotykowej ruszam finiszować. Zostało ok. 100 km, więc snu już nie planuję. I wreszcie jest forma! Kurczę, to właśnie tak miało być od początku. Wstaje świt, a ja to szybko podchodzę, to biegnę mijając kolejnych kuśtykających zawodników. Stopy całe, mięśnie nie bolą, a odcinek piękny – kiedy już wybiegnie się wysoko za zalewem Lac de Cignana (2157 m), trasa wije się widowiskowymi trawersami przez kolejne przełęcze ok. 2700 m. Pogoda super, noga podaje, endorfin jeszcze trochę zostało – sama przyjemność biegania po górach. Długi zbieg sprowadza do Close (1456 m), jeszcze tylko przełęcz Col Brison (2480 m) i będzie ostatnia baza w Rey (1393 m). Podejście idzie trochę wolniej, bo słońce pali niemiłosiernie, ale zbieg już lepiej, bliskość bazy dodaje motywacji. Przede mną już tylko ostatni odcinek, 48 km.

W bazie ze zdziwieniem wpadam na Katalończyków – spali krótko, a jednak udało się ich dogonić. Szybko coś jem, przebieram się i wychodzę. Moc w sumie jest i jakoś tak się zamyślam szybko podchodząc, że robię ponad 100 m przewyższenia nie tym szlakiem... Grrr... Nie mam pojęcia jak przegapiłem skręt pooznaczany sprayem na ziemi i licznymi taśmami naokoło. Stracone dwadzieścia minut jakoś mnie nie martwi, tylko zmarnowanego wysiłku trochę żal. Podchodzę na Col Champillon (2709 m). Zmierzcha i pogoda znowu zaczyna wyglądać niezbyt ciekawie – czarne chmury zbierają się tuż nad szczytami i robi się naprawdę zimno. Zbieg idzie dość dobrze, chociaż zaczyna mi dokuczać prostownik lewej stopy. Już kiedyś przerabiałem

Pierwsza przełęcz, mina nietęga (Col d'Arp, 2570 m). Fot. A. Lanzio.

Nad Courmayeur z Jorasses'ami w tle. Fot. A. Lanzeni.

i nie bardzo chciałbym powtórkę. Zbieg idzie jednak nieźle. Przy którejś kolejnej próbie rozpędzania stwierdzam, że jakoś przestało boleć, ścięgno trochę skrzypi, ale w sumie nic się nie dzieje. Czyli jednak truchtamy. W Saint-Rhemy pełna balanga – na widok światła czołówki budzi się orkiestra, leją już wino, podpity tłumek wiwatuje i zaprasza do suto zastawionego stołu. Nic dziwnego – oni tam kibicują nie od dzisiaj. Dobrze, że nie mówię po francusku i mimo zawodu, jaki czynię lokalsom, udaje mi się stamtąd wyrwać ledwie po kilku minutach konsumpcji.

Ciężko w to uwierzyć, ale od mety w Courmayeur dzieli mnie już tylko jedna przełęcz. Przed schroniskiem Lac łapie mnie jednak sleepmonster. Trochę pada, więc korzystam z dachu, chociaż schronisko wciąż w budowie, więc za miejsce spoczynku posłuży mi goły beton. Z kilku minut snu robi się oczywiście godzina. Kiedy chcę już wychodzić, obsługa mówi mi, że jest tu taka Włoszka, która nie chce sama iść na przełęcz, więc żeby ją przeprowadzić – ktoś dziewczynie powiedział, że na górze warunki mogą być nieciekawe i szuka kogoś, do kogo mogłaby się podłączyć. Zachwycony nie jestem, ale ok. Na Col Malatra (2925 m) podchodzimy jednak bardzo sprawnie i w sumie nie jest źle. Pada, wieje, ale ledwie zahaczamy o pułap chmur, więc nie ma mowy o pogubieniu się. Na zbiegu Włoszka dziękuje za towarzystwo i mówi, że już sobie sama poradzi, a ja mogę lecieć dalej. Się robi. Od schroniska Bonatti (2025 m) trasa pokrywa się z dobrze mi znanym fragmentem Ultra Trail du Mont Blanc, więc już nie będzie niespodzianek – płaski trawers przez kilka kilometrów wyprowadza do schroniska Bertone (1989 m). Zaczyna świtać i sleepmonster atakuje mnie ponownie – no dobra, 15 minut pod drzewem. Tuż przed budzikiem mija mnie Włoszka i zaniepokojona dopytuje się, czy tutto bene. No pewnie, że bene, przecież zaraz koniec. Dalej na trawersie już jednak nie jestem w stanie zmusić się do biegu. Idę, ślizgając się po błotnistej ścieżce i wreszcie docieram do Bertone. Starszy goprowiec śmieje się ze mnie, że sobie znalazłem moment na spanie – Włoszka-paskuda wykablowała.

Finisz

Dalej już tylko w dół – zbiegam, ale nie śpiesząc się zbytnio – od tak dawna nie walczę o minuty, że nie ma co się teraz wygłupiać. No i są pierwsze zabudowania Courmayeur (1223 m). Przebiegam po mokrym asfalcie przez śpiące jeszcze miasteczko i wpadam na metę. Koniec. Trochę jestem zawiedziony przyjęciem, bo żadnych wiwatów nie ma, nawet zapomnieli sczytać mój chip, dopiero po kilku minutach się zorientowali. Trochę tak, jak na zawodach w Polsce. Siedzę jeszcze chwilę na mecie, po czym organizatorzy odwożą mnie do ośrodka sportu, gdzie dla zawodników udostępniony jest gabinet odnowy. Sauna, masaż, jacuzzi – całkiem miłe zakończenie biegu. 118 godzin turystyki biegowej za mną.

Następnego dnia od rana kibicuję na mecie kolejnym finiszującym zawodnikom. W dzień przyjęcie zawodników wygląda zdecydowanie lepiej – są kibice, nawija profesjonalny komentator – ogólnie impreza. Kurczę, mogłem zamarudzić tak ze dwie godziny dłużej na trasie i wbiegać na metę, kiedy już wszyscy się obudzą.

W niedzielę uroczyste zakończenie. Po dekoracjach zwycięzców następuje dekoracja wszystkich „finisherów". Miło. Jeszcze ostatni poczęstunek, ostatnie rozmowy i czas się zbierać do domu. Organizatorzy obiecują, że za rok będzie kolejna edycja.

Ja mogę tylko powiedzieć: naprawdę warto! Niezależnie czy będziecie się ścigać, czy iść na ukończenie, dwa najważniejsze elementy pozostaną niezmienne:

- trasa, na określenie której nie znajduję lepszego słowa niż „spektakularna". Od strony fizycznej ustawia człowieka we właściwej perspektywie względem gór – na pewno budzi respekt. A pod względem krajobrazowo-estetycznym nie można w niej znaleźć ani słabych punktów, ani monotonii.
- świetna organizacja. Rzadko startuje się w imprezach, gdzie ilość osób zaangażowanych w organizację jest większa niż ilość startujących. I to czuć – wszystko nastawione jest na to, by pomóc zawodnikom w dotarciu do mety. Wożą za człowiekiem torby, karmią, dają miejsce do spania, a jemu pozostaje tylko truchtanie po górach.

Dla ultra-górali pętla dookoła Aosty stanie się pewnie wkrótce kolejną mekką na miarę biegu dookoła Mont Blanc. I słusznie – to niepowtarzalna trasa, formuła, atmosfera, niepowtarzalna przygoda – na pewno warta wpisowego i jeszcze trochę więcej. A że bolało? No może trochę, ale kto by to teraz pamiętał.

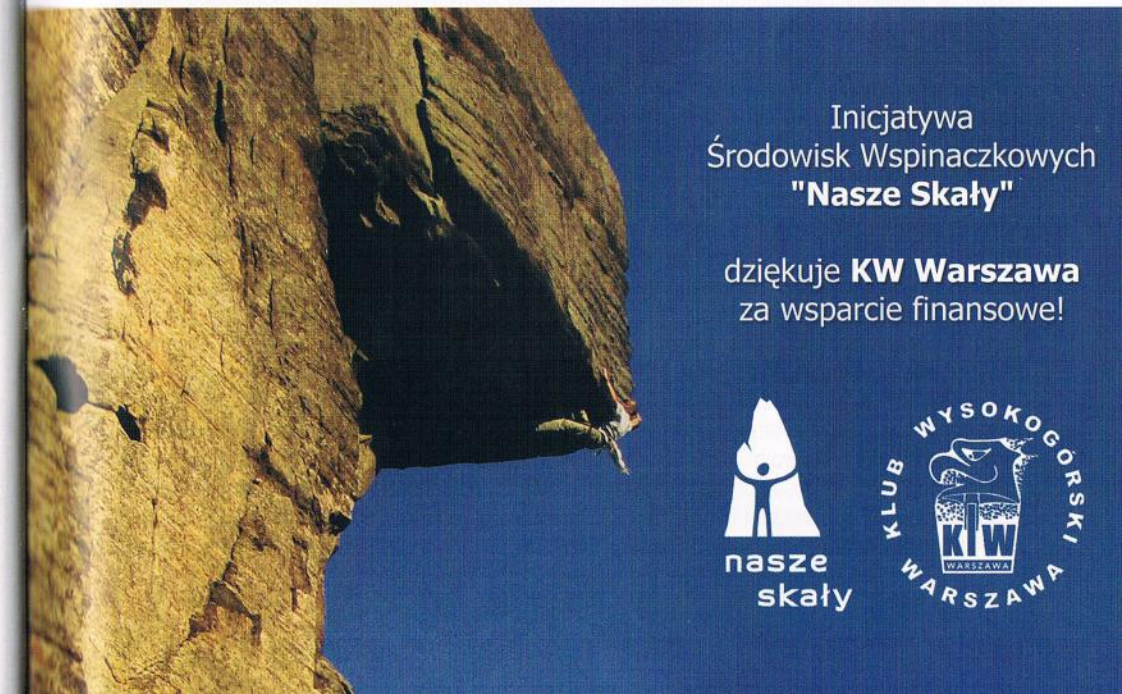

PO-SŁOWIE PO-PREZESA

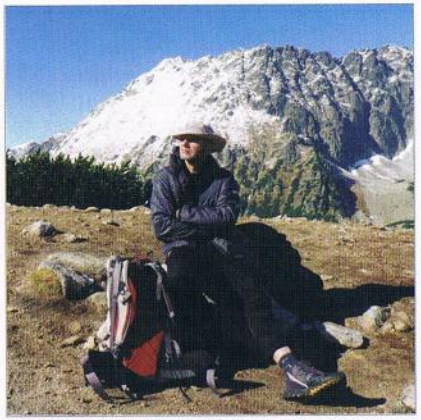

ŚCIEMA I CO DALEJ...?

Jest w naszym środowisku pewien problem, znany nie od dziś. Pojawia się raz na jakiś czas i wtedy **w i e l u** ma na jego temat **w i e l e** do powiedzenia. Problem ten rozbudza emocje, prowokuje pytania i oczywiście dzieli. Na tych, co są **ZA**, i na tych, co **PRZECIW**. Chodzi oczywiście o prawdziwość przekazów, które w naszym górskim środowisku stanowią podstawę do oceny wspinaczkowych dokonań. Wiarygodność relacji i opisów przejść w górach łatwo dostępnych można stosunkowo łatwo zweryfikować. Gorzej, gdy opis dotyczy dokonań gdzieś na końcu świata.

W opozycji do prawdy mamy fałsz lub kłamstwo. Okazuje się, że w stawianiu ostrej granicy pomiędzy prawdą i kłamstwem, między prawdą i fałszem pole do popisu jest niezwykle duże. Każdy, w zależności od swojego poziomu etycznego i różnych osobniczych skłonności, będzie miał tutaj swoją interpretację. Czy kłamstwo to fałsz i czy drobne fałszerstwo to już kłamstwo?

Delikatnie manewrując faktami, możemy z łatwością fakty te przedstawić w bardziej dla siebie korzystnym świetle. Kłamstwo nie jest wtedy ewidentne, a co gorsza, w wykonaniu specjalisty, świetnie maskuje się pod pozorem prawdy. Taki zabieg zdecydowanie poprawia PR i bardzo podbudowuje ego kłamcy, który z czasem zaczyna święcie wierzyć w zmodyfikowaną wersję swojego przekazu.

Wiele lat temu wspinałem się w Himalajach na Thalay Sagar. Jest to prawie siedmiotysięczna góra. Prowadziliśmy na jej wschodniej ścianie nową, niełatwą drogę, w stylu alpejskim. Stosunkowo niedaleko wierzchołka – nie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów w pionie – w trakcie prowadzenia kolejnego wyciągu zaliczyłem kilkunastometrowy lot. Potłukłem się i postanowiliśmy z moim partnerem wycofać się ze ściany. Gdy docieraliśmy do bazy, mijał dla mnie właśnie dziesiąty dzień od wyjścia na wspinanie. To dużo czasu... A po drodze wiele przygód... Zrobiło mi się strasznie żal całego tego wysiłku – nie tylko ostatnich dni, lecz także miesięcy przygotowań wcześniej. No i tego, że tak blisko szczytu. W zasadzie ze sto pięćdziesiąt metrów stosunkowo łatwego terenu... Gdy żal ten już we mnie napęczniał i w końcu całkowicie dojrzał, ku własnemu zaskoczeniu, jakby nieswoim, dziwnie brzmiącym głosem, wyrzuciłem w kierunku mojego partnera, aby ogłosić światu, że drogę zrobiliśmy. Że byliśmy na szczycie. Że odnieśliśmy SUKCES!!! Kto to sprawdzi? Kto zarzuci nam kłamstwo i na jakiej podstawie? Kto będzie tak podejrzliwy i wnikliwy, żeby zacząć to badać? To tylko przecież jakieś marne parę metrów nam zabrakło.

Ustalimy wspólną wersję – i po bólu. Będzie SŁAWA...!

Nie mogłem uwierzyć, że to powiedziałem. Na szczęście mój partner też. W sposób jednoznaczny dał wyraz swojej dezaprobacie dla mojej propozycji i za to jestem mu do dzisiaj niezmiernie wdzięczny. Nie było za chwilę już żadnej dyskusji na ten temat. Schodziliśmy dalej, powoli włócząc nogami i smakując w ciszy fakt, że jeszcze raz się udało i że wracamy żywi. Delikatny smak goryczy z czasem przerodził się w uczucie zadowolenia i satysfakcji, iż niczego przed światem nie ukrywam, i nie muszę z tym kłamstwem dalej żyć.

Jak widać, pokusa do złego drzemie w każdym. Czasami jej ulegamy, czasami nie. Czasami ktoś z boku pomoże nam wstać, gdy upadniemy. Czasami poda rękę, zanim upadku doświadczymy. Dobrze jest mieć rozeznanie, co jest NAPRAWDĘ dla nas DOBRE, a co NIE. Kiedyś mój przyjaciel powiedział: „Zbychu, twoja wyprawa będzie taka, jaką ją przedstawisz i pokażesz światu. To od ciebie zależy, co i jak opowiesz. Nikt tego nie jest w stanie sprawdzić. To, jak opowiesz zdecyduje o tym, czy padną przed tobą na kolana, czy pies z kulawą nogą nie zauważy twojego wyczynu"...

SIEKIERA

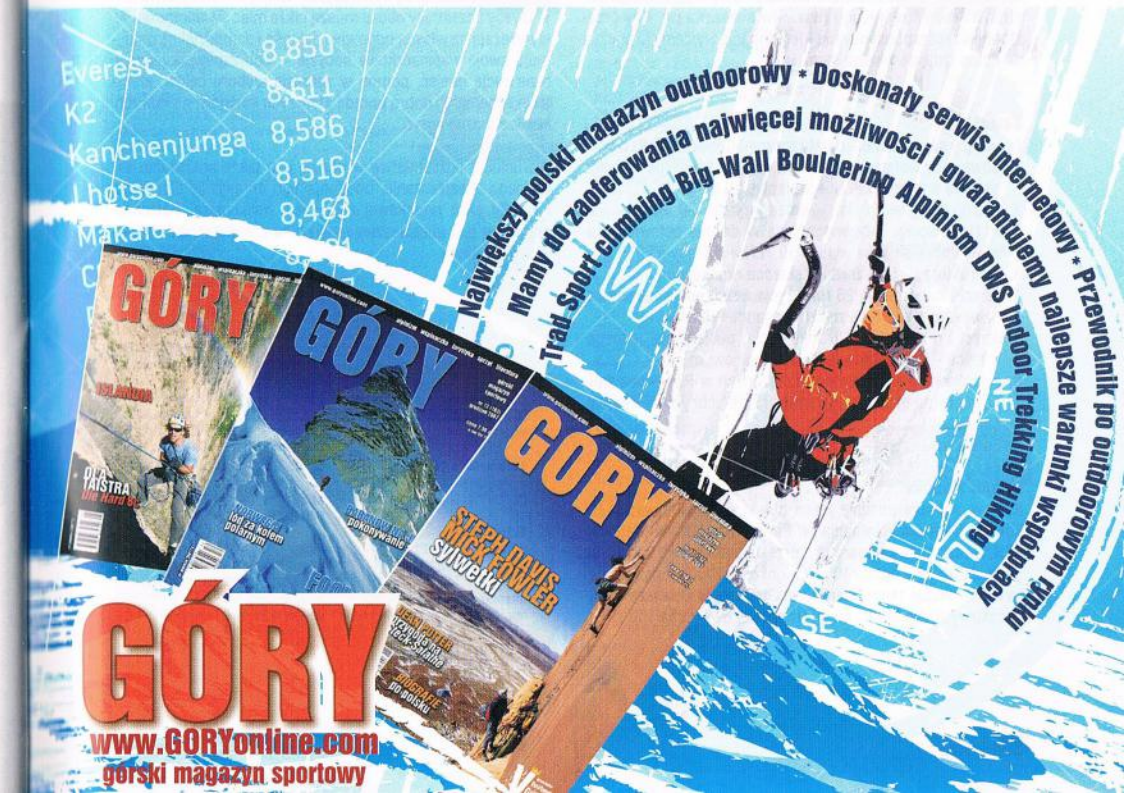

Jak przystąpić do Klubu:
Nie stawiamy żadnych barier formalnych – każdy może wstąpić do naszego klubu, uczestniczyć w wyprawach, wyjazdach, wycieczkach, w naszych regularnych imprezach i spotkaniach. Jako organizacja prawdziwie społeczna istniejemy dzięki aktywności i zaangażowaniu naszych członków – jeśli więc uważasz, że i Ty możesz wnieść wkład w nasz rozwój – serdecznie zapraszamy! Jeżeli uprawiasz sporty wspinaczkowe i możesz to udokumentować przedstawiając posiadane uprawnienia (karty, zaświadczenie o ukończonym kursie) lub wykaz przejść (może być skałkowych lub bulderowych) – to otrzymujesz status **członka zwyczajnego** (nie musisz nam przysyłać kopii dokumentów czy wykazu, ale możesz zostać o to poproszony, jeżeli pojawią się wątpliwości). Jeżeli natomiast nie uprawiasz wspinaczki (bo np. uprawiasz trekking, turystykę górską itp.) – to możesz wstąpić do klubu otrzymując status **członka uczestnika**, którego jedynym ograniczeniem jest limitowana możliwość kandydowania do władz klubu.

Zapisać się do Klubu można:
Osobiście: We wtorki w godzinach ścianki klubowej (Nowowiejska 37B, w godz. 20–22) lub w lokalu klubowym (Noakowskiego 10/12) w czasie slajdów bądź innego spotkania (aktualne info na stronie, można też mailować klub@kw.warszawa.pl).

Korespondencyjnie przez Internet: opłacając wpisowe i składkę przelewem na konto Klubu i przesyłając swoje dane do Klubu za pośrednictwem formularza zamieszczonego na stronie internetowej Klubu (www.kw.warszawa.pl). Gdy przystępujesz korespondencyjnie – legitymację wyślemy Ci pocztą do domu (zdjęcie wkleisz sam).

Składki:
1. uczący się do lat 26 – opłata roczna 50 PLN + 50 PLN wpisowe. Gdy wstępujesz w drugiej połowie roku (po 1 lipca): składka wynosi 30 PLN + wpisowe 50 PLN,
2. osoby powyżej 26 lat - opłata roczna 70 PLN + 70 PLN wpisowe. Gdy wstępujesz w drugiej połowie roku (po 1 lipca): składka wynosi 50 PLN + wpisowe 70 PLN,
3. instruktorzy – 50% zniżki w składce i wpisowym,
4. dzieci i młodzież do 26 roku życia, jeżeli oboje rodzice są członkami KW – 50% zniżki w składce i wpisowym,
5. dzieci i młodzież do 26 roku życia, posiadające jednego rodzica – 50% zniżki w składce i wpisowym,
6. członkowie innych klubów zrzeszonych w PZA – bez wpisowego (po okazaniu legitymacji z opłaconymi bieżącymi składkami),
7. Emeryci i renciści – 10 PLN.

Ścianki klubowe:
Klub wynajmuje obecnie jeden obiekt – ściankę wspinaczkową w Centrum Wspinania „W Pionie" na ul. Nowowiejskiej 37B. Godziny dla klubowiczów przewidziane są we wtorki od godz. 20 do 22 – opłata 10 zł. Członkowie Klubu mogą też nabywać w klubie tańsze karnety na ściankę w Centrum Wspinaczkowym „On Sight" na ul. Obozowej 60 – cena 150 zł.

Bulderownia:
Bulderownia znajduje się w lokalu klubowym ul. Noakowskiego 10/12.
Bulderownia jest dostępna dla wszystkich członków KW Warszawa we środy i soboty w godz. 16–22 (opłata 5 PLN za wejście).
Dla osób należących do sekcji bulderowej – bulderownia jest dostępna codziennie w godz. 8–22, poza zajęciami treningowymi.

Obozy:
Co roku KW Warszawa organizuje wyjazdy dla członków klubu, mające na celu podniesienie umiejętności wspinaczkowych oraz wymianę doświadczeń między bardziej i mniej doświadczonymi kolegami oraz koleżankami. Są one bardzo popularne i bierze w nich udział nawet do 60 osób, które świetnie się na nich bawią, ale także – dzięki prowadzonym wykładom – dowiadują wielu ważnych rzeczy z dziedzin topografii, bezpieczeństwa i taktyki działania w górach.

W obozie może wziąć udział każdy członek klubu bez względu na doświadczenie. Jednak z powodu ograniczonej ilości miejsc każda osoba zainteresowana wyjazdem zobowiązana jest wypełnić formularz zapisu na obóz, który jest umieszczany na stronie klubowej z odpowiednim wyprzedzeniem.

Osoby nieposiadające doświadczenia (szczególnie dotyczy to obozów zimowych) powinny rozważyć opcję wspinania pod opieką instruktora, za symboliczną opłatą ok. 350 zł/tydzień. Wszyscy uczestnicy obozu muszą także mieć świadomość, że wyjeżdżają na własną odpowiedzialność i samodzielnie podejmują swoje wspinaczkowe decyzje – klub zapewnia jedynie rezerwację miejsc, pomoc w zakresie wyboru celów, literaturę, schematy i dobrą poradę starszych kolegów, na których zawsze można liczyć.

Warunkiem uczestnictwa w obozie jest także posiadanie aktualnego ubezpieczenia, obejmującego uprawianie alpinizmu i koszty akcji ratunkowej z użyciem helikoptera. Polecane przez nas jest ubezpieczenie związane z wykupieniem członkostwa w OeAV.

Lokal klubowy
ul. Noakowskiego 10/12
Warszawa

Korespondencja
ul. Jankowska 5/12
02-129 Warszawa

Sekretariat
Wtorki, godz. 20–21:30
ul. Nowowiejska 37B

Internet
http://kw.warszawa.pl

NIP
526 16 90 727

REGON
000987911

KRS
0000122453

Konto
Bank Zachodni WBK SA
48 1090 1694 0000 0001 1506 5257
ul. Jankowska 5/12
02-129 Warszawa

BCA
bcaccess.com
Dystrybutor BCA (Back Country Access) oferuje po specjalnych cenach sprzęt lawinowy przy zamówieniach realizowanych przez klub – kontakt marekczy@orange.pl.

Kayland (MountX)
www.mountx.pl www.kayland.com
biuro@mountx.pl
Dystrybutor obuwia Kayland – MountX oferuje po specjalnych cenach dla członków klubu wybrane modele – szczegóły w aktualnościach.

YETI do 30%
www.yeti.com.pl
sales@yeti.com.pl
Producent kurtek i śpiworów puchowych.
Zakupy można realizować:
03-710 Warszawa, ul. Okrzei 18
tel. 022 670 12 53 w.14; fax. 022 618 33 01
Osobą kontaktową jest Pani Elżbieta Malicka, tel. 663 870 112.
Na produkty YETI są następujące zasady zniżek:
30% upustu przy zakupach powyżej 6 tys. zł,
25% upustu przy zakupach powyżej 4 tys. zł,
20% upustu przy zakupach powyżej 2 tys. zł,
15% upustu przy zakupach poniżej 2 tys. zł.
Specjalny 30% rabat dla członków KWW na bieliznę termoaktywną Native Planet. Na produkty YETI od ceny internetowej jest 25% rabatu, na pozostałe produkty 20% rabatu. Warunkiem jest posiadanie ważnej legitymacji członkowskiej z opłaconymi składkami.

MAŁACHOWSKI do 20%
www.malachowski.com.pl
info@malachowski.com.pl
Pracownia Sprzetu Alpinistycznego.
43-426 Dębowiec,
ul. Skoczowska 49
tel.: 033 856 22 61
Dla członków klubu 20% zniżki na wszystkie produkty (nie dotyczy szycia na miarę).

MARABUT do 20%
www.namioty.pl biuro@marabut.pl
Namioty ekspedycyjne, wyprawowe, turystyczne.
32-070 Czernichów 451
tel.: 012 270 24 24
Dla członków klubu 15% zniżki przy zakupie do 5 szt. i 20% przy zakupie powyżej 5 szt.

MONTANO do 20%
www.montano.pl
primo@montano.pl
To czego pragniesz znajdziesz u nas
34-400 Nowy Targ, ul. Tetmajera 10
tel/fax 18 266 56 32
tel. 604 167 293
Produkty Montano dostępne są z klubowym logo.
Szyjemy odzież, także na miarę.

PLUS Mountain Bike Shop do 20%
www.rowery.com.pl plus@rowery.com.pl
Rowery górskie, części, akcesoria.
Warszawa, Ursynów,
ul. Zamiany 12,
tel. 022 644 29 02
Godziny otwarcia: pn.–pt. w godz. 11–19, sob. 10–14

SUMMIT (ASOLO) do 20%
www.summit-asolo.pl summit.asolo@op.pl
Znżka na sprzęt alpinistyczny, w tym obuwie marki ASOLO. Indywidualnie zniżka 10–20% w zależności od zamawianego towaru. Na grupowe zamówienia zniżka nawet powyżej 20% w zależności od rodzaju i ilości.
Sklep: Katowice, ul. Kościuszki 10
tel. 0 32 251 36 57

SALEWA do 30%
www.salewa.com kolo@adventureshop.pl
Dla członków KWW z opłaconymi składkami 30% zniżki na produkty firmy SALEWA. Zamówienia należy składać osobiście lub mailem. Minimalne zamówienie: 2100 zł brutto (po zniżce). Zamówienia koordynuje Mikołaj Hotówko.

TIYO POINT do 20%
www.tiyopoint.pl
sklep@tiyopoint.pl
Internetowy sklep podróżniczy
42-200 Częstochowa, ul. Dekabrystów 82
tel.: 0 603.623.824
Aktualne zniżki dla członków KW: 5–20 % w zależności od produktu.

e-biwak.pl do 12%
www.e-biwak.pl
sklep@e-biwak.pl
Internetowy sklep turystyczny.
tel.kom. 0 606-707-102; tel: 055 245 00 32; fax: 055 245 00 33
Dla członków Klubu z opłaconymi składkami 12% zniżki na produkty.
W rubryce uwagi wpisywać „KWW" celem identyfikacji.

ADVENTURE do 3%
Hala Sportowa KOŁO, ul. Obozowa 60
tel.: 22-877-33-70
kolo@adventureshop.pl
W sklepie Adventure można zamówić sprzęt firmy Salewa ze zniżką 30%.

ALPIN SPORT/HIMOUNTAIN Zakopane do 10%
www.sfpl.pl
alp1@ealp.pl
Outdoor, ski tour, alpinizm, wspinaczka.
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 11
tel. 0 18 201 70 95, alp1@ealp.pl
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 28
tel. 0 18 201 44 41, alp16@ealp.pl
34-500 Zakopane ul. Krupówki 65
tel. 0 18 201 72 84, alp2@ealp.pl
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 43
tel. 0 18 201 42 18, alp5@ealp.pl
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 48
tel. 018 201 30 08, alp4@ealp.pl
34-500 Zakopane, Droga na Bystre 2A
tel. 0 18 201 27 36, alp3@ealp.pl
Kasprowy Wierch
tel. 0 18 201 42 18, alp19@ealp.pl
Sklepy czynne: pn.–cz. w godz. 11–18, pt. i sb. 11–19, nd. 11–16.

ALPINSKLEP do 10%
www.alpinsklep.pl
bomar@alpinsklep.pl
Turystyka, wspinaczka, trekking.
Sklep firmowy HiMountain
02-591 Warszawa, Metro Pole Mokotowskie, ul. Batorego 39
tel. 0 22 825 81 61
Sklep otwarty: pn.–pt. w godz. 11–19,
sob. w godz. 10–16,
od listopada do marca w niedz. w godz. 11–15

AZYMUT do 10%
www.sklepazymut.pl
biuro@sklepazymut.pl
Sprzęt wspinaczkowy, turystyczny, rowery, akcesoria rowerowe, narty, snowboardy.
Przemyśl, ul. 3 Maja 12
tel.: 016 679 02 10
Godziny otwarcia: pn–pt. 10–18, sob. 10–14
Ustrzyki Dolne, ul. 29-go listopada 26
tel. 0 13 461 34 74
Godziny otwarcia: pn.–pt. 9–17, sob. 9–14
Jarosław, Pl. Mickiewicza 11
tel. 0 16 621 67 68
Godziny otwarcia: pn.–pt. 9–17, sob. 9–14

BERGSON do 10%
www.bergson.pl www.rgsport.pl
biuro@rgsport.pl
Warszawa, ul. KEN 36 lok 33, Galeria Ursynów,
tel.: 022 649 13 54

CERRO TORRE SPORT do 15%
www.cerrotorre.pl
Sieć sklepów Jacka Fludera – CERRO TORRE SPORT
Warszawa, C.H. Klif, ul. Okopowa 58-72
Kraków, C.H. M1, Aleje Pokoju 67
tel. 0 12 296 59 00
Kraków, ul. Sienna 14
tel. 0 12 429 68 12
Wrocław, C.H. Auchan, ul. Francuska 6
tel. 0 71 780 66 47
Wrocław, C.H. Marino, ul. Paprotna 7
Katowice, C.H. Supersam, ul Piotra Skargi 6
tel. 0 32 781 03 77
Zabrze, C.H. M1, ul. Plut.R.Szkubacza 1
tel. 0 32 777 04 10
Legnica, Galeria Piastów, ul. Najśw. Marii Panny 9
tel. 0 76 727 74 55
Radom, C.H. M1, ul. Grzecznarowskiego 21
tel. 0 509 819 985

EXPEDITION do 10%
www.expedition.com.pl expedition.sklep@gmail.com
Sklep turystyczny
Warszawa, Al.Solidarności 129/131 (obok Sądów)
tel.: 0 22 652 20 35

HIMOUNTAIN do 10%
www.himountain.pl
Warszawa, C. H. Reduta, Al. Jerozolimskie 148
Warszawa, ul. Królewska 2 (wejście od
Krakowskiego Przedmieścia)
Warszawa, C.H. Arkadia, Al. Jana Pawła II 82
Warszawa, Janki, C.H. Geant, ul. Mszczonowska 3

MULTAN EXTREME do 10%
www.multanex.com.pl mail@multanex.com.pl
Warszawa, Al. Jana Pawła II 32
tel. 0 22 620 36 76, 0 22 652 31 56
Godziny otwarcia: pn.–pt. 10–20, sob. 10–16

QUIKSILVER-ROSSIGNOL do 10%
www.pmsport.pl
Dla członków klubu za okazaniem legitymacji
klubowej z opłaconymi składkami
10% zniżki na wszystkie produkty w sklepach:
QUIKSILVER-ROSSIGNOL Fashion House Outlet
Gdańsk, ul. Przywidzka 8
QUIKSILVER-ROSSIGNOL CH KLIF
Gdynia, al. Zwycięstwa 256
ROSSIGNOL PRO SHOP Pasaż Handlowy RYNEK 13
Kraków, ul. Rynek Główny 12
QUIKSILVER-ROSSIGNOL GALERIA KAZIMIERZ
Kraków, ul. Podgórska 34
QUIKSILVER-ROSSIGNOL GALERIA KRAKOWSKA
Kraków, ul. Pawia 5
QUIKSILVER-ROSSIGNOL STARY BROWAR
Poznań, ul. Półwiejska 42
QUIKSILVER-ROSSIGNOL Fashion House Outlet
Sosnowiec, ul. Orląt Lwowskich 138
QUIKSILVER-ROSSIGNOL GALERIA MOKOTÓW
Warszawa, ul. Wołoska 12
QUIKSILVER-ROSSIGNOL ZŁOTE TARASY
Warszawa, ul. Złota 59,
QUIKSILVER-ROSSIGNOL SADYBA BEST MALL
Warszawa, ul. Powsińska 31
ROXY-ROSSIGNOL CH ARKADIA
Warszawa, ul. Jana Pawła II 82
QUIKSILVER-ROSSIGNOL Fasion House Outlet
Warszawa, ul. Puławska 42E
QUIKSILVER-ROSSIGNOL ARKADY WROCŁAWSKIE

ROBERT`S OUTDOOR EQUIPMENT do 10%
www.roberts.pl roberts@roberts.pl
Specjalizuje się w produkcji odzieży i śpiworów
ocieplanych puchem.
Gdynia, ul. Nowodworcowa 15
tel.: 058 629 42 98, 0 58 352 08 97

SHERPA do 10%
www.sherpa.pl sklep@sherpa.pl
Sklep górski: Warszawa, ul. Żelazna 59
tel. 022 455 85 35
Dla członków KW z ważną legitymacją i opła-
coną składką 10% zniżki na wszelki asortyment nieobjęty promocją.

SKLEP PODRÓŻNIKA do 10%
www.sp.com.pl
sklep@traveler.com.pl
Sprzęt wspinaczkowy, turystyczny, narty, przewodniki,
mapy i literatura.
Warszawa, ul. Grójecka 46/50
tel. 022 668 66 08
Warszawa – K1, ul. Kaliska 8/10
tel. 022 822 64 81
Warszawa – K2, ul. Kaliska 8/10
tel. 022 822 54 87

EXTREME SPORT – Zakopane do 7%
www.extreme.z-ne.pl
604451660@eranet.pl
Zakopane, ul. Krupówki 36
tel.: 018 206 29 99

MARIENSZTAT SPORT do 7%
www.marienszta.pl
poczta@marienszta.pl
Warszawa, ul. Marienszta 19A – Centrum Sportów Górskich
Warszawa, ul. Garbarska 5 – sklep firmowy THE NORTH FACE
tel. 0 22 827 19 58
Czynne: pn.–pt. w godz. 11–19, sb. 10–15

POLAR SPORT do 7%
www.polarsport.pl **www.polarsport.pl**
Sklep górski POLAR SPORT oferuje duży
wybór odzieży i sprzętu do turystyki,
wspinaczki, alpinizmu, skitoringu. Najlepsze marki, konkurencyjne ceny,
częste promocje. Zapraszamy na www.polarsport.pl i do naszego sklepu przy
ul. Siennej 15 w Krakowie.
tel. 0 12 422 42 49, 0 801 000 362

Sklepy Turystyczne „Horyzont" do 5%
www.e-horyzont.pl
Sklepy Turystyczne i sklep internetowy oferują członkom KWW zniżkę 5%.
Centrum Handlowe TARGÓWEK, lokal nr 120
ul. Głębocka 15, 03-287 Warszawa
tel. 0 22 674 15 77, targowek@e-horyzont.pl
ul. Marienszta 8, 00-302 Warszawa
tel. 0 22 538 92 05, marienszta@e-horyzont.pl
Plac Konstytucji 5, 00-657 Warszawa
tel. 0 22 628 36 73, mdm@e-horyzont.pl

TANIEWSPINANIE.PL do 10%
Sklep internetowy: KHUMBU" Bartłomiej Kierpiec
ul. Wielhorskiego 1a, 34-531 Murzasichle
Sklepy stacjonarne: Górski Sklep Sportowy - taniewspinanie.pl
ul. Piłsudskiego 14 A, piętro 2, 34-520 Poronin
tel. 18 207 45 88

AMC do 30%
Internet: www.amc.krakow.pl
info@amc.krakow.pl
Dystrybutor: PETZL, BEAL, DIRECTALPINE, LAKEN, MUND, INOOK,
VAR. Minimalne zamówienie 2500 zł. Zniżki:
2500 – 9 999 zł – 15 %
10 000 – 19 999 zł – 20 %
20 000 – 29 999 zł – 25 %
30 000 – 49 999 zł – 30%

Wymagana koordynacja całego zamówienia przez jednego członka klubu.
Kolejność działań: wysłanie zapytania ofertowego, AMC sprawdza dostępność
i wystawia fakturę pro-forma, po zapłaceniu faktury AMC wysyła zamówienie
pod wskazany adres na swój koszt.
ul. Niwy 21, 30-705 Kraków
tel.: (12) 656 70 89 wew. 75, fax: (12) 423 54 12

CHATA PRI ZELENOM PLESE do 10%
www.zelenepleso.sk
zelenepleso@zelenepleso.sk
Zniżka 10% dla członków kww. Rezerwacja mailem lub dzwo-
niąc na poniższy numer telefonu: 00 42 190 346 74 20.

CUMULUS do 20%
www.cumulus.pl
info@cumulus.pl
Producent profesjonalnych Śpiworów i akcesoriów rowerowych.
Zniżki: od 4000 zł – 20%
3000 – 3999 zł – 15%
2000 – 2999 zł – 10%
1 – 1999 zł – 5%
Wymagana koordynacja zamówienia grupowego przez członka klubu. Zam.
indywidualne - skan legitymacji ze składkami. Wysyłka 19 zł (przelew), 25 zł
(pobranie).
Ul. Szyprów 4, 81-561 Gdynia, tel: 58 620 94 12.

E-BUSOLA do 15%
www.e-busola.pl
sklep@e-busola.pl
Sklep stacjonarny i internetowy:
www.e-busola.pl
ul. Hiszpańska 13/3
54-409, Wrocław
tel. 510 396 073, 504 101 764
Szeroki wybór artykułów outdoor, sportowych i bagażników samochodo-
wych. – 15% zniżki na marki turystyczne z wyjątkiem Aku, karrimor, trej mates,
therm-a-rest, msr, packtowl, platypus, Petzl, Beal na które zniżka wynosi
12%, – 10% zniżki na kartografię, – 7% zniżki na bagażniki samochodowe
i pozostały asortyment.

EcoBe do 15%
www.ecobe.com.pl
biuro@ecobe.com.pl
Dystrybutor jednorazowych ogrzewaczy do ciała firmy Heat Factory i wszel-
kich akcesoriów tej firmy. Dla członków KWW z opłaconymi składkami 15%
zniżki na cały asortyment oferowany w sklepie internetowym.
Przy zamówieniu w rubryce dodatkowe informacje prosimy wpisać „KWW"
celem identyfikacji. Istnieje możliwość osobistego odbioru zamówienia
w Warszawie.
tel/fax +48 22 635 25 30
tel. kom. 0601 29 46 37

HORSEWAY do 15%
www.horseway.pl
sklep@horseway.pl
Zniżki:
10% na bieliznę termiczną Lurbel przy zamówieniu do 1000 zł,
15% na bieliznę termiczną Lurbel przy zamówieniu powyżej
1000 zł,
10% na środek do prania odzieży technicznej Bense&Eicke Textile Wash.

KANFOR do 30%
www.kanfor.pl
shop@kanfor.pl
Producent rękawic oraz odzieży z Polartec, Windbloc, Windstopper, No-Wind,
Softshell i innych.
Własny sklep internetowy.
Zniżki:
1 – 999 zł – 10%
1000 – 1999 zł – 20%
2000 – 2999 zł – 25%
3000 zł – 30%
ul. Dąbrowskiego 113, 93-208 Łódź
tel: +48 426427128(38)
Osoba do kontaktu Pani Barbara Siudak:
shop@kanfor.pl.

KWARK do 25%
www.kwark.pl kwark@kwark.pl
KWARK S.C. Katarzyna i Bogusław Nizinkiewicz.
Załom ul. Parkowa 12, 70-896 Szczecin
Telefon: +91 43-123-23
1 – 749zł – 10% 750 – 1499 zł – 15%
1500 – 2499 zł – 20% od 2500 zł – 25%
Zniżki dotyczą nieprzecenionych produktów przy płatnościach przelewem.
Koszt przesyłki UPS 25zł. Zamówienia grupowe – wymagana koordynacja ze
strony członków Klubu. Należy przesłać scan legitymacji.

M-ARTE Agent Sklepu Podróżnika do 25%
martastarosolska@gmail.com
Wysyłkowa sprzedaż publikacji SKLEPU PODRÓŻNIKA i innych
książek, map.
Szczegółowe warunki sprzedaży i cennik w zasobach.
Zamówienia: M-ARTE Oficjalny Agent Sklepu Podróżnika Marta Staropolska:
martastarosolska@gmail.com,
tel. 608 57 50 02.

MAMMUT do 10%
www.climbrock.pl
Sklep firmowy Mammut: Ludzie Gór s.c.
biuro@ludziegor.pl
ul. Nowotarska 23b, 34-500 Zakopane
tel. 18 5416100
pon–pt: 10–18; sob. 10–15
Sklep firmowy Mammut: WEB WORKS s.c.
sklep@climbrock.pl
ul. Niepodległości 227/233, 302-087 Warszawa
tel. 22 3821726; tel. 530021954
pon–pt: 11–19; sob. 11–15.

MOUNTAINTOOLS do 15%
Internet: www.mountaintools.com
toolman@mountaintools.com
Zniżka w amerykańskim sklepie internetowym (www.
mountaintools.com):
10% zniżki przy płatności kartą kredytową,
15% zniżki przy płatności WTX (opłata 20 USD).

SKALNIK do 15%
www.skalnik.pl sklep@skalnik.pl
15% upustu na cały asortyment z wyjątkiem Petzl'a,
na który to sklep daje zniżkę 10%. Powyższe upusty
dotyczą cen produktów - nieprzecenionych, nieobję-
tych innymi promocjami. Przy zamówieniach internetowych – w komentarzu
wpisujemy „KW WARSZAWA"
Wrocław, ul. Bogusławskiego 45: sprzęt wspinaczkowy, do prac na wysoko-
ściach, odzież buty, militaria, namioty i śpiwory, ul. Ładna 1A: Buty, sprzęt
wspinaczkowy i do prac na wysokościach, namioty i śpiwory, ul. Ładna 4/6:
odzież, drobne akcesoria turystyczne, ul. Polaka 18: Odzież, buty , sprzęt
wspinaczkowy i do prac na wysokościach, akcesoria turystyczne, namioty
i śpiwory, ul. Polaka 20: Sprzęt kempingowy, drobne akcesoria turystyczne,
odzież i buty,namioty i śpiwory.
pon–pt: 10–19; sob: 10–17.

SKI-TUR sprzęt turystyczny i ratowniczy do 10%
www.arva.pl sklep.skitur@gmail.com
Sprzęt lawinowy francuskiej firmy ARVA, sondy
lawinowe, łopaty, detektory najnowszej generacji oraz
specjalistyczne plecaki do uprawiania narciarstwa
wysokogórskiego.
VacuMed Krzysztof Wasilewski
NIP: 6791229586, Regon: 351278574
tel. : +48 607 696 993
e-mail: sklep.skitur@gmail.com

WORK SPORT do 5%
www.worksport.com.pl worksport@go2.pl
Sklep internetowy. Sprzęt wspinaczkowy, do prac na wysokości, fitness
i cardio. Zniżka dotyczy całego asortymentu również w promocji i przecenie.
Warszawa-Wesoła 05-075, Plac wojska Polskiego 152 lok. 39
fax 22 773 40 63; tel. kom. 603 960 090

NATURAL BORN RUNNERS do 15%
www.natural-born-runners.pl kontakt@natural-born-runners.pl
Tu znajdziesz najlepszy przęt do biegania.
5% zniżki przy zamówieniach indywidualnych i darmowa przesyłka
15% zniżki przy zamówieniach powyżej 2000 PLN
Przy zakupie niezbędny jest kod rabatowy: „kwwarszawa" + skan legitymacji

TUTTU do 30%
www.tuttu.pl
stała zniżka 7% i specjalne rabaty

ALPENSKI.PL do 15%
www.alpenski.pl biuro@alpenski.pl
zniżka 10% na wszystkie produkty
Oferta sklepu: marki BERGHAUS, MARMOT, SALEWA, HUSKY, SMARTWOOL, KARRIMOR, THERM A REST, MSR, EUREKA, TREK N EAT, OPTIMUS, ROCKLAND, OUTWELL, ROBENS.
W formularzu zamówienia należy wpisać „członek KWW" oraz przesłać skan legitymacji.

Wszystkie zniżki za okazaniem legitymacji z opłaconymi składkami za bieżący rok.

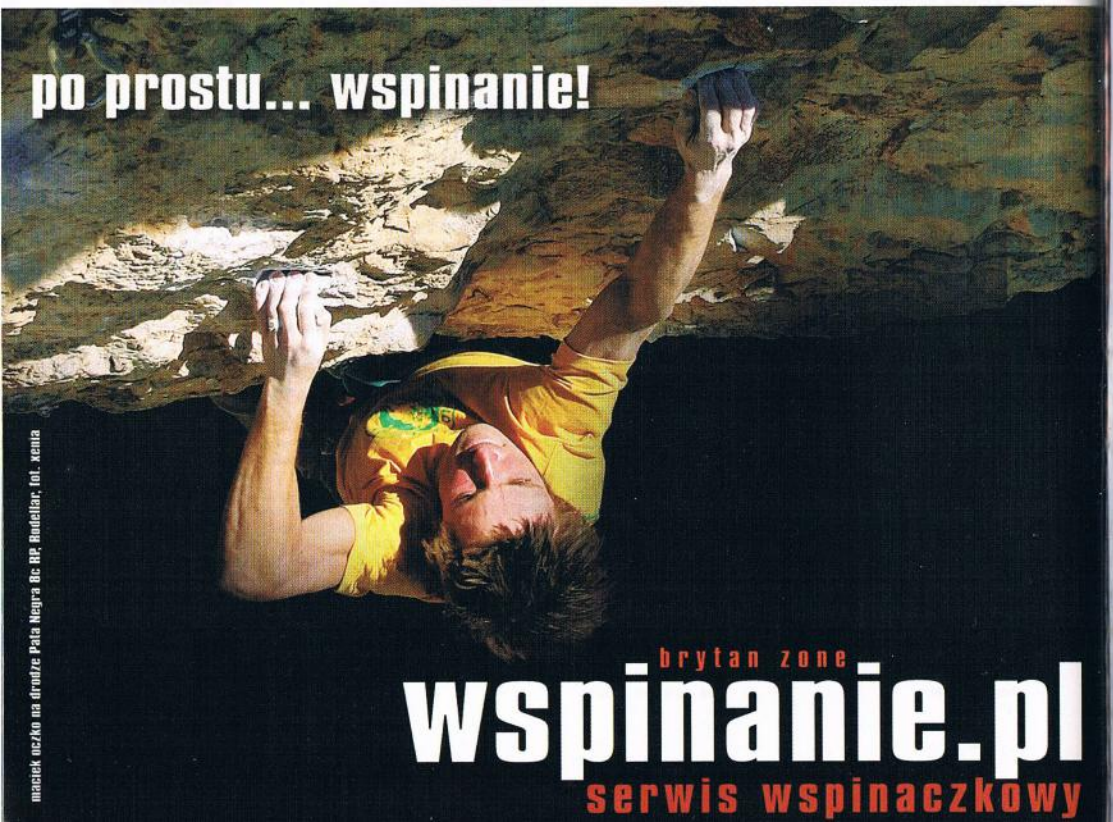

Lodowe rożki od Nestlé ICE CREAM

DoLODuj się